

PRZEGLĄD KULTUROZNAWCZY

Polska Akademia Nauk
Komitet Nauk o Kulturze

Uniwersytet Jagielloński
Wydział Zarządzania
i Komunikacji Społecznej

BRUNO LATOUR
„Czy wierzysz w rzeczywistość?”

JOSEF MITTERER
Paradoksy Nowego.
O płynnym stanie rzeczy

ANDRZEJ SZAHAJ
Nauki o kulturze jako nauki
podstawowe (i krytyczne)

EWA BIŃCZYK
Problem sceptycyzmu wobec zmiany
klimatycznej a postkonstrukttywizm

PRZEGLĄD KULTUROZNAWCZY
NR 1 (15) ROK 2013

Koncepcja numeru: Ewa Bińczyk

ISSN 1895-975X
ISBN 978-83-233

WYDAWCA

Komitet Nauk o Kulturze Polskiej Akademii Nauk
Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

RADA NAUKOWA

Agata Bielik-Robson, Wojciech Burszta (przewodniczący), Leszek Kolankiewicz,
Wacław M. Osadnik, Joanna Zylinska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Grzegorz Godlewski, Ryszard W. Kluszczyński,
Anna Nacher (sekretarz redakcji), Adam Nobis,
Ewa Rewers, Eugeniusz Wilk (redaktor naczelny),
Magdalena Zdrodowska, Anna Zeidler-Janiszewska

Wydanie publikacji dofinansowane przez Polską Akademię Nauk oraz Wydział Zarządzania
i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

© Copyright by Polska Akademia Nauk & Uniwersytet Jagielloński
Wydanie I, Kraków 2013
All rights reserved

Wersja elektroniczna jest wersją podstawową kwartalnika „Przegląd Kulturoznawczy” (e-ISSN
2084-3860) publikowaną na stronie www.wuj.pl w dziale Czasopisma

ADRES REDAKCJI

Instytut Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego
30-348 Kraków
ul. prof. Łojasiewicza 4



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12-631-18-81, tel./fax 12-631-18-83
Prenumerata: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98
tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl
Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

	1 Ewa Bińczyk, Aleksandra Derra – Wstęp
	6 Toruńska szkoła konstruktywizmu. Manifest
<hr/> w kręgu idei	8 Bruno Latour – „Czy wierzysz w rzeczywistość?”
	21 Josef Mitterer – Paradoksy Nowego. O płynnym stanie rzeczy
<hr/> pejzaże kultury	30 Andrzej Szahaj – Nauki o kulturze jako nauki podstawowe (i krytyczne)
	35 Adam F. Kola – ANT-ologia literatury
	48 Ewa Bińczyk – Problem sceptycyzmu wobec zmiany klimatycznej a postkonstruktywizm
	67 Michał Wróblewski – Wyzwanie biomedycyzacji. Socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby „podszyte” teorią aktora-sieci
	85 Aleksandra Derra – Molekularne poskramianie lęków, czyli o płci konstruowanej genetycznie
<hr/> omówienia i rozbiory	100 Tomasz Szymon Markiewka – Problem dualistycznego podziału na naturę i kulturę. O postkonstruktywizmie i konstruktywizmie kulturowym
	111 Michał Rydlewski – Wszechobecne upokarzanie (Na marginesie artykułu Andrzeja Szahaja pod tytułem <i>Kultura upokarzania</i>)



Ewa Bińczyk, Aleksandra Derra**Wstęp**

W grudniu 2012 roku Redakcja „Przeгляdu Kulturoznawczego” zwróciła się do nas z propozycją przygotowania i zredagowania numeru tego czasopisma, w którym zaprezentowalibyśmy toruńskie środowisko badawcze. Propozycję przyjęliśmy z entuzjazmem. Rezultatem naszych prac jest tom, który oddajemy właśnie w Państwa ręce. Powstawał on w atmosferze żywołowych dyskusji na temat problemów, jakie powinniśmy w nim poruszyć, oraz doboru reprezentatywnych tłumaczeń, które winny się w nim znaleźć. Towarzyszyła temu inspirująca konsolidacja merytoryczna. Postanowiliśmy, że stworzymy możliwie spójny zbiór tekstów badaczek i badaczy wywodzących się z różnych dyscyplin, których jednak wyraźnie łączą wspólne przekonania filozoficzne dotyczące celów badań i metodologii ich prowadzenia. Podzielanym przez nas założeniom daliśmy wyraz, formułując prezentowany dalej manifest toruńskiej szkoły konstruktywizmu. Negocjowanie treści przedstawianych w nim haseł przebiegło przy tym w warunkach zaskakująco dla nas pokojowych – co tylko umocniło nas w przekonaniu, że jeszcze więcej nas łączy, niż sami się tego spodziewaliśmy.

Zarówno posłużenie się określeniem „szkoła toruńska”, jak i terminem „manifest” wymaga komentarza. Szkołą toruńską nazywamy grupę badaczy, którzy spotkali się w jednej instytucji, jaką jest Uniwersytet Mikołaja Kopernika, uczęszczali na wspólne seminaria i wykłady, czytali podobne teksty, uczyli się od siebie nawzajem, przeżywali wspólne fascynacje intelektualne i wzajemnie się krytykowali. Wywodzimy się z różnych środowisk i reprezentujemy różne dziedziny (filozofię, socjologię, kulturoznawstwo, etnologię, językoznawstwo, literaturoznawstwo, historię), najczęściej projektując swoje badania jako interdyscyplinarne.

Pragniemy podkreślić, że „szkoła toruńska” nawet w wymiarze geograficznym ma charakter otwarty. Konferencje, które konsolidowały nasze środowisko (szczególnie Sympozja Konstruktywistyczne¹), odbywały się w kilku ośrodkach, zaś w prezentowanym Państwu tomie znajdują się teksty dwójki badaczy spoza Torunia.

¹ I Ogólnopolskie Sympozjum Konstruktywistyczne zostało zorganizowane w październiku 2009 roku we Wrocławiu, dzięki inicjatywie Pawła Jarnickiego i Bogdana Balickiego. Wzięli w nim udział (między innymi): Łukasz Afeltowicz, Michael Fleischer, Maurycy Graszewicz, Andrzej Skrendo, Marcelina Zuber, Andrzej Zybortowicz. Kolejna edycja, zorganizowana przez Ewę Bińczyk, Krzysztofa Abriszewskiego, Marcina Jaranowskiego i Aleksandrę Derra, odbyła się w Instytucie Filozofii UMK w Toruniu w listopadzie 2010 roku, z gościnnym wykładem Josefa Mitterera, a także z udziałem Katarzyny Górczyńskiej-Sady, Piotra Maronia, Radosława Kawczyńskiego, Wojciecha Sadego. III Ogólnopolskie Sympozjum Konstruktywistyczne odbyło się w maju 2012 roku w Poznaniu dzięki zapałowi organizacyjnemu Andrzeja W. Nowaka. Udział w nim wzięli (między innymi): Rafał Ilnicki, Piotr Stankiewicz, Barbara Tuchańska. (Bardzo żałujemy, że nie możemy wymienić wszystkich uczestników tych inspirujących spotkań).

Rzecz jasna, istotnym elementem spajającym i stabilizującym szkołę jest swoista intelektualna „obsesja” na punkcie wybranych tradycji myślowych oraz określonych teorii. Nieprzypadkowo zatem numer „Przeglądu”, który znalazł się właśnie w Państwa rękach, otwierają tłumaczenia prac klasyków filozofowania w bliskim nam trybie: Brunona Latoura („*Czy wierzysz w rzeczywistość?*”), Josefa Mitterera (*Paradoksy Nowego. O płynnym stanie rzeczy*) i Richarda Rorty’ego (*Świat bez substancji i esencji*). Od wielu lat przekładamy teksty wymienionych wyżej filozofów, popularyzujemy ich myśl w Polsce i uparcie przekonujemy do użyteczności stosowanych przez nich narzędzi badawczych².

Decyzja o dołączeniu do naszego tomu manifestu szkoły nie była łatwa. Podzielaliśmy przekonanie, że musi on przybrać formę hasłową, zdając sobie jednocześnie sprawę, że lapidarność i ogólnikowość nie będą ułatwiały zrozumienia. Zależało nam jednak na tym, by manifest sformułować w postaci krótkich tez, które zabrzmią wyraziście. Wybrane niuansy interpretacyjne i niejednoznaczności teoretyczne komentowane są zatem w artykułach, a nie w samym manifeste. Jak się Państwo przekonają, poszczególni autorzy różnie stawiają akcenty, w odmiennych miejscach znajdują słabości tradycji, z którymi się utożsamiają, wreszcie nie zawsze te same problemy uznają za równie ważne. Żywimy jednak nadzieję, że otwarte wskazanie naszych preferencji oraz przesądzeń filozoficznych, a także rozstrzygnięć teoretycznych, ułatwi Czytelnikom poruszanie się w gąszczu problemów, z jakimi się mierzymy.

W dziale „Pejzaże kultury” prezentujemy Państwu teksty Andrzeja Szahaja, Adama F. Koli, Andrzeja W. Nowaka, a także rozmowę z Andrzejem Szahajem, która została przeprowadzona na użytek prezentowanego tu numeru „Przeglądu”. Dział otwiera metodologiczne i filozoficzne credo Andrzeja Szahaja o znamienym tytule *Nauki o kulturze jako nauki podstawowe (i krytyczne)*. Znajdziemy w nim autorskie objaśnienie rozumienia fundamentalnych pojęć: kultury, nauk o kulturze, nauk podstawowych, kulturalizmu. W opinii Szahaja nauki o kulturze to nauki podstawowe w aspekcie teoretycznym (rzeczywistość badawcza nauki posiada nieusuwalny komponent kulturowy), praktycznym (w epoce kapitalizmu kognitywnego umiejętności manipulowania znakami, informacjami i wytworami kultury stanowią zasadniczy zasób ekonomiczny i kapitał społeczny) i światopoglądowym (w dobie współczesnych kryzysów ekologicznych wysiłki cywilizacyjne zmierzają nie tyle ku dalszemu podbojowi przyrody, ile raczej ku „zrozumieniu mechanizmów tworzenia,

² Polecamy Państwa uwadze również inne przekłady: B. Latour, *Dajcie mi laboratorium, a poruszę świat*, przeł. K. Abriszewski, Ł. Afeltowicz, „Teksty Drugie” 2009, nr 1–2, s. 163–192; B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. K. Abriszewski, A. Derra, Universitas, Kraków 2010; B. Latour, *Nadzieja Pandory. Eseje o rzeczywistości w studiach nad nauką*, red. nauk. K. Abriszewski, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2012; R. Rorty, *Spełnianie obietnicy naszego kraju. Myśl lewicowa w dwudziestowiecznej Ameryce*, przeł. A. Szahaj, A. Karalus, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010; R. Rorty, *Filozofia a nadzieja na lepsze społeczeństwo*, przeł. J. Grygieńć, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2013.

przekazywania oraz zmiany przekonań kulturowych w takich ich wymiarach [sferach kultury], jak ekonomia, religia, obyczaj, sztuka, polityka, nauka”).

Adam F. Kola w swoim tekście przekonuje do użyteczności narzędzi teorii aktora-sieci (ANT) dla literaturoznawstwa. W jego opinii świat przemian społecznych wyraźnie „odkleja się” od diagnoz akademickich, które zastygły w dawnych paradygmatach. Pragnie on przededefiniować socjologię literatury przy użyciu kategorii ANT (stąd ANT-ologia), namawia też do dokonania (r)ewolucji w obrębie języka tej dyscypliny, a także do zmiany samego przedmiotu badań (chodzi na przykład o porzucenie tekstocentryzmu i antropocentryzmu, budowanie empirycznych studiów przypadków oraz o uwzględnienie takich aktorów pozaludzkich, jak książki, czcionki, maszyny drukarskie, prawo autorskie, otwarte źródło czy e-czytniki). Wskazane modyfikacje pozwolą dostrzec rzeczywiste warunki, w jakich funkcjonuje współcześnie literatura w zbiorowości.

Z kolei Andrzej W. Nowak przekonuje, że nie da się zrozumieć naszej technonaukowej epoki bez uruchomienia wyobraźni ontologicznej i wypracowania nowej ontologii w naukach humanistycznych. W tym celu bada przydatność narzędzi ANT (B. Latoura, J. Law, M. Callona) oraz teorii nowoczesnego systemu-świata I. Wallersteina, a także wykorzystuje diagnozę dotyczącą „przyspieszenia” czasu w kulturze, sformułowaną przez T.H. Eriksena („tyrania chwili”), by w autorskiej syntezie zaproponować ciekawą typologię czasu wolnego. Przekonując, że jego pozbawiona pułapek eurocentryczności analiza na poziomie globalnym zainspirować może „działanie lokalne”, autor ten namawia, by analizy czasu społecznego sprawdzać w badaniach empirycznych lokalnej ontologii działających aktorów.

Artykuły Ewy Bińczyk, Michała Wróblewskiego i Aleksandry Derra ilustrują, w jaki sposób przyjmowane przez toruńską szkołę konstruktywizmu założenia teoretyczne i metodologiczne mogą „pracować”, jeśli zaprzęgniemy je do analiz kontrowersji nękających nauki ścisłe. Celem tekstu Ewy Bińczyk jest wykazanie szczególnej użyteczności matrycy postkonstruktywizmu (tj. współczesnych, antyesencjalistycznych studiów nad nauką oraz technologią – STS, inspirowanych ustaleniami teorii aktora-sieci) do badań nowoczesnego ryzyka systemowego. Autorka koncertuje swoje analizy na problemie kontrowersji wokół zmiany klimatycznej, w dużej mierze podsycanej przez sceptyczny ruch negowania globalnego ocieplenia (ang. *global warming denial movement*). Opierając się na najnowszej literaturze przedmiotu dotyczącej zjawiska produkowania wątpliwości na zlecenie, autorka lokalizuje mechanizmy, dzięki którym sceptycy okazali się niezwykle skuteczni. Jak pokazuje Bińczyk, nowoczesne ryzyko systemowe, którego najpoważniejszym dziś przykładem jest destabilizacja klimatu (utożsamiana przez wielu badaczy z końcem tradycyjnego myślenia o przyrodzie oraz o polityce), stawia nieznanne wcześniej wyzwania epistemologiczne i polityczne. Wymaga ono porzucenia aroganckiego antropocentryzmu, odejścia od esencjalizujących podziałów ontologicznych oraz odstąpienia od reprezentacjonizmu w opisie nauki.

Michał Wróblewski w swoim tekście podejmuje temat biomedycyzacji. Poddaje on analizie dyskursy socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby, które z uwagi na ich scjentyistyczne założenia i redukcjonizm uznaje za niewystarczające. Procesy biomedycyzacji ze swej istoty związane są z licznymi kontrowersjami naukowymi generowanymi przez dynamikę technonauki. Jak przekonuje Wróblewski, dopiero wykorzystanie przez

obie dyscypliny rozstrzygnięć ontologicznych i narzędzi badawczych ANT (dostrzeżenie relacyjności i hybrydalnej natury otaczających nas zjawisk, uwzględnienie sprawczości czynników pozaludzkich) pozwoli nam zrozumieć dynamikę zmian wywołanych rozwojem współczesnych praktyk biomedycznych.

Aleksandra Derra analizuje pojęcie genu i pokazuje, w jaki sposób kryjący się za nim fenomen został potraktowany jako „atom życia” i klucz do odpowiedzi na wszelkie nurtujące biologów pytania. Przedstawia ona, jak historycznie przebiegało definiowanie genu w naukach biologicznych, jakie dzisiaj wiążą się z tym pojęciem pułapki metodologiczne i badawcze, a także wątpliwości filozoficzne. Autorka przygląda się mechanizmom, dzięki którym genetyka posłużyła za arbitra w kwestii „kobiecości” i „męskości”, między innymi w toku zastosowania testów genetycznych do potwierdzania płciowości na międzynarodowych imprezach sportowych. W omawianym artykule dyskurs działania genu potraktowany jest jako znakomity przykład realizowania scjentyistycznych i esencjalistycznych tęsknot. Okazuje się on jednak „ślepą uliczką” nie tylko współczesnej biologii, lecz również filozofii nauki.

Artykuł Danuty Chmielewskiej-Banaszak porusza niezwykle istotny wątek organizacyjnych warunków efektywności ekspertów, związany z szerszym zagadnieniem kreatywności oraz zmian, jakim podlegają obecnie kryteria sukcesu w nauce. W opinii autorki współczesne, komercjalizowane uniwersytety i instytuty badawcze, podporządkowane wymogom ilościowo ocenianej innowacyjności i produktywności, muszą przede wszystkim umiejętnie zarządzać strategiami organizacyjnymi pracy naukowej. Psychologia twórczości i organizacji odchodzi dziś od modelu indywidualnego geniuszu czy talentu w nauce, poszukując uwarunkowań procesu twórczego w złożonej, zespołowej praktyce badawczej, usytuowanej instytucjonalnie oraz kulturowo. Jak przekonuje Chmielewska-Banaszak, to czynniki zewnętrzne, klimat organizacyjny, poczucie kontroli nad własną pracą i przewaga stosunków nieformalnych wyzwalają kreatywność.

Przygotowany przez nas tom zamyka dział „Omówień i rozbiórów”. Zawiera on dwa istotne teksty, w których autorzy komentują i rozwijają wątki występujące w manifestie i pojawiające się w obrębie stanowisk prezentowanych w tomie. Michał Rydlewski rozbudowuje tezy Andrzeja Szahaja dotyczące „kultury upokarzania”, wyraźnie obecnej w polskich mediach. Jak zwraca uwagę Szahaj, w wielu polskich popularnych programach telewizyjnych przeciętni obywatele spotykają się z sytuacjami upokorzenia. Na oczach widzów rozpaczliwie walczą oni o awans społeczny do grupy uprzywilejowanej ludzi sławnych i widzialnych. Upokarzanie legitymizuje pozorną naturalność nierówności rozpościerających się między światem celebrytów-jurorów oraz zezwalających na upokorzenie jednostek aspirujących do talentu i sukcesu. Kultura upokarzania to funkcjonalny element społeczeństwa spektaklu naznaczonego wzrastającymi nierównościami społecznymi i otumanionego neoliberalną ideologią. Rydlewski podkreśla i ukazuje na wielu przykładach wszechobecność upokarzania w polskim społeczeństwie (także w programach dla dzieci), sprzeciwiając się zawężaniu modelu Szahaja do rzeczywistości mediów.

Wreszcie tekst Tomasza S. Markiewki eksploruje filozoficzne napięcia między konstruktywizmem kulturowym a późniejszą fazą ewolucji tego nurtu, określaną mianem postkon-

strukturywizmu (ANT, STS). Jak zobaczymy, spór w szczególności toczy się o możliwość efektywnego, konsekwentnego wykroczenia poza dualizm natury i kultury, przy czym autor najwięcej uwagi poświęca antydualistycznym taktykom R. Rorty'ego i B. Latoura. Jak jednak wynika z analiz Markiewki, zwolenników Rorty'ego i Latoura o wiele więcej łączy, niż dzieli. Retoryka przeciwstawiania sobie natury i kultury niesie bowiem z sobą niepożądane konsekwencje, których zarówno konstruktywiści kulturowi, jak i postkonstruktywiści chcieliby unikać. Wytwarza ona na przykład przepaść między naukami humanistycznymi i przyrodniczymi, pozwala na używanie odwołań do praw natury czy też czystych faktów jako nieproblematyzowanego argumentu służącego do zamykania kontrowersji, a także utrudnia włączenie w ramy polityczne czynników pozaludzkich, jak i badających je nauk przyrodniczych.

Gorąco zachęcamy do zapoznania się z dorobkiem toruńskiej szkoły konstruktywizmu, mając nadzieję, że prezentowane w niniejszym tomie teksty zostaną potraktowane jako zaproszenie do dalszych dyskusji, że staną się intrygującą inspiracją do prowadzenia debat, podejmowania polemik i przekonywania do własnych racji. Życzymy sobie w humanistyce intelektualnego fermentu oraz konstruktywnej krytyki, które pomagają usensownić, a może nawet trochę ulepszyć złożoną rzeczywistość, w jakiej przyszło nam żyć.



Toruńska szkoła konstruktywizmu. Manifest

1. Nauki o kulturze są dla nas naukami podstawowymi.
2. Traktujemy filozofię jest narzędzie uspoijniania, usensawniania i porządkowania świata.
3. Wymienione poniżej tradycje badań uznajemy za szczególnie inspirujące: konstruktywistyczna socjologia wiedzy (tzn. szkoła edynburska, szkoła z Bath, etnografia laboratorium, studia nad nauką oraz technologią, teoria aktora-sieci), teoria stylów myślowych Ludwika Flecka, społeczno-regulacyjna koncepcja kultury Jerzego Kmity, teoria władzy-wiedzy Michela Foucaulta, filozofia niedualizująca Josefa Mitterera, neopragmatyzm Richarda Rorty'ego i Stanleya Fisha, teoria krytyczna szkoły frankfurckiej, koncepcja kapitalistycznego systemu(-)świata Immanuela Wallersteina i innych, (post)-feministyczne badania nad nauką, enaktywizm (koncepcje usytuowanego i ucieleśnionego poznania). Rzecz jasna, powyższa lista nie ma charakteru zamkniętego.
4. Uznajemy za szczególnie użyteczne wykorzystanie w badaniach narzędzi konstruktywistycznych. Proponujemy odejście od teoriocentryzmu. Namawiamy do potraktowania poznania jako przedsięwzięcia zbiorowego, nauki jako sfery praktyki i skutecznego działania, a także do podejmowania analiz procesów stabilizowania faktów oraz dynamiki kontrowersji. Za istotne dla naszej praktyki badawczej uważamy antropologizowanie nauk o kulturze, przez co rozumiemy czerpanie impulsów z etnologii i antropologii kulturowej.
5. Przyjmujemy antyesencjalizm (przede wszystkim w rozumieniu faktów naukowych i podmiotu), historyzm, relacjonizm oraz antydualizm.
6. Za szczególnie ważne uważamy interdyscyplinarne badania nad technonauką we współczesnym społeczeństwie, polityczną rolę laboratoriów oraz innowacji technologicznych, nowoczesnym ryzykiem systemowym oraz mechanizmami rynkowymi (komercjalizacją i prywatyzacją badań).

7. Uważamy, że nauki o kulturze winny uwypuklać rolę czynników pozaludzkich oraz infrastruktury technologicznych, podejmując temat sprawczości rzeczy, delegowania poznania do otoczenia i posthumanizmu.
8. Głosimy konieczność prowadzenia badań zaangażowanych etycznie i politycznie, kładąc szczególny nacisk na krytykę teorii i praktyki współczesnego neoliberalizmu.

Krzysztof Abriszewski

Ewa Bińczyk

Dariusz Brzostek

Danuta Chmielewska-Banaszak

Aleksandra Derra

Janusz Grygień

Marcin Kilanowski

Adam F. Kola

Agnieszka Lenartowicz-Podbielska

Tomasz S. Markiewka

Aleksandra Mosiolek

Andrzej W. Nowak

Michał Rydlewski

Andrzej Szahaj

Michał Wróblewski



Bruno Latour

„Czy wierzysz w rzeczywistość?”¹

Do You Believe in Reality

Abstract: The text comes from Bruno Latour's *Pandora's Hope* and is large part of its chapter one. It starts with a famous question addressed to Latour by a scientist “do you believe in reality?” It marks the starting point of the investigation of the role of science studies, their work, and the way they account science, and way they are attacked do fiercely by so called “science warriors”. Science studies are viewed as critical towards well known model of two cultures. Instead they offer another model – one situating science deeply in the heart of collective life.

Key words: reality, science studies, mob rule, politics, science, humans, nonhumans

„Mam do ciebie pytanie”, powiedział, wyciągając z kieszeni pomięty zwitek papieru, na którym nabazgrał kilka ważnych słów. Wziął oddech i zapytał: „Czy wierzysz w rzeczywistość?”.

„Ależ oczywiście!”, roześmiałem się. „Cóż za pytanie! Czy rzeczywistość to coś, w co trzeba wierzyć?”

Poprosił mnie o spotkanie, by podyskutować w odosobnieniu, w miejscu, które wydało mi się równie dziwaczne, co pytanie: nad jeziorem nieopodal domku górskiego, w tej osobliwej imitacji szwajcarskiego kurortu położonego w tropikalnych lasach Teresópolis w Brazylii. „Czy rzeczywistość naprawdę stała się przedmiotem, w który trzeba wierzyć?”, zastanawiałem się, szukając odpowiedzi na poważne pytanie zadane po cichu zawstydzonym tonem. Czy rzeczywistość jest czymś na kształt Boga, treścią wyznania, do którego dociera się w wyniku długiej, intymnej rozmowy? Czy na Ziemi są jacyś ludzie, którzy n i e wierzą w rzeczywistość?

Kiedy zauważyłem jego ulgę spowodowaną moją szybką, zaprawioną śmiechem odpowiedzią, wpadłem w jeszcze większe zakłopotanie, ponieważ jego reakcja jasno pokazała, że oczekiwał n e g a t y w n e j odpowiedzi, czegoś w rodzaju: „Oczywiście, że nie! Myślisz, że jestem aż tak naiwny?”. Nie był to zatem dowcip; on pytał zupełnie poważnie, a jego troska była jak najszczersza.

¹ Niniejszy tekst stanowi fragment pierwszego rozdziału książki Brunona Latoura *Nadzieja Pandory. Eseje o rzeczywistości w studiach nad nauką*. Jest on publikowany za uprzejmą zgodą Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, które wydało całość tej pracy (Toruń 2012). W stosunku do oryginału z książki usunięty został tu podrozdział *Dziwny wynalazek „zewnątrznego” świata* (jako poświęcony wyłączenie reinterpretacji historii epistemologii od Kartezjusza do dziś), załączony schemat oraz te z odwołań do innych części książki, które nie wnoszą nic do treści samego rozdziału (przyp. tłum.).

„Mam jeszcze dwa pytania”, dodał bardziej rozluźnionym tonem. „Czy wiemy teraz więcej niż kiedyś?”

„Ależ naturalnie! Tysiąc razy więcej!”

„Ale czy nauka jest kumulatywna?”, ciągnął z niejaką obawą, jakby lękając się zbyt gładkiej wygranej.

„Tak mi się wydaje”, odpowiedziałem, „choć tu mam pewne wątpliwości, ponieważ nauki również zapominają wiele z własnej przeszłości i z minionych programów badawczych – lecz patrząc całościowo, powiedzmy, że tak. Dlaczego pytasz mnie o to wszystko? Za kogo mnie uważasz?”

Musiałem na tyle szybko przeskakiwać między interpretacjami, by jednocześnie mieć obraz potwora, jakiego widział we mnie, gdy stawiał pytania, jak i jego poruszającą otwartość umysłu, skoro powążył się zwrócić do tego potwora na osobności. To ja musiałem zebrać się na odwagę i dla niego stanąć oko w oko z jednym z tych monstrów, które zagrażają w jego mniemaniu całej nauce, z jednym z tych ludzi z tajemniczego obszaru zwanego „studia nad nauką”, których reprezentanta nie dane mu było nigdy spotkać na żywo, a którzy – tak mu przynajmniej mówiono – stanowili jeszcze jedno zagrożenie dla nauki w pewnym państwie, w Ameryce, w którym badania naukowe nigdy nie miały zapewnionego całkowicie bezpiecznego gruntu.

On był wysoce poważanym psychologiem, razem zostaliśmy zaproszeni przez Wenner-Gren Foundation na spotkanie składające się w dwóch trzecich z naukowców, a w jednej trzeciej z badaczy nauki. Sam ten podział, wprowadzony przez organizatorów, wprowadził mnie w zakłopotanie. W jaki sposób możemy być p r z e c i w s t a w i a n i naukowcom? To, że badamy jakiś przedmiot, nie znaczy, że go atakujemy. Czy biologowie są przeciw życiu, astronomowie przeciw gwiazdom, immunologowie przeciw przeciwciałom? Poza tym przez dwadzieścia lat wykładałem na uczelniach naukowych, pisałem do naukowych czasopism, a moje koleżanki i koledzy badacze utrzymywali się z kontraktów na badania zawieranych w imieniu licznych grup naukowców w przemyśle i Akademii. Czyż sam nie byłem więc częścią francuskiej nauki? Trochę mnie irytowało to pośpieszne wykluczenie. Oczywiście, jestem jedynie filozofem, ale co powiedzieliby na to moi przyjaciele ze studiów nad nauką? Większość z nich kształciła się w obrębie jakiejś nauki, a przynajmniej część z nich była dumna z r o z c i ą g n i ę c i a naukowego spojrzenia na samą naukę. Można by ich nazwać członkami jakiejś innej dyscypliny czy innej poddziedziny, ale nie „antynaukowcami” spotykającymi się w pół drogi z naukowcami, jak gdyby te dwie grupy stanowiły przeciwstawne armie negocjujące w czasie zawieszenia broni, nim powrócą na pole walki!

Nie dawała mi spokoju dziwaczność pytań postawionych przez tego człowieka, którego uznawałem za kolegę po fachu (a z którym od tego czasu blisko się zaprzyjaźniliśmy). Jeśli studia nad nauką dokonały czegokolwiek, myślałem sobie, to z pewnością raczej d o d a ł y rzeczywistości (*reality*) nauce, a nie jej odjęły. Zamiast słomianych naukowców zwisających ze ścian gabinetowych filozofów nauki z przeszłości nakreśliliśmy obrazy barwnych postaci, zagłębianych w swoich laboratoriach, pełnych pasji, zaopatrzonych w mnóstwo instrumentów, przesiąkniętych specjalistyczną wiedzą techniczną (*know-how*), ściśle po-

łączonych z jakimś większym, tętniącym życiem otoczeniem. Zamiast bladej, bezkrwistej obiektywności nauki wszyscy, jak mi się zdaje, pokazaliśmy, że liczne czynniki pozaludzkie (*nonhumans*) w mieszane w nasze zbiorowe życie dzięki praktykom laboratoryjnym posiadają swoją historię, elastyczność, kulturę, krew, krótko mówiąc – wszystkie te cechy, których im odmawiali humaniści z drugiej strony uczelnianego kampusu. W rzeczy samej, jak sobie naiwnie wyobrażałem, jeśli naukowcy mają jakiegoś wiernego sprzymierzeńca, to jesteśmy nim my, badacze nauki, którym po tych wszystkich latach udało się zainteresować nauką i technologią dziesiątki zajmujących się literaturą humanistów (*literary folk*), czytelników, którzy do czasu pojawienia się studiów nad nauką byli przekonani, że „nauka nie myśli”, jak powiedział Heidegger, jeden z ich mistrzów.

Podejrzenia psychologa uderzyły mnie jako głęboko niesprawiedliwe, ponieważ zdawał się nie rozumieć, że w tej wojnie partyzanckiej prowadzonej na ziemi niczyjej pomiędzy „dwoma kulturami” to my byliśmy atakowani przez wszelkiego rodzaju bojowników, aktywistów, socjologów, filozofów i technofobów właśnie ze względu na nasze zainteresowanie wewnętrzną mechaniką faktów naukowych. Kto bardziej kocha naukę, pytałem sam siebie, niż to małe naukowe plemię, które nauczyło się otwierać fakty, maszyny i teorie, zwracając uwagę na ich korzenie, naczynia krwionośne, sieci, kłącza i wici? Kto bardziej wierzy w obiektywność nauki niż ci, którzy twierdzą, że można uczynić z niej przedmiot (*object*) badań?

I wtedy zdałem sobie sprawę, że się myliłem. To, co nazwałbym „dodawaniem realizmu do nauki”, faktycznie było postrzegane przez naukowców na tym zjeździe jako zagrożenie dla uprawiania nauki, jako umniejszanie jej dążenia do prawdy i jej roszczeń do pewności. Skąd brało się to nieporozumienie? Jak mogłem dożyć chwili, gdy z całą powagą zadano mi to niezwykle pytanie: „Czy wierzysz w rzeczywistość?”. Przepaść pomiędzy tym, co wydawało mi się, że osiągnęliśmy w studiach nad nauką, a implikacjami tego pytania była tak potężna, że musiałem spojrzeć za siebie. W ten sposób narodziła się ta książka.

(...)

Lęk przed rządami tłumu

Jak już powiedziałem, za pytaniem mego przyjaciela kryły się dwa lęki. Pierwszy, obawa umysłu zamkniętego w słoju przed utratą połączenia ze światem na zewnątrz, ma krótszą historię niż drugi, który wyrasta z pewnego truizmu: jeśli rozum nie będzie piastował rządów, to przejmie je brutalna siła. Groźba ta jest tak wielka, że wszystkie możliwe polityczne środki zaradcze są bezkarnie podejmowane przeciwko tym, o których uważa się, że są orędownikami siły przeciw rozumowi. Skąd wzięła się ta niezwykła opozycja między obozem rozumu a obozem siły? Pochodzi ona ze starej i poważnej dyskusji, która prawdopodobnie była toczona wielokrotnie, lecz najczytelniej i w sposób najbardziej wpływowy została przedstawiona u Platona w *Gorgiasie*. W dialogu tym Sokrates, prawdziwy naukowiec, toczy spór z Kalliklosem, będącym kolejnym z tych monstrów, które trzeba przesłuchać po to, by ukazać wszystkie ich nonsensy, tym razem jednak nie na brzegu brazylijskiego

jeziora, lecz w Atenach na agorze. Mówi on Kalliklesowi: „Ty zaś, jak mi się wydaje, mimo swej mądrości nie zwracasz na to uwagi, i dlatego zapominasz, że geometryczna równość panuje tak między bogami, jak i ludźmi. Ty uważasz, że należy dążyć do przewyższenia innych, ponieważ zaniedbujesz geometrię”².

Nie ma wątpliwości, iż Kallikles jest ekspertem od nierówności [*disproportion*; w polskim przekładzie „przewyższania” – przyp. tłum.]. „Lecz ja sądzę”, peroruje, dając przedsmak darwinizmu społecznego, „że sama natura objawia, iż jest sprawiedliwie, by lepszy miał więcej niż gorszy (...) iż za sprawiedliwą uważana jest władza silniejszego nad słabszym i jego wyższość”³. Moc wyznacza Rację (*Might makes Right*), jak szczerze przyznaje Kallikles. Tkwi tu jednak pewien szkopuł. Jak chętnie przyznają obaj protagoniści, rozważyć należy przynajmniej dwa rodzaje Mocy: Kalliklejską oraz ateński tłum. „Lub czy uważasz”, pyta Kallikles, „że jeśli zbierze się gromada niewolników, zbieranina ludzi ma łowartych, z wyjątkiem może ich siły fizycznej, i coś takiego mówią, to ja to nazywam prawami?”⁴. Problemem nie jest więc po prostu przeciwstawienie siły i rozumu, Mocy i Racji, lecz Mocy samotnego patrycjusza wobec przeważających sił zbiegowiska. W jaki sposób można unieważnić połączone siły ludu ateńskiego? Sokrates ironizuje: „Niejednokrotnie zatem człowiek mądry jest potężniejszy od tysięcy nierozumnycch, zgodnie z tym, co ty twierdzisz, i on powinien rządzić, oni go słuchać; i ten, co rządzi, winien mieć więcej niż rządzeni”⁵. Kallikles, mówiąc o brutalnej sile, ma na myśli odziedziczoną siłę moralną wyższą od tysięcy brutali.

Czy jednak Sokrates postępuje uczciwie, wymierzając swą ironię w Kalliklesa? Jaki rodzaj nierówności (*disproportion*) wykorzystuje sam Sokrates? Jakim rodzajem władzy sam usiłuje się posługiwać? Moc, po której stronie staje Sokrates, to władza rozumu (*power of reason*), „władza geometrycznej równości”, siła, która „panuje tak między bogami, jak i ludźmi”, o której on wie, ale którą ignorują zarówno Kallikles, jak i tłum. Jak zobaczymy później, w tym miejscu skrywa się jeszcze drugi problem, ponieważ mamy tu do czynienia z dwiema siłami rozumu: jedną skierowaną przeciw Kalliklesowi, stanowiącemu doskonały kontrast [dla Sokratesa], i drugą mającą na celu odwrócenie równowagi sił pomiędzy Sokratesem a resztą ateńczyków. Sokrates także poszukuje siły zdolnej zneutralizować siłę „tysięcy nierozumnycch”. On również walczy o największy kąsek. Tak niezwykle skutecznie zmienia równowagę sił, że pod koniec *Gorgiasa* chlępi się, iż jest „jedynym politykiem w Atenach”, jedynym zwycięzcą zgarniającym główną nagrodę, wieczną chwałę przyznaną mu przez Radamantysa i Minosa, którzy przewodniczą w piekielnym trybunale! Wysztycha wszystkich sławnych ateńskich polityków, włącznie z Peryklosem, i sam jeden, zaopatrzony we „władzę geometrycznej równości”, będzie rządził obywatelami miasta, nawet po śmierci. W długiej historii literatury jest jednym z pierwszych szalonych naukowców.

² Wykorzystuję najnowszy przekład Robina Waterfielda (Oxford University Press, Oxford 1994). (Na potrzeby tekstu w języku polskim również posłużyłem się nowszym przekładem tekstu: Platon, *Gorgias, Menon*, przeł. P. Siwek, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1991, 508A).

³ *Ibidem*, 483D–E.

⁴ *Ibidem*, 489C.

⁵ *Ibidem*, 490A.

„Jakby nie dość było twojej byle jak nakreślonej historii nowożytnej filozofii”, może w tym momencie poskarżyć się czytelnik, „to czy musisz na dodatek wlec nas w odległe czasy antycznych Greków tylko po to, by poradzić sobie z pytaniem zadany w Brazylii przez psychologa?”. Obawiam się jednak, że obie te wycieczki były konieczne, ponieważ dopiero teraz mogę związać oba wątki i wyjaśnić obawy mojego przyjaciela. Dopiero po tych dygresjach mogę wyjaśnić własne stanowisko.

Przed wszystkim dłaczego w ogóle potrzebujemy idei z e w n ę t r z n e g o ś w i a t a, omiatanego spojrzeniem z bardzo niedogodnego stanowiska umysłu w naczyniu? Zastanawiało mnie to zawsze, odkąd tylko zacząłem moją pracę w obrębie studiów nad nauką prawie dwadzieścia pięć lat temu. Dlaczego utrzymanie tak niezręcznego położenia ma być istotne mimo wszystkich kłopotów, jakie spowodziło ono na filozofów, zamiast wykonać rzecz oczywistą: spojrzeć za siebie, wrócić po śladach, przyciąć krzaki zasłaniające rozgałęzienie dróg i pewnie ruszyć tą drugą, zapomnianą ścieżką? Po co obciążać ten osamotniony umysł niemożliwym zadaniem poszukiwania absolutnej pewności, zamiast przywrócić mu wszystkie połączenia, które dadzą mu całą względną pewność, jakiej potrzebuje, by wiedzieć i działać? Dlaczego próbować jednym ustami wykrzyknąć jednocześnie dwa sprzeczne rozkazy: „Pozostań absolutnie odłączony!” i „Poszukuj absolutnego dowodu na to, że jesteś podłączony!”? Któż byłby zdolny rozsypać takie niemożliwe podwójne zawężenie? Nie dziwota, że tak wielu filozofów skończyło w szpitalach dla nerwowo chorych. Aby uzasadnić taką samonałożoną, maniackalną torturę, trzeba mieć na oku bardziej wzniosły cel, i tak rzeczywiście było. W tym miejscu obie nici się łączą: po to, by uniknąć nieludzkiego tłumu (*inhuman crowd*), musimy się opierać na innych nieludzkich zasobach (*inhuman resource*), obiektywnych przedmiotach (*objective objects*) nietkniętych ludzką ręką.

Aby uchronić się przed groźbą rządów tłumu, przez które wszystko stanie się niskie, potworne i nieludzkie, musimy się oprzeć na czymś, co nie pochodzi od człowieka, pozbawione jest ludzkiego śladu, czymś, co znajduje się zupełnie poza Miastem. Idea całkowicie z e w n ę t r z n e g o ś w i a t a wyśniona przez epistemologów to według moralistów (*moralists*) jedyny sposób, by nie paść łupem rządów tłumu. T y l k o t o, c o n i e l u d z k i e, m o ż e p o k o n a ć t o, c o n i e l u d z k i e. Jak jednak można wyobrazić sobie świat zewnętrzny? Czy ktokolwiek widział kiedyś taki dziw nad dziwy? To żaden problem. Uczynimy ze świata spektakl oglądany od środka.

Aby uzyskać takie przeciwstawienie, musimy wyobrazić sobie umysł w naczyniu zupełnie odłączony od świata i mający do niego dostęp wyłącznie przez jeden, mały, sztuczny kanalik. Jak przekonują psychologowie, ta minimalna więź wystarczy, by utrzymać świat na zewnątrz, by umysł wciąż otrzymywał informacje, pod warunkiem, że później uda nam się sklecić jakieś absolutne środki pozwalające przywrócić pewność – jak się okazuje, nie byle jaki to wyczyn. W ten sposób osiągniemy nasz cel nadrzędny: u t r z y m a ć c i ż b ę n a d y s t a n s. Potrzebujemy, by świat znajdował się całkowicie na zewnątrz, pozostając jednocześnie nam dostępny, właśnie po to, by odierać zagrażający motłoch. Zaś niezwykle wynalazek umysłu w naczyniu odciętego od wszystkiego innego, goniącego za prawdą absolutną, lecz niemogącego do niej dotrzeć, pojawił się właśnie po to, by osiągnąć ów nie-

możliwy cel. Epistemologia, moralność, polityka i psychologia idą ręką w rękę, tworząc razem jeden układ (*settlement*).

Tak wygląda rozumowanie zawarte w tej książce. Taki jest także powód, dla którego tak trudno umiejscowić (*locate*) rzeczywistość w studiach nad nauką. Za chłodnym pytaniem epistemologicznym – czy nasze reprezentacje potrafią uchwycić z jakąś dozą pewności trwałe cechy świata na zewnątrz? – skrywa się druga, bardziej paląca obawa: czy potrafimy znaleźć sposób na to, by utrzymać ludzi na dystans? I odwrotnie – za każdą definicją tego, co „społeczne” (*the „social”*), kryje się ta sama troska: czy wciąż będziemy potrafili wykozystać obiektywną rzeczywistość, by uciszyć motłoch?

Pytanie mojego przyjaciela, zadane nad brzegiem jeziora, gdzie w cieniu rzucanym przez domek schroniliśmy się przed tropikalnym słońcem południowej zimy, staje się w końcu jasne: „Czy wierzysz w rzeczywistość?” oznacza „Czy jesteś gotów zaakceptować ten układ epistemologii, moralności, polityki i psychologii?” – na co natychmiastowa i pełna rozbawienia odpowiedź brzmi z pewnością: „Nie! Oczywiście, że nie! Za kogo mnie masz? Jak mógłbym uważać, że rzeczywistość stanowi odpowiedź na pytanie o wiarę zadane przez mózg w naczyniu przerażony możliwością utraty kontaktu z zewnętrznym światem, bo jeszcze bardziej przeraża go możliwość owładnięcia przez świat społeczny naznaczony jako nieludzki?”. Rzeczywistość jest przedmiotem wiary jedynie dla tych, którzy rozpoczęli ten ciąg niemożliwych pomysłów osuwających się nieustannie w coraz gorsze i coraz radykalniejsze rozwiązania. Niech sami posprzątają swój bałagan i wezmą na siebie odpowiedzialność za własne grzechy. Moja ścieżka zawsze przebiegała inaczej. „Niech umarli grzebią umarłych”. I proszę choć przez chwilę posłuchać, co mamy do powiedzenia w naszym własnym imieniu, zamiast próbować uciszyć nas, wkładając w nasze usta słowa, które Platon włożył w usta Sokratesa i Kalliklesa, by uciszyć ludzi.

Z mojej perspektywy studia nad nauką dokonały dwóch powiązanych z sobą odkryć, które niestety przebijają się do naszej świadomości bardzo powoli ze względu na siłę układu (*settlement*), który właśnie przedstawiłem, a także z paru innych powodów, które wyjaśnię później. To podwójne odkrycie mówi, iż ani przedmioty, ani to, co społeczne, nie posiada nieludzkiego charakteru, czego wymagał melodramatyczny spektakl Sokratesa i Kalliklesa. Kiedy mówimy, iż nie ma żadnego zewnętrznego świata, to nie oznacza, że zaprzeczamy jego istnieniu, ale że przeciwnie – odmawiamy przyznania mu ahistorycznej, odizolowanej, nieludzkiej, zimnej i obiektywnej egzystencji, przypisanej mu tylko po to, by pokonać tłum. Kiedy mówimy, że nauka jest społeczna, słowo „społeczny” nie posiada dla nas piętna „ludzkiego wymiaru rozjuszonego motłochu”, które Sokrates i Kallikles błyskawicznie przywołują po to, by uzasadnić poszukiwanie siły na tyle dużej, aby zrównoważyć potęgę (*power*) „tysięcy nierozumnych”.

Żadna z tych nieludzkich potworności – motłoch „poniżej” ani obiektywny świat „na zewnątrz” – nadmiernie nas nie interesuje. Dlatego nie potrzebujemy umysłu bądź mózgu w naczyniu, kalekiego despoty żyjącego w ciągłym strachu przed utratą „dostępu” do świata, do jego „wyższej mocy” („*superior force*”), którą można przeciwstawić ludziom. Nie tęsknimy ani za absolutną pewnością kontaktu ze światem, ani za absolutną pewnością transcendentnej siły skierowanej przeciw rozjuszonemu motłochowi. Nie brakuje nam

pewności, ponieważ nigdy nie marzyliśmy o d o m i n a c j i nad ludźmi. Nie istnieje dla nas jedno nieludzkie, które trzeba stłumić za pomocą jakiegoś drugiego nieludzkiego. Ludzie (*humans*) i czynniki pozaludzkie (*nonhumans*) nam wystarczą. Nie potrzebujemy, aby świat społeczny skrzywił kark obiektywnej rzeczywistości ani by obiektywna rzeczywistość uciszyła tłum. Sprawa jest prosta, nawet jeśli w czasie wojen o naukę brzmi to nie do wiary: m y n i e znajdujemy się w stanie wojny.

Gdy tylko odmówimy zaangażowania dyscyplin naukowych w dyskusję o tym, kto powinien dźwżyć ster nad ludźmi, odkrywamy ponownie zagubione skrzyżowanie i nie ma już żadnego problemu, by podążyć porzuconą wcześniej ścieżką. Realizm powraca teraz z pełną siłą, jak – mam nadzieję – stanie się to oczywiste w dalszych rozdziałach, które powinny przyjąć formę słupków stojących wzdłuż drogi do bardziej „realistycznego realizmu”. Moje rozumowanie w tej książce stanowi rekapitulację zacinającego się postępu – „dwa kroki do przodu, jeden w tył” – studiów nad nauką dokonującego się na tej zagubionej ścieżce.

Rozpoczęło się od tego, że zaczęliśmy mówić o p r a k t y c e naukowej, oferując tym samym bardziej realistyczne podejście do nauki w działaniu (*science-in-making*), zakorzeniając je silnie w laboratoriach, eksperymentach oraz grupach kolegów-badaczy. Rozpoznane przez nas fakty w sposób oczywisty były wytworzone (*fabricated*). Realizm wyłonił się ponownie, gdy zamiast mówić o przedmiotach (*objects*) i obiektywności, zaczęliśmy mówić o c z y n n i k a c h p o z a l u d z k i c h (*nonhumans*), które socjalizowano poprzez laboratoria i z którymi naukowcy oraz inżynierowie zaczęli wymieniać się własnościami. W rozdziale 4 zobaczymy, w jaki sposób Pasteur tworzy (*makes*) swoje mikroby, zaś mikroby „tworzą swego Pasteura”; rozdział 6 oferuje ogólniejsze rozważania nad ludźmi (*humans*) i czynnikami pozaludzkimi (*nonhumans*) nakładającymi się (*folding*) na siebie, tworzącymi nieustannie zmieniające się zbiorowości. Podczas gdy powody polityczne spowodowały, że przedmioty były zimne, aspołeczne i odległe, odkryliśmy, iż czynniki pozaludzkie były bliskie, gorące i łatwiejsze do zwerbowania i przyłączenia, dodając coraz więcej rzeczywistości do zmagają, w które angażowali się naukowcy i inżynierowie.

Realizm wzbogacił się jeszcze, gdy czynniki pozaludzkie również zaczęły posiadać h i s t o r i e, uzyskały możliwość wielości interpretacji, elastyczności i złożoności, które dotychczas były zarezerwowane tylko dla ludzi (zob. rozdział 5). W wyniku ciągu antykonformistycznych rewolucji koszmarny wytwór wyobraźni Kanta powoli utracił swe pełne perswazyjności władanie nad filozofią nauki. Na nowo mogliśmy w sposób jasny powiedzieć, że słowa m a j ą odniesienie (*have reference*) do świata, a nauka chwyta rzeczy same w sobie. Naiwność wreszcie powróciła; naiwność charakterystyczna dla tych, którzy nie mogli pojąć, jak świat może się znajdować „na zewnątrz”. Musieliśmy jednak zaproponować rzeczywistą alternatywę dla fatalnego rozróżnienia na rzeczywistość i konstrukcję; moją wersję związaną z pojęciem „faktyszu” przedstawiam tutaj. „Faktysz” to złożenie słów „fakt” i „fetyz”, w którym dwukrotnie dodano proces wytwarzania (*work of fabrication*), usuwając tym samym podwójny efekt wiedzy i przekonania.

Zamiast pozostawać przy trzech obszarach – rzeczywistości „na zewnątrz”, umysłu „wewnątrz” i tłumie „na dole” – dotrzemy wreszcie do tego, co mam na myśli, mówiąc

o zbiorowości. Jak pokazuje analiza *Gorgiasa*, Sokrates bardzo dobrze zdefiniował zbiorowość, zanim przeszedł do swej pełnej agresji z Kalliklosem: „Mędrcy powiadają, Kalliklesie, że niebo i ziemia, bogowie i ludzie p o ł ą c z e n i s ą wspólnotą i przyjaźnią, szacunkiem dla porządku, roztropnością, sprawiedliwością, i dlatego świat nazywają p o - r z ą d k i e m (*cosmos*), przyjacielu, nie zaś nieporządkiem lub b e z ł a d e m”⁶.

Tak, wszyscy zamieszkujemy hybrydyczny świat składający się z bogów, ludzi, gwiazd, elektronów, elektrowni atomowych oraz rynków, i to my czynimy z niego „bezład” bądź „porządek”, kosmos, jak nazywa to grecki tekst, uczestnicząc w tym, co Isabelle Stengers pięknie nazywa kosmopolityką⁷. W jednej chwili znika umysł w słoju spoglądający na zewnętrzny świat, poszukiwanie absolutnej pewności staje się mniej naglące, w rezultacie bez trudu możemy powrócić do relatywizmu, relacji i względności (*relativity*), z których nauki zawsze czerpały. Gdy tylko świat społeczny traci piętno nałożone przez tych, którzy pragną uciszyć motłoch, nic już nam nie przeszkadza dostrzegać ludzki charakter naukowej praktyki, jej żywej historii i licznych połączeń z resztą zbiorowości. Realizm powraca niczym krew płynąca poprzez wiele naczyń ponownie podłączonych przez zręczne ręce chirurgów – nie potrzeba już zestawów ratunkowych podtrzymujących życie. Po wybraniu tej ścieżki nikomu nie przyjdzie nawet do głowy zadawanie dziwaczego pytania: „Czy wierzysz w rzeczywistość?” – przynajmniej zadawanie go n a m!

Oryginalność studiów nad nauką

Niemniej mój przyjaciel psycholog nadal byłby uprawniony do postawienia innego, poważniejszego pytania: „Jak wytłumaczyć to, że pomimo tego, co, jak twierdzisz, twoja dziedzina osiągnęła, t r a p i ł o mnie to głupie pytanie, które ci zadałem, j a k g d y b y warte było poświęcenia mu uwagi? Jak to się dzieje, że mimo iż przegoniłeś mnie przez te wszystkie filozofie, wciąż powątpiewam w radykalny realizm, za którym obstajesz? Nic na to nie poradzę, że ciągle wydaje mi się, że trwa wojna o naukę. Koniec końców, czy ty sam jesteś zwolennikiem, czy wrogiem nauki?”

Trzy różne zjawiska wyjaśniają, jak mi się przynajmniej zdaje, dlaczego tak trudno rozpoznać nowatorstwo „studiów nad nauką”. Po pierwsze, jesteśmy – jak już powiedziałem – ulokowani na ziemi niczyjej pomiędzy dwiema kulturami, analogicznie jak żołnierze francuscy i niemieccy uprawiający kapustę i rzepę pomiędzy liniami Zygfryda i Maginota podczas „siedzącej wojny”⁸ w 1940 roku. Naukowcy chętnie na różnych spotkaniach mówią o „przerzucaniu mostów pomiędzy dwiema kulturami”, kiedy jednak większa liczba osób spoza nauki zaczyna taki most budować, umykają w przerażeniu i usiłują zakneblować ich

⁶ *Ibidem*, 507E–508A.

⁷ I. Stengers, *Cosmopolitiques. Vol. 1: La Guerre des sciences*, La Découverte et Les Empêcheurs de penser en rond, Paris 1996.

⁸ Także „śmieszna wojna”. Tak określa się początkowy okres II wojny światowej w Europie Zachodniej. Cechą charakterystyczną była bierność i praktycznie brak działań wojennych (przyp. tłum.).

w najdziwniejszy sposób od czasów Sokratesa, mówiąc, że tylko naukowcy mogą mówić o nauce!

Wyobraźmy sobie tylko, co by się stało, gdyby slogan ten uogólnić: tylko politycy powinni mówić o polityce, biznesmeni o biznesie; czy jeszcze gorzej: tylko szczury będą mówić o szczurach, żaby o żabach, a elektrycy o elektronach! Mowa z definicji zakłada ryzyko nieporozumień pomiędzy gatunkami. Jeśli naukowcy pragną na dobre połączyć dwie kultury, muszą przywyknąć do pewnej ilości szumu, a nawet do odrobiny bzdur. Koniec końców, humaniści nie robią wcale afery z powodu licznych absurdów wygadanych przez naukowców próbujących wznosić most ze swojej strony. Mówiąc poważnie, przerzucanie mostu nie może oznaczać rozciągania niekwestionowalnych w y n i k ó w nauki po to, by powstrzymać „ludzką ciżbę” od irracjonalnych zachowań. Takie próby w najlepszym razie można nazwać pedagogiką, a w najgorszym – propagandą. Coś takiego nie przejdzie jako kosmopolityka, która wymagałaby, aby zbiorowość socjalizowała w swym wnętrzu razem z sobą ludzi, czynniki pozaludzkie i bogów. Przerzucanie mostów pomiędzy dwiema kulturami nie może oznaczać oferowania pomocnej dłoni przy realizacji marzenia Sokratesa i Platona o całkowitej kontroli.

Skąd jednakże wyrasta sama debata na temat dwóch kultur? Z podziału pracy na dwoje w akademickich kampusach. Jedna strona uważa, że nauka jest ścisła jedynie, gdy wyczyści się ją z wszelkich zabrudzeń w postaci subiektywności (*subjectivity*), polityki czy emocji; druga strona działa z większym rozmachem, uznając człowieczeństwo, moralność, podmiotowość (*subjectivity*) czy prawa za wartościowe jedynie, gdy uchroni się je przed jakimkolwiek kontaktem z nauką, techniką bądź obiektywnością. My, przedstawiciele studiów nad nauką, walczymy z obiema formami czystek, jednocześnie przeciw obu wymazywaniom, i z tego powodu oba obozy uznają nas za zdrajców. Powtarzamy naukowcom, że i m b a r d z i e j n a u k a p o d ł ą c z o n a j e s t d o r e s z t y z b i o r o w o ś c i, t y m j e s t l e p s z a, bardziej ścisła, bardziej weryfikowalna i solidniejsza – lecz to kłóci się z wszelkimi odruchami warunkowymi epistemologów. Kiedy powtarzamy im, że świat społeczny służy zdrowej nauce, to wydaje im się, że mówimy, iż motłoch Kalliklesa pędzi, by splądrować ich laboratoria.

Z kolei w przypadku drugiego obozu powtarzamy humanistom, że i m b a r d z i e j c z y n n i k i p o z a l u d z k i e d z i e ł ą ż y c i e z l u d ź m i, t y m b a r d z i e j l u d z k a j e s t z b i o r o w o ś ć – i t o t a k ż e k ł ó c i s i ę z t y m, w c o p r z e z l a t a u c z o n o i c h w i e r z y ć. Kiedy usiłujemy skupić ich uwagę na twardych faktach i solidnych mechanizmach, gdy mówimy, że przedmioty (*objects*) służą zdrowiu podmiotów, ponieważ nie posiadają nic z nieludzkich właściwości, które wzbudzają takie obawy, krzyczą wtedy, że żelazna dłoń obiektywności wtłacza miękkie i elastyczne dusze do urzeczowionych maszyn. Sprzeciwiamy się jednak nieustannie obu stronom, upierając się wciąż, że istnieje społeczna historia rzeczy i „rzeczowa” historia ludzi, lecz ani „świat społeczny”, ani „świat obiektywny” nie odgrywają rolę przypisanych im przez Sokratesa i Kalliklesa w ich groteskowym melodramacie.

Jeśli można w sposób uzasadniony oskarżać badaczy nauki o brak symetrii, to o tyle, iż z n a c z n i e b a r d z i e j w a l c z y m y z h u m a n i s t a m i, k t ó r z y u s i ł u j ą w y n a l e ż ć l u d z k

ki świat oczyszczony z czynników pozaludzkich, niż z epistemologami, którzy starają się pozbawić naukę wszelkich społecznych zanieczyszczeń. Dlaczego? Ponieważ naukowcy spędzają jedynie część swego czasu na oczyszczaniu nauk i – szczerze mówiąc – gwiżdżą na filozofów nauki mknących im na ratunek, podczas gdy humaniści poświęcają cały swój czas bardzo poważnie traktowanemu zadaniu uwalniania ludzkich podmiotów od groźby uprzedmiotowienia (*objectification*) i reifikacji. Dobrzy naukowcy włączają się do wojen o naukę jedynie w wolnym czasie, kiedy są na emeryturze lub gdy akurat skończyły im się pieniądze z grantu, podczas gdy humaniści stoją pod bronią dzień i noc, a nawet potrafią skłaniać instytucje finansujące badania, by przyłączały się do walk. Z tego właśnie powodu podejrzliwość ze strony naszych kolegów naukowców tak bardzo nas złości. Zdaje się, że nie potrafią już odróżniać przyjaciół od wrogów. Niektórzy z nich uganiają się za czcą mrzonką o autonomicznej i odizolowanej nauce w stylu Sokratesa, w czasie gdy wskazujemy im środki, jakich potrzebują, by nadać faktom realności (*reconnect the facts to the realities*), bez której nauka nie może istnieć. A któż jako pierwszy dał nam ten ukryty skarb wiedzy? Sami naukowcy!

Ta ślepotą dziwi mnie niezmiernie także dlatego, że wiele dyscyplin naukowych przyłączyło się do nas w ciągu ostatnich dwudziestu lat, tłumnie zaludniając ziemię niczyją pomiędzy dwiema liniami. To drugi powód, dla którego „studia nad nauką” są tak kontrowersyjne. Przez pomyłkę uwikłały się one w jeszcze jedną dyskusję, tym razem w o b r e b i e samych nauk. Z jednej strony bowiem mamy to, co można nazwać „dyscyplinami zimnowojennymi”, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak Nauka z przeszłości, są autonomiczne i oddzielone od zbiorowości; z drugiej zaś strony mamy zadziwiające gmatwaniny polityki, nauki, technologii, rynków, wartości, etyki i faktów, których nie da się prosto uchwycić jednym słowem „Nauka” pisanym z wielkiej litery.

Jeśli jakoś wiarygodne jest stwierdzenie, że kosmologia nie posiada najmniejszych nawet powiązań ze społeczeństwem – choć nie jest to prawda, jak przekonująco mówi nam o tym Platon – nie sposób powiedzieć czegoś takiego o neuropsychologii, socjobiologii, prymatologii, informatyce, marketingu, gleboznawstwie, kryptologii, mapowaniu genomu czy rozmytej logice, by wskazać jedynie kilka z tych aktywnych obszarów, kilka „nieporządków”, jak nazwałby je Sokrates. Z jednej strony mamy model, który wciąż stosuje stary slogan – im mniej powiązana nauka, tym lepiej – podczas gdy z drugiej strony mamy liczne dyscypliny niepewne swego statusu, usiłujące bez skutku stosować stary model, lecz niezdolne jeszcze, by choćby po cichu przyznać to, co od dawna powtarzamy: „Spokojnie, bez nerwów, im bardziej powiązane nauki, tym lepiej. Pozostawianie częścią zbiorowości nie pozbawi was czynników pozaludzkich, które tak dobrze socjalizujecie. Pozbawi was tylko polemicznej odmiany obiektywności, która nadaje się wyłącznie jako broń do prowadzenia politycznej wojny p r z e c i w polityce”.

Ujmując rzecz bardziej dosadnie, studia nad nauką stały się zakładnikiem w procesie wielkiego przejścia od Nauki do czegoś, co moglibyśmy określić jako Badania (*Research*; bądź Nauką Nr 2). Podczas gdy Nauka charakteryzowana była poprzez pewność, chłód, niezaangażowanie (*aloofness*), obiektywność, dystans i konieczność, Badaniom zdają się przysługiwać cechy przeciwne: wnoszą niepewność, niedookreśloność; są uwikłane w licz-

ne przyziemne problemy z pieniędzmi, instrumentami i umiejętnościami technicznymi (*know-how*); pozostają niezdolne do jasnego rozróżniania pomiędzy zimnym i gorącym, subiektywnym i obiektywnym, ludzkim i pozaludzkim. Podczas gdy Nauka kwitła, kiedy zachowywała się, jak gdyby pozostawała całkowicie odcięta od zbiorowości, Badania najlepiej postrzegać jako z b i o r o w e e k s p e r y m e n t o w a n i e z tym, co ludzie i czynniki pozaludzkie razem są w stanie przyjąć i wytrzymać. Moim zdaniem drugi model jest mądrzejszy od pierwszego. Nie musimy już wybierać pomiędzy Mocą i Racją, ponieważ do dyskusji przyłączyła się trzecia strona, to znaczy zbiorowość; nie musimy już także opowiadać się za Nauką bądź przeciw Nauce, ponieważ i tutaj pojawiła się t a s a m a trzecia strona, to znaczy zbiorowość.

Badania to obszar, w jaki wrzuceni zostali zarówno ludzie, jak i czynniki pozaludzkie, w którym poprzez wieki prowadzono najdziwniejszy ze zbiorowych eksperymentów – rozróżniania w czasie rzeczywistym pomiędzy „kosmosem” a „bezlądem”, w którym ani naukowcy, ani badacze nauki nie wiedzą z góry, jaka będzie prowizoryczna odpowiedź. Może koniec końców studia nad nauką są anty-Naukowe, lecz jeśli tak, to całym sercem są za Badaniami. W przyszłości, gdy duch czasu silniej zapanuje nad opinią publiczną, będzie to ten sam obóz, w którym znajdą się wszyscy aktywni naukowcy, pozostawiając po drugiej stronie jedynie kilku skwaszonych zimnowojennych fizyków, wciąż pragnących pomóc Sokratesowi uciszyć „tysiące nierozumnych” za pomocą niekwestionowanej i bezdyskusyjnej absolutnej prawdy nadchodzącej znikąd. Nie powinniśmy nigdy zapominać, że przeciwieństwem relatywizmu jest absolutyzm⁹.

Wiem o tym, iż jestem tu nie do końca szczerzy, ponieważ istnieje jeszcze trzeci powód, przez który trudno uwierzyć, że studia nad nauką mają tak dużo do zaoferowania. W wyniku niefortunnego splotu okoliczności, czy może przez dziwny przypadek darwinowskiego nadszladownictwa w ekologii studiów nad nauką, bądź też – któż to wie? – w rezultacie jakiegoś wzajemnego zanieczyszczenia, studia nad nauką wykazują powierzchowne podobieństwo do owych więźniów zamkniętych w swoich celach, których opuściliśmy kilka stron wcześniej, kiedy powoli zsuwali się od Kanta do piekła, uśmiechając się przez cały czas z wyższością, ponieważ uparli się, że nie należy już pytać o to, jak język jest w stanie odnosić się do rzeczywistości. Gdy mówimy o hybrydach i gmatwaninach, mediacjach, praktykach, sieciach, relatywizmie, relacjach, prowizorycznych odpowiedziach, częściowych połączeniach, ludziach i czynnikach pozaludzkich czy „nieporządkach”, pobrzmiwa to może, jak gdybyśmy my także kroczyli tą samą ścieżką, w pośpiesznej ucieczce od prawdy i rozumu, dzieląc jeszcze drobniej kategorie, które na stałe pozwalają utrzymywać ludzki umysł oddzielony od rzeczywistości i jej obecności. Niemniej nie ma co owijać w bawełnę: podobnie jak toczy się walka pośród dyscyplin naukowych pomiędzy modelem Nauki i modelem Badań, taka sama walka trwa w naukach społecznych i humanistyce pomiędzy przeciwstawnymi modelami, z których jeden można z grubsza określić jako postmodernistyczny, drugi zaś nazywam niemodernistycznym (*nonmodern*). Wszystko to, co pierwszy traktuje jako uzasadnienie dla większej nieobecności, intensywniejszej demaskacji, bardziej natężonego

⁹ D. Bloor, *Knowledge and Social Imagery*, University of Chicago Press, Chicago 1991.

negowania bądź częstszego dekonstruowania, drugi uznaje za dowód obecności, rozpoznania (*deployment*), afirmacji i konstrukcji.

Przyczynę olbrzymich różnic, jak i przelotnych podobieństw, nietrudno jest wskazać. Postmodernizm, jak wskazuje sama nazwa, pojawił się jako wynik szeregu następujących po sobie ustaleń, które określiły nowoczesność (*modernity*). Odziedziczył po nich pogoń oddzielonego umysł w naczyniu za prawdą absolutną, dyskusję pomiędzy Mocą i Racją, sztywne rozróżnienie nauki i polityki, Kantowski konstruktywizm oraz idącą z nim w parze potrzebę krytyki, jednakże p r z e s t a ł wierzyć, że ten niemożliwy program można z powodzeniem zrealizować. Na jego korzyść świadczy to, że jego rozczarowanie wykazuje dobry zdrowy rozsądek. Przede wszystkim jednak nie cofnął się na ścieżce nowoczesności, by dotrzeć do wszystkich tych rozwidleń, na których rozpoczął się ten niemożliwy projekt. Wykazuje te same tęsknoty co modernizm, z tą różnicą, że stara się pozytywnie przyjąć wszechogarniające porażki projektu racjonalistycznego. Stąd właśnie bierze się skrucha wyrażana w imieniu Kalliklesa i Sokratesa, radowanie się wirtualną rzeczywistością, demaskowanie „wielkich narracji” („*master narratives*”), upieranie się, że dobrze jest utknąć we własnym punkcie widzenia, przesadne podkreślanie refleksyjności i szaleńcze wysiłki pisania tekstów, które wyzbyte są jakiegokolwiek ryzyka obecności.

Według mnie studia nad nauką pozostają zaangażowane w realizację całkowicie innego, niemodernistycznego (*nonmodern*) zadania. Dla nas nowoczesność nigdy nie była obowiązującym porządkiem. Nigdy nie zbywało ani rzeczywistości, ani moralności. Walka – z lub na rzecz prawdy absolutnej, z lub na rzecz wielu punktów widzenia, z lub na rzecz społecznego konstruowania, z lub na rzecz obecności – nigdy nie była istotna. Program demaskowania, ujawniania, unikania bycia zwodzonym zabiera energię przeznaczoną na zadania, które zawsze zdawały się znacznie ważniejsze dla zbiorowości ludzi, rzeczy i bogów, jak na przykład organizowanie „kosmosu” z „beźładu”. Chodzi nam o p o l i t y k ę r z e c z y (*politics of things*), a nie o przestarzałą dyskusję o tym, czy słowa odnoszą się do świata. Oczywiście, że się odnoszą! Równie dobrze można mnie pytać, czy wierzę w Mamę i ciasto z jabłkami lub, jak w tym przypadku, czy wierzę w rzeczywistość!

Wciąż nie czujesz się przekonany, mój przyjacielu? Wciąż zastanawiasz się, ktośmy zacz: przyjaciele czy wrogowie? Muszę przyznać, że potrzeba czegoś więcej niż małego aktu wiary, by przyjąć taki obraz naszej pracy, lecz skoro zadałeś już swoje pytanie, wykazując się taką otwartością umysłu, myślę, że zasłużyłeś na równie szczerą odpowiedź. Prawda, że niezbyt łatwo ulokować nas pośrodku tego podziału na dwie kultury w trakcie epokowego przejścia od Nauki do Badań i wobec problemu rozdarcia pomiędzy postmodernizmem i niemodernizmem. Mam jednak nadzieję, że w końcu widzisz, iż nie zaciemniamy celowo naszego stanowiska, lecz utrzymanie przez ciebie wierności wobec własnej pracy naukowej w tych trudnych czasach jest nielicho trudne. Moim zdaniem praca twoja, jak i twoich kolegów i koleżanek badaczy, twoje wysiłki w ustanawianiu (*establish*) faktów stały się zakładnikami w nużącej, starej dyskusji na temat tego, jak najlepiej jest kontrolować ludzi. Jesteśmy przekonani, że nauki zasługują na więcej niż na zawłaszczenie przez Naukę.

Wbrew temu, co mogło ci się wydawać, kiedy prosiłeś mnie o tę rozmowę na osobności, my w studiach nad nauką jesteśmy dalecy od ograniczania nauki do „jedynie społecznej

konstrukcji” stworzonej przez rozpasany motłoch wynaleziony po to, by zaspokoić pęd do władzy Kalliklesa i Sokratesa, i być może jako pierwszy odnaleźliśmy sposób na uwolnienie nauki od polityki – polityki rozumu, tego starego układu epistemologii, moralności, psychologii i teologii. Być może jako pierwsi uwolniliśmy czynniki pozaludzkie od polityki obiektywności, a ludzi od polityki upodmiotowienia (*politics of subjectification*). Same dyscypliny, fakty i artefakty wraz z ich fascynującymi korzeniami, delikatnymi artykulacjami, licznymi rozgałęzieniami i kruchymi sieciami pozostaną, by poddawać je badaniom i opisom. Ja sam postaram się na kolejnych stronach jak najlepiej rozplątać kilka z nich. Z dala od huku wojen o naukę, w której ani ty, ani ja nie chcemy walczyć (no cóż, może nie miałbym nic przeciw kilku strzałom!), fakty i artefakty mogą się pojawić w wielu różnych rozmowach, mniej agresywnych, bardziej produktywnych, a przede wszystkim przyjaźniejszych.

Muszę znów przyznać się do pewnej nieszczerości. Kiedy otwieraliśmy czarną skrzynkę faktów naukowych, mieliśmy świadomość, że otwieramy puszkę Pandory. Nie było żadnego sposobu, by tego uniknąć. Pozostawała ona ściśle zapieczętowana, gdy leżała na ziemi niczyjej, pomiędzy dwiema kulturami, zagrzebana gdzieś pośród rzep i kapusty, omijana w błogiej ignorancji przez humanistów umykających przed zagrożeniami uprzedmiotowienia (*objectification*) oraz epistemologów usiłujących poradzić sobie ze szkodami narobionymi przez niesforny tłum. Teraz zaś, kiedy została otwarta i wyskoczyły z niej plagi i klątwy, zło i grzechy, można zrobić tylko jedno – wkopać się w nią jeszcze głębiej, aż nic już prawie w niej nie zostanie, aby dotrzeć do tego, co w myśl wiekowej legendy spoczywa na dnie – dotrzeć do n a d z i e i. Jest to zbyt głęboko jak dla mnie samego, czy pomożesz mi tam dotrzeć? Mogę podać ci rękę?

Przekład Krzysztof Abriszewski

Josef Mitterer

Paradoksy Nowego. O płynnym stanie rzeczy

Dasz wiarę, że pewnego dnia na tablicy pamiątkowej stanie: „W tym miejscu 24 lipca 1895 przed dr. Zygmuntem Freudem odsłoniła się tajemnica snu”.

Zygmunt Freud w liście do przyjaciela

Nic nie dezaktualizuje się tak szybko, jak nowe.

Achim Landwehr

Paradoxes of the New – The State of Things in Flux

Abstract: The article discusses the problems of change in science and society. It analyzes the argumentation strategies for change and progress and those defending the status quo including the ambiguous role of the traditional pursuit of truth and knowledge.

Key words: paradox, the new, change, fact, scientific community, pursuit of knowledge, vocabulary, construction, constructivism, nondualism, argumentation strategies

1. Ciągłe, na bieżąco, Nowe przychodzi na świat. Problem w tym, że podajemy przykłady tylko tego, jak Nowe na świat p r z y s z ł o, a nie w jaki sposób przychodzi. A kiedy już tu jest, wówczas szybko przestaje być nowe. Prognoza, w jaki sposób Nowe zjawi się na świecie jutro, będzie mało wiarygodna. Śladów Nowego w teraźniejszości musimy zatem poszukiwać w przeszłości. A na to są już całkiem spore szanse, czyż nie?

2. Nowe ma niezwykle płynny charakter. Z ledwością można je uchwycić, opisać; ledwie zjawi się na świecie, już jest za późno i przestaje być nowe.

Być może Nowe staje się uchwytnie, kiedy umieszczamy je w przestrzeni i czasie. Powinniśmy zatem pytanie „Jak Nowe przychodzi na świat?” uzupełnić o pytanie „Kiedy i gdzie?” oraz zapytać dodatkowo, co staje na przeszkodzie, by Nowe przyszło na świat – to ostatnie pytanie zdaje się najmniej kłopotliwe.

3. Datowania nowych idei są często trudne, a na datowaniu własnym polegać nie sposób. Wprawdzie miejsce i czas przeżycia sennego Zygmunta Freuda pozostają bezsporne dzięki listowi do przyjaciela w Berlinie i tablicy pamiątkowej, która w 1977 roku została odsłonięta przy wzgórzu Kahlenberg w Wiedniu, jednakże autorstwo wielu idei, odkryć i pomysłów

jest nader często kwestionowane przez innych, zarówno współczesnych, jak i potomnych. A któż nie chciałby wpaść na dany pomysł wcześniej aniżeli inni, przynajmniej *avant la lettre*...

4. Spory dotyczące priorytetów znaczą historię idei, począwszy od słynnego konfliktu między Leibnizem i Newtonem o pomysł rachunku nieskończoności, aż po kwestię, czy Thomas Kuhn sam wpadł na ideę zmiany naukowej, czy też pierwsi byli Ludwik Fleck oraz/ lub Michael Polanyi. (Znaczna część wydania *Powstania i rozwoju faktu naukowego* Ludwika Flecka trafiła na makulaturę, gdy książka Thomasa Kuhna święciła swoje światowe triumfy.)

Również poza nauką w wielu obszarach gospodarki występują spory patentowe i konflikty o prawa autorskie, nie tylko między Apple'em i Samsungiem czy w przemyśle farmaceutycznym, lecz także – nad wyraz często – między kompozytorami popularnych przebojów muzyki rozrywkowej.

W codziennym życiu naukowym kradzież pomysłów nie jest niczym szczególnym, a strumień idei, który przepływa od asystującego naukowego narybku do wyczerpanych profesorskich głów, przybiera na sile w świecie uniwersyteckim za sprawą nowych hierarchii i podległości.

5. Jak można Nowe zlokalizować, gdzie się ono mieści? W działach rozwojowych Vevey czy Palo Alto, w laboratoriach uniwersytetów i koncernów farmaceutycznych? W urzędach patentowych? Czy może rozsądniej byłoby poszukiwać Nowego w wykładach naukowych i publikacjach? Również to nie jest proste. Idee, obiecujące z technicznego i ekonomicznego punktu widzenia, publikuje się często w czasopismach lokalnych, żeby nie dopuścić, by po drodze do czasopism naukowych zostały przejęte przez konkurujących recenzentów i im podobnych.

W czasopismach takich jak „Nature” czy „Science” odrzuca się 90% nadesłanych artykułów... Czy to jednak powoduje, że publikowanie tam gwarantuje kiełkowanie Nowego? Czy może raczej staje się gwarancją trwania naukowego mainstreamu, jak twierdził w Alpach w 2010 roku Roger Tsien, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Jego prace, które zadecydowały o tym, że przyznano mu nagrodę, zostały odrzucone przez *leading journals*...

6. W jaki sposób nowe pomysły przychodzą do głowy? Czy nowa idea zjawia się nagle jak rozbłysk światła, lub dokładniej – myśli? Spontanicznie, czy dopiero po długich przemyśleniach? Odkrywamy jej nowość natychmiast, czy też uświadamiamy ją sobie dopiero później, gdy nie jest już nowa? Czy owo na-świat-przychodzenie nowej idei związane jest z jakimś szczególnym uczuciem, z jakimś orgazmem intelektualnym, o który z wiekiem coraz trudniej?...

Od kiedy istnieje nowa idea? Od momentu, w którym pomysł przychodzi do głowy, czy też gdy zostanie wypowiedziany lub może dopiero po opublikowaniu? A do tego czasu zdąży się już często zmienić. Ludwik Fleck przedstawił wiele przekształceń i mutacji nowych idei, począwszy od pomysłu, poprzez dyskusję z kolegami, prezentację na kongresach, druk w czasopismach, aż po włączenie do podręcznika.

7. Jak wartościowe mogą być idee, pokazują ceny starych książek, w których nowe pomysły zostały opublikowane po raz pierwszy. Pierwsze wydanie *The Wealth of Nations* Adama Smitha trudno nabyć za mniej niż 100 000 euro, podobne wydanie *Kritik der reinen Vernunft* Kanta kosztuje w zależności od stanu i szczęścia kupującego 10 000 euro i więcej, ale już drugie wydanie z 1787 roku warte jest jedynie 2000 euro, a wydania późniejsze, jeszcze z czasów, gdy Kant żył, są tanie, bo warte jedynie kilkaset euro...

Za pierwodruki artykułów Einsteina, Turinga, Cricka i Watsona płaci się tysiące euro... choć w czasie ich publikacji nie były droższe niż ich dzisiejsze przedruki. *Tractatus Wittgensteina* w pierwszym angielskim wydaniu przeleżał lata i został ostatecznie sprzedany za kwotę 10 000 euro.

Nowe może być zatem szczególnie cenne przynajmniej z ekonomicznego punktu widzenia – jednak dopiero wtedy, gdy dawno już przestanie być nowe. W architekturze Nowe staje się przełomem, gdy zostaje objęte ochroną jako zabytek.

8. Nowe nie ma lekko również tam i zwłaszcza tam, gdzie jak najbardziej powinno być u siebie: w instytucjach kształcenia, na uniwersytetach. Tendencja do powstrzymywania Nowego zaczyna się wraz z wychowaniem, które jest zawsze wychowaniem do prawdy, a właściwie wychowaniem do prawdy wychowawcy – uprawnionego, by wychowywać: już rodzice obawiają się ciekawości swoich dzieci, nauczyciele – głupich pytań uczennic i uczniów, profesorowie – zakwestionowania ich teorii, a przedstawiciele religii boją się o prawo do opieki nad naszymi duszami.

W wychowaniu do prawdy konsens – prawdziwy konsens – jest lepszy niż jego brak, a jedna prawda jest lepsza od wielu błędów. Najważniejsza jest zgoda z wiedzą, którą przełożony już posiadał, jakiegokolwiek odstępstwo od jej *status quo* będzie poddane sankcji.

9. Społeczeństwo (a *science community* w szczególności) rozwija cały szereg mechanizmów obronnych, żeby chronić się zarazem przed Nowym, jak i przed zakwestionowaniem swojej tożsamości jako społeczeństwa.

Istnieją wprawdzie nagrody za innowacje, za wyjątkowe osiągnięcia badawcze – jednakże ich laureatami tylko w nielicznych przypadkach są młodzi badacze i badaczki, którzy kwestionują myślenie tego, kto przyznaje daną nagrodę. Nowe bywa w świecie akademickim uznawane długo poniewczasie, a więc wtedy, gdy jego wejście do korpusu wiedzy już się dokonało i nie jest już zagrożeniem dla jej aktualnego stanu. Również Nagrody Nobla przyznawane są za osiągnięcia, które znane są już od dziesięcioleci.

10. W pewnej elitarniej szkole dzieciom odejmuje się punkty, gdy zadają pytania odnośnie do przerabianego materiału, ponieważ tym samym pokazują, że albo nie uważały, albo nie zrozumiały tego, czego je uczono.

Na pewnym seminarium postawiono studentce zarzut, że pozwala sobie na krytykę Hume'a, a nie ma jeszcze dyplomu.

Po publikacji *Traumzeit* Hansa Petera Duerra gwałtownie wzrosła liczba studiujących etnologię, jednakże członkowie jego własnego cechu dali mu jasno do zrozumienia, że bliżej mu do felietonistyki niż do uniwersytetu.

Richard Rorty z wielkim trudem zdołał opublikować w wydawnictwie swojego uniwersytetu jedno z najoryginalniejszych dzieł ostatnich dziesięcioleci, *Filozofia a zwierciadło*

natury, i to dopiero wtedy, kiedy zaistniało niebezpieczeństwo, że niemieckie tłumaczenie jego książki ukaże się przed amerykańskim oryginałem. Studentów w Princeton ostrzegano przed pisaniem prac dyplomowych pod jego kierunkiem, ponieważ mogłoby to zaszkodzić ich karierze.

11. Obrona przed Nowym służy także ochronie tożsamości społeczności naukowych i kulturowych. Badanie przyjazne *status quo* otrzyma wsparcie, myślenie krytyczne będzie ukarane.

Przez uszkolnienie studiów, przez coraz rozleglejsze wymogi buduje się tamy przed poznaniem i spowalnia zmianę naukową. Społeczeństwo toleruje ją tylko w ograniczonym zakresie – byle z dala od groźby kontestacji swojej własnej tożsamości.

12. Mimo licznych prób reformatorskich i krytycznych alternatyw prezentowanych przez Heinza von Foerstera, Ernsta von Glasersfelda i innych, system nauczania na uniwersytetach funkcjonuje w praktyce często tak, że profesorowie uczą tego, co sami już wiedzą, a studenci zobowiązani są wykazać się w sprawdzianach i pracach seminaryjnych wiedzą zdobytą właśnie w ten sposób. Gruntowna krytyka *status quo* staje się tym samym niemożliwa.

Pożądane są pytania konstruktywne, pytania, które „prowadzą nas dalej”, „pytania o rozumienie” – ale nie krytyka, która kwestionuje podstawy i założenia, wyprowadzając nas poza osiągnięty stan rzeczy.

13. Od prac akademickich kwalifikujących do otrzymania stopnia licencjata czy magistra wprost wymaga się tego, żeby oddawały stan badań – a to nie oznacza nic poza stanem badań, który znany jest opiekunom. Gdy jednak chodzi o prace doktorskie lub habilitacyjne, wówczas nawet prawo stanowi o wymogu uzyskania nowej wiedzy i nowych efektów poznawczych. Jednakże o pojawieniu się nowej wiedzy, która wykracza poza dotychczasowe poznanie, zadecyduje ocena tych, którzy dysponują jedynie dostępnym stanem wiedzy. Występowanie nowej wiedzy jest więc w praktyce zatwierdzane przez tych naukowców/opiekunów, którzy tej wiedzy nie posiadają. Oznacza to, że wiedzę *from now on* ocenia się na podstawie wiedzy *so far*: nowe efekty poznawcze ocenia się z perspektywy dotychczasowych. Jest to sytuacja paradoksalna przede wszystkim ze względu na powszechne wyobrażenie o postępie poznawczym w naukach, zgodnie z którym więcej wiedzy jest w przyszłości, a nowe pokolenie wie z zasady więcej niż poprzednie. Regres jest możliwy, ale zasadniczo wiedza przyrasta, nie tylko kumulatywnie, ale również jakościowo. Tak długo, jak „nowa” wiedza jest prostym kumulatywnym postępowaniem dotychczasowej wiedzy, można ją oceniać „pozytywnie”, jednak gdy nowa wiedza jest sprzeczna z wiedzą obecną, a więc odrzuca dotychczasowe roszczenia wiedzy, powstają konflikty, których rozstrzygnięciem zajmują się profesjonalne autorytety.

Jeżeli więc aż do doktoratu wymaga się powtórzenia wiedzy już dostępnej, od tego momentu wnosić należy (również) wiedzę nową, wiedzę *from now on*, której opiekun ocenić nie może, bo jej nie ma...

Późniejsza, „nowa” wiedza oceniana jest zatem przez wcześniejszą, „starą” wiedzę, a gdy jedna nie pasuje do drugiej (nie zwiększa tej drugiej kumulatywnie), wtedy jest najczęściej odrzucana i nie wchodzi do dyskursu akademickiego.

Ocena dysertacji przeprowadzana jest na podstawie wiedzy oceniającego, a nie poza nią. Tymczasem dysertacje kumulatywne są coraz popularniejsze: tu opiekun jest z reguły współautorem artykułu ujętego w dysertacji. Nie przewiduje się przy tym krytyki ujęcia *so far* ze strony autorki i autorów dysertacji, jest ona w praktyce niemożliwa. Ostatnio pewna młoda współpracowniczka naukowa opisała to w ten sposób: „Chodzi nam o fakty, a nie o opinie”, stąd też nie dochodzi do rozbieżności opinii między nią a jej opiekunem.

14. W zgodzie z ideałem poznania naukowego starsi oceniają młodszych według tego, czy ci drudzy zdolali już ich wyprzedzić, czy nie. Ze względu na to, że władza jest w rękach starszych (uprawnionych do kształcenia), wynik oceny potwierdza najczęściej *status quo* i nie wspiera zmiany: oznacza to, że nowe roszczenia poznawcze następnych pokoleń mogą być powstrzymywane tak długo, jak to możliwe. Ocenianie przez równych sobie akademików odbywa się na polu akademickim również tam, gdzie chodzi o obsadę nowych profesur: także w komisjach kwalifikacyjnych starsi orzekają o osiągnięciach młodszych kandydatów. To samo dotyczy starych i szacownych akademii naukowych, w których stary naukowiec ocenia, czy osiągnięcia młodego są w wystarczającym stopniu ponadprzeciętne, by mógł wstąpić do kręgu...

Max Planck opisał sytuację, która do dziś niewiele się zmieniała: „Rzadko zdarza się, by nowa prawda naukowa utorowała sobie drogę poprzez zmianę stanowiska jej przeciwników, znacznie częściej jej przeciwnicy muszą zwyczajnie umrzeć, by nowe pokolenie mogło się z nią bez przeszkód zapoznać”.

15. Jest to sytuacja interesująca i zarazem problematyczna z tego szczególnego względu, że oficjalne wytyczne branży naukowej propagują obraz nauki skupionej na osiągnięciu prawdy i pomnażaniu poznania, na drodze do których nauka czyni regularne postępy – a postęp odznacza się przede wszystkim tym, że pomnaża poznanie i zbliża nas do prawdy. Według tego modelu o postępie orzekać winni ci, którzy są najbliżej prawdy. Nie są jednak nimi (już) członkowie akademii: ich stan wiedzy dezaktualizuje się za sprawą nowych postępów akademickiego narybku na drodze do wiedzy...

Mimo to istnieją szanse i luki: tolerancyjni profesorowie, triki, dzięki którym można przemyścić nową wiedzę, lub zwyczajne szczęśliwe zbiegi okoliczności, nieporozumienia, które sprzyjają Nowemu. Jeżeli już jednak dochodzi do tego, że nowe osiągnięcia i idee utorują sobie drogę w panującym stanie wiedzy – zmieniając go jednocześnie – to dzieje się to na ogół wbrew akademickiemu systemowi reguł, a nie za jego sprawą.

16. Zwyczajowe słownictwo naukowe podkreśla konserwatywną rolę tradycyjnych poszukiwań prawdy i poznania. Jest to słownictwo, które forsuje przede wszystkim myślenie zorientowane na prawdę, umacnia *status quo* i tym samym zapobiega zmianie naukowej. Słownictwo to zakłada pewną niezależną rzeczywistość po tamtej stronie dyskursu naukowego, która jest niezależna od teorii na jej temat. Jak i w jakim stopniu można tę realność poznać, jest przedmiotem analiz różnych modeli teoriopoznawczych.

Słownictwo to określam jako dualistyczne: chodzi o twierdzenia (założenia) poprzedzające dyskurs naukowy, których nie wolno kwestionować, żeby nie zniknęły problemy z tych twierdzeń wynikające. Jest ono ukształtowane wstecznie: odnosi się do świata i rzeczywistości uprzednich, wspierając stan rzeczy w obronie przed jego zmianą. Do tego słownictwa

zaliczają się takie wyrażenia jak: *bestehen* [istnieć, być], *entdecken* [odkrywać], *gegeben* (vs. *gemacht*) [dane vs. wytworzone], *feststellen* [stwierdzić], *darstellen* [przedstawić], *konstatieren* [konstatować], *entstehen* [powstać], *Sachverhalt* [stan rzeczy], *Gegenstand* [obiekt], *Tatsache* [fakt].

17. Słownictwo zmiany rozwinęło się tylko w nieznacznym stopniu i argumentuje się tutaj raczej za pomocą wyrażen, w których rolę odgrywają przebieg, proces i przemiana. Rzeczywistość nie istnieje, lecz przebiega, chyba że uda się zatrzymać strumień rzeczy, nawet jeżeli tylko na jakiś czas. Postęp nie byłby zatem postępowaniem w określonym celu, z którym należy się zgodzić, a w sytuacjach konfliktowych uznać zgodność własnego ujęcia. Postęp byłby raczej krokiem naprzód z miejsca, w którym jesteśmy lub byliśmy. Zamiast o relacjach referencji do tego, co dane, należy mówić o preferencjach.

18. Branża akademicka stara się podtrzymać lub wręcz perpetuować raz uzyskany stan wiedzy. Nowe koncepcje mają szansę na przyjęcie do istniejącego stanu wiedzy głównie wtedy, gdy zmieniają go jedynie nieznacznie i pasują do kontekstu, który zastały. Wprawdzie od czasu Kuhna modnie jest mówić o nowych paradygmatach już wtedy, gdy chodzi o zwyczajną obronę koncepcji teoretycznych przed krytyką lub o wzbudzenie zainteresowania i zdobycie wsparcia dla własnych projektów badawczych, jednakże *scientific community* wchłania tylko znikomą liczbę spośród licznych propozycji nowego paradygmatu i/lub zmiany paradygmatu.

19. Nowej wiedzy nie jest łatwo wejść do świata nauki. A jak Nowe pojawia się w opinii publicznej, w świecie mediów? Media są nieporównanie bardziej otwarte na Nowe; muszą one Nowe podkreślać i wspierać z tego powodu, że raczej trudno im zdobyć zainteresowanie swoich odbiorców starymi odkryciami. Chodzi przy tym nie o roztrząsania teoretyczne, lecz o sprawozdania z nowych efektów badań i odkryć. W takich artykułach nie opowiada się po prostu o nowych wynikach badań, lecz również o koniecznym w tym kontekście zastępowaniu starych ujęć i teorii przez kolejne.

Nowe odkrycia, wiedza i idee nie trafiają przecież w pustą przestrzeń badawczą: były tam już przed nimi inne ujęcia, teorie i idee. Nowe ujęcia dezaktualizują i wypierają te teorie, często po prostu wchodząc „na ich miejsce”. W mediach – przede wszystkim na stronach popularyzujących naukę mediów codziennych i w periodykach popularnonaukowych, rzadziej w czasopismach naukowych – występują charakterystyczne zwroty i sposoby argumentowania. Określają one różnicę między starymi i nowymi ujęciami, dopuszczając do głosu postęp i zysk poznawczy osiągnięty dzięki Nowemu.

20. Niektóre przykłady:

„Nowe badania: Ren jest starszy, niż zakładano”.

„Przodek HIV jest starszy, niż zakładano”.

„Reaktor Fukushima został uszkodzony bardziej, niż zakładano”.

„Madryt jest o 300 lat starszy, niż zakładano”.

„Stonehenge jest młodsze, niż zakładano”.

„Szczepionka przeciw świńskiej grypie skuteczniejsza, niż zakładano”.

Nowych ustaleń nie poprzedzają bynajmniej jedynie założenia, lecz również myśli i przypuszczenia...: „Populacja pingwinów na Antarktydzie jest większa, niż do tej pory

przypuszczano”; „Mózg oczyszcza się szybciej, niż myślano”; Słońce porusza się przez przestrzeń kosmiczną wolniej, niż myślano”; „Zmiana klimatu: lodowce Grenlandii topią się inaczej, niż myślano”.

21. Na pierwszy rzut oka doniesienia tego typu mają moc iluminacji, szczególnie gdy nie należymy do branży, lecz jesteśmy zwykłymi konsumentami poważnego czasopiśmiennictwa naukowego. Co jednak sprawia, że te sformułowania są interesujące? Przecież jeszcze dzień wcześniej nagłówek danej informacji mógłby brzmieć zupełnie inaczej, choćby tak: „Reaktor Fukushima uszkodzony mniej, niż zakładano”, „Madryt jest młodszy, niż zakładano”, „Liczba diabetyków wzrasta wonej, niż myślano” lub „Stonehenge jest starsze, niż zakładano”.

Rzadko się zdarza, żeby na jeden temat obowiązywał jeden tylko pogląd. Różnych ujęć nie przedstawia się jednak z tą samą mocą wyjaśniającą. Nie pisze się: „Stonehenge jest albo starsze, albo młodsze, niż myślano, zależnie od szkoły myślenia”.

Nie pisze się również: „Nowe przypuszczenie: populacja pingwinów na Antarktydzie jest większa, niż do tej pory przypuszczano” albo „Nowe założenie: reaktor Fukushima jest bardziej uszkodzony, niż do tej pory zakładano”.

22. Sposób postępowania jest prosty: nowe, aktualne ujęcie przedstawiane jest w artykule na pierwszym planie (najczęściej już w nagłówku) jako rzeczywistość będąca tłem dla starszych ujęć. W ten sposób starsze, wcześniejsze ujęcia są personalizowane: stają się „dotychczasowym założeniem”, „dotychczasowym przypuszczeniem”, tym, o czym „dotychczas myślano” lub w co „wiercono”. Zamiast o personalizacji przestarzałego ujęcia możemy mówić również o jego odrealnieniu: traci ono status realności, który miało jeszcze do momentu „przybycia” nowego ujęcia. Nowe ujęcie okazuje się takim samym założeniem jak poprzednie ujęcie, zwłaszcza wtedy, gdy przyszłe badania pokażą, że np. reaktor Fukushima ucierpiał jeszcze bardziej, niż wcześniej zakładano.

Argumentacja, za pomocą której prezentuje się zmianę ujęcia, sprawia, że nowe ujęcie jest depersonalizowane/urealniane: staje się faktem, rzeczywistością, realnością, która jest inna, niż dotychczas myślano/przypuszczano/zakładano. Tym samym nowe ujęcie / nowa teoria pozostaje w takim stosunku do poprzednich ujęć, jak wcześniejsze ujęcia do jeszcze wcześniejszych. Tylko w ostatnich trzydziestu latach za sprawą zmieniających się wyników badawczych na nowo określono wiek ludzkości, liczbę hominidów, zmianę klimatu i jej konsekwencje.

23. Dowartościowanie/urealnienie nowych ujęć zachodzi równolegle z deprecjacją/degradacją/odrealnieniem ujęć, które były dotychczas nowe. Za sprawą „nowego” nowego ujęcia „stare” nowe ujęcie staje się wcześniejsze, nieaktualne.

Dla zdegradowania dotychczasowego ujęcia do rangi założenia konieczne jest przyjęcie nowej wersji starego założenia. To już całkiem proste: nowe ujęcie przerasta stare, jest więc zarazem uprzednie... Za sprawą tej aprioryzacji może funkcjonować jako podstawa oceny – z negatywnym skutkiem – dla dotychczasowego ujęcia.

24. Mimo to Nowemu nie jest łatwo. Jak długo to trwa? Czy Nowe jest chimerą, która znika, gdy tylko ją chwytamy? Uzyskanie Nowego czyni je starym. Nowa książka kupiona dziś już jutro nie jest nowa i warta jedynie ułamek swojej ceny; nawet samochód w dniu

zakupu drastycznie traci na swojej wartości. Nowy światowy rekord jutro będzie starszy o dzień. Moment nowości zachowuje swoją wartość krótko. Co się dzieje z nowym pomysłem, który zjawiwszy się wieczorem, przed zaśnięciem, znika niepowtórzony następnego ranka? Istniał w ogóle? Jak wiele nowości jest możliwe? Nowe jako absolut jest nie do pomyślenia. Gdyby nagle lew zaczął mówić – twierdził Wittgenstein – nie moglibyśmy go zrozumieć. Jak można określić nowość danej idei? Albo z perspektywy starszego ujęcia – być może nawet tego, które za sprawą nowej idei zostało odesłane do lamusa, wówczas jednak nic nie wróży temu dobrej przyszłości; albo z perspektywy jeszcze nowszej idei, dzięki której można ją uznać za nową w stosunku do starszych od niej. W obu przypadkach o nowości idei orzeka się *a posteriori* – a ona tymczasem przestaje być nowa.

25. Czy zatem Nowe jest po prostu konstrukcją, w y m y s ł e m *ex post*? Wynikiem rozróżnienia, które znika, gdy tylko zostanie poczynione?

Uwaga:

Autor jest filozofem i przyjmuje stanowisko, zgodnie z którym filozofia jest techniką argumentacyjną, za pomocą której wykazać można prawdziwość lub fałszywość dowolnych koncepcji dopóty, dopóki mają swoich przedstawicieli i mogą zostać poddane krytyce przez dowolne stanowiska przeciwnie, być uznane za fałszywe i zdyskredytowane. Rzecz w transparenacji, a nie w transcendencji.

Teorie starzeją się w naukach, z biegiem lat stają się częścią historii nauki. Tymczasem w filozofii teksty pozostają aktualne niezależnie od tego, czy napisano je przed dwoma tysiącami lat, czy ukazały się dopiero niedawno. Istnieją wprawdzie zmieniające się mody, jednak postępu nie ma. Idea postępu jest po prostu zasadniczą ideą nauki, a filozofowie zorientowani na prawdę są z oczywistych względów zainteresowani tym, by propagować filozofię jako naukę. Jednakże jako przykłady postępu w swojej dyscyplinie podają zawsze to, że obowiązujące wcześniej stanowiska/teorie zostały odrzucone. Nie mogą tylko obiecać, że stanowiska te nie będą już więcej reprezentowane przez żadnego z przedstawicieli ich cechu, ani zagwarantować, że dana teoria nie stanie się znów aktualna. (Niedawno pewien profesor filozofii próbował zilustrować postęp w filozofii stwierdzeniem, że koncepcja wolnej woli, którą przyjmował Moritz Schlick, nie jest obecnie przez nikogo uznawana... Opowiedziałem to mojemu koledze, który natychmiast odrzekł, że tak nie jest, bo stanowisko to wciąż znajduje swoich zwolenników).

Filozofowie chętnie podkreślają naukowy charakter swej dyscypliny, żeby wzmocnić swoją pozycję w świecie akademickim. Być może bardziej celowa byłaby inna strategia: pokazać, że z naukowością nauk jest nieco inaczej. Również w naukach postęp manifestuje się unieważnianiem jednych koncepcji przez inne. Nowość tych koncepcji nie polega jednak na tym, że są one bliżej prawdy niż ich poprzedniczki: są najbliższe prawdy wtedy, gdy je *hic et nunc* reprezentujemy; są to dokładnie te koncepcje, za pomocą których opisujemy rzeczywistość – bo jakżeby inaczej? Sytuacja, w której różni naukowcy posiadają różne preferencje, prowadzi do tego, że to, co dla jednych jest postępem, dla innych jest krokiem

wstecz. Traktowanie nauki jako branży postępu równa się transferowaniu raz osiągniętego stanu rzeczy do tamtej strony dyskursu, gdzie będzie niedostępny dla krytyków...

Opanowanie wspomnianych technik argumentacyjnych i strategii immunizujących jest oczywiste także z tego powodu, że nie podlegają one zakwestionowaniu przez filozofię zorientowaną na prawdę. Mimo to nauka i filozofia są z sobą mocno związane: nauka posługuje się – nawet jeśli nieświadomie – technikami i metodami argumentacji filozofii. Udział filozofii jest szczególnie znaczący w badaniach podstawowych.

Próba wprowadzenia nowego sposobu myślenia – w naszym przypadku nowej filozofii – do dyskursu akademickiego nie jest prosta: zdecydować się na inną filozofię oznacza zdecydować się również na inne problemy. Trudniej jednak jest nadać atrakcyjność nowym problemom, niż zaproponować nowe rozwiązanie dla starych problemów. Naszej świadomości problemowej nie można przecież rozszerzać do woli: kto się decyduje na nowe problemy, porzuca problemy dotychczas aktualne lub przynajmniej przesuwają je na mniej znaczące pozycje. W filozofii panuje szeroko rozpowszechniony pogląd, że filozoficzny biegun północny został już dawno odkryty i że w naszych dyskusjach winniśmy się ograniczyć jedynie do dróg, które do niego wiodą. Mamy przecież aż nadto wielkich problemów, żeby obarczać się nowymi. Spektrum odrzucenia nowej koncepcji może być naturalnie o wiele dalej idące, aż po wykluczenie z dyskursu akademickiego.

Za krytyczną lekturę tekstu dziękuję Franzowi Ofnerowi, Katharinie Neges i Stefanowi Weberowi.

Przekład Bogdan Balicki

Andrzej Szahaj

Nauki o kulturze jako nauki podstawowe (i krytyczne)¹

Cultural Studies as Fundamental (and Critical) Sciences

Abstract: The text defines such notions as culture, cultural studies, fundamental sciences, and culturalism. It argues that cultural studies are fundamental sciences in three important senses: 1) theoretical (the object of research of science has its inevitable cultural dimension), 2) practical (the ability to manipulate signs, symbols, information and other products of culture is crucial in the age of cognitive capitalism), and also 3) axiological (in the context of contemporary ecological risks we cannot aim at further conquest of Nature, but we should rather try to understand mechanisms shaping various spheres of culture: economics, religion, tradition, art, politics and science).

Key words: cultural studies, fundamental sciences, critical sciences, culture, culturalism

Zacznę od wyjaśnienia sposobu, w jaki rozumiem pojęcie kultury. Idąc śladem poznańskiej szkoły kulturoznawczej i jej założyciela – Jerzego Kmity, przez kulturę rozumieć będę przede wszystkim rzeczywistość myślową złożoną z przekonań dotyczących zarówno sfery ontologicznej (określających zatem co istnieje), epistemologicznej (określających jak to coś poznać), jak i aksjologicznej (światopoglądowych, określających nadrzędne, ostateczne cele życiowe, sposoby ich osiągnięcia, a także pochodne wobec nich przekonania moralne oraz estetyczne). Wspomniane przekonania są powszechnie podzielane w jakiejś społeczności, przy czym część owych przekonań to przekonania jawne (akceptowane), a część (większa) to przekonania ukryte (respektowane). Podział na jawne/ukryte można też oddać przez podział na wiedzę milczącą (*tacit knowledge*) i wiedzę zwerbalizowaną (M. Polanyi), albo też na „wiedzę, jak” i „wiedzę, że” (G. Ryle). Przekonania milcząco przyjmowane nazwę za Hansem-Georgiem Gadamerem przesądzeniami (kulturowymi). Byłbym jednak skłonny poszerzyć powyższe pojęcie kultury także o zgodny z antropologiczną tradycją jej ujmowania obszar wytworów owych przekonań w postaci artefaktów (wytworzonych przedmiotów materialnych obdarzonych znaczeniem) oraz – za tradycją neokantyzmu badawczego – elementów natury, którym nadano znaczenie przez odniesienie do wartości.

Przez nauki o kulturze będę rozumiał zespół nauk mających za swój bezpośredni i uświadamiany sobie przedmiot tak pojmowaną kulturę. Zaliczam do nich: kulturoznawstwo, antropologię kulturową, filozofię i socjologię kultury. Uznaję jednak, że w gruncie

¹ Tekst jest rozszerzoną wersją artykułu, który ukazał się w czasopiśmie „Filo-Sofija” 2011, nr 1, s. 183–188.

rzeczy wszystkie nauki humanistyczne oraz społeczne to w ostatniej instancji nauki o kulturze, wszystkie one zajmują się bowiem przekonaniem bądź wytworami kulturowymi. W ł a ś c i w e nauki o kulturze wymienione wcześniej pełnić winny funkcję metanauki dla wszystkich innych nauk, określając zarówno faktyczny przedmiot zainteresowania tych drugich, jak i analizując adekwatność przyjętych przez nie metod wobec ich rzeczywistego przedmiotu badania. Warto tu nadmienić, że większość z nauk humanistycznych, nie mówiąc już o naukach innych, nie osiągnęła jeszcze w pełni poziomu autorefleksji, który pozwoliłby im uznać, że są one naukami o kulturze we właściwym tego słowa znaczeniu. Dobrym przykładem tej sytuacji jest ekonomia, która od dawna z nadzieją patrzy na nauki o naturze jako swój wzór zarówno w sposobie traktowania przedmiotu badania (nieintencjonalne stany rzeczy), jak i metodzie (nomotetyzm). Z kolei na przykładzie literaturoznawstwa możemy prześledzić dochodzącą dziś stopniowo do głosu świadomość tego, że jest to nauka traktująca o kulturze jako takiej, nie zaś tylko o jej fragmencie związanym z twórczością literacką i interpretacją literaturoznawczą². Sprawą, którą należałoby osobno rozważyć, jest kwestia tego, czy także nauki przyrodoznawcze nie są w ostatniej instancji naukami o kulturze. Wydaje się, że coraz więcej na to wskazuje. Jeśli się prześledzi uważnie nurty konstruktywizmu w filozofii nauki, tzw. nieklasycznej socjologii wiedzy, w tym szczególnie poglądy Ludwika Flecka czy też takie teorie jak teoria aktora-sieci Brunona Latoura, może nasunąć się wniosek, że nauki przyrodoznawcze zarówno w swoim wymiarze ontologicznym, epistemologicznym, jak i aksjologicznym są także naukami o kulturze. Sprawę tę jednak pozostawiam do osobnego rozpatrzenia. Na zakończenie tego fragmentu moich rozważań jeszcze raz chciałbym podkreślić, że status nauk o kulturze jako nauk podstawowych przypisuję właściwym naukom o kulturze, czyli tym, które z jednej strony bezpośrednio badają fenomen kultury, z drugiej zaś pełnią (a w każdym razie mogą pełnić, i – moim zdaniem – pełnić powinny) funkcję metanauk dla wszystkich pozostałych nauk o kulturze (czy nauk po prostu). Te pierwsze można określić mianem nauk o kulturze pierwszego rzędu, te drugie zaś naukami o kulturze drugiego rzędu.

Zanim przejdę do dalszych wywodów, chciałbym na chwilę skoncentrować się na samym pojęciu nauki podstawowej. Otóż w moim przekonaniu w pojęciu tym, używanym dziś – jak wiadomo – przede wszystkim w odniesieniu do fizyki, zawarte są intuicje odnoszące się do dwóch aspektów ich funkcjonowania: teoretycznego oraz praktycznego. W odniesieniu do tego pierwszego chodzi o to, że uważa się, iż dana nauka bada najgłębszy, najbardziej fundamentalny wymiar rzeczywistości, i dlatego jej ustalenia są podstawą działania wszystkich innych nauk (ich fundamentem); w odniesieniu do tego drugiego zaś chodzi o to, że uważa się, iż dana nauka pozwala na najbardziej skuteczne manipulowanie otoczeniem w celu wykorzystania go dla ludzkich celów. W przypadku fizyki oraz nauk przyrodoznawczych jako takich w grę wchodzi „interes techniczny nauk empiryczno-analitycznych” (J. Habermas), polegający na rozszerzaniu ludzkiego władztwa nad przyrodą. Sprzęgnięty jest on z zapotrzebowaniem dominującej praktyki społeczno-politycznej (kapitalizmu) na wynalazki techniczne mogące podnieść jego efektywność ekonomiczną.

² Świadectwem rodzenia się tej świadomości jest praca zbiorowa M.P. Markowski, R. Nycz (red.), *Kulturowa teoria literatury*, Universitas, Kraków 2002.

Istnieje jeszcze jeden aspekt funkcjonowania danej nauki, która traktowana jest jako nauka podstawowa – aspekt przez nią samą niedostrzegany, nie zawsze też identyfikowany przez filozofów nauki. Chodzi o aspekt światopoglądowy. W jego świetle nauka podstawowa to ta, która najlepiej odpowiada dominującemu w kulturze *Weltanschauung*; składają się nań głównie milcząco podzielane przekonania co do hierarchii ważności celów ludzkiego życia, a także pochodnej wobec nich – sposobu traktowania natury. Zidentyfikowanie fizyki jako nauki podstawowej, czy szerzej – nauk przyrodniczych jako nauk podstawowych, to w tej perspektywie rezultat głębszych procesów kulturowych polegających najpierw na wydzieleniu przyrody jako zewnętrznego wobec człowieka przedmiotu badań (zamiany natury na „przyrodę”), a następnie na uczynieniu jej przedmiotem podboju. Procesy te z jednej strony są determinowane przez rozwój praktyki społecznej jako takiej, z drugiej jednak na niego samego zwrotnie oddziałują. Na Zachodzie można ich początek identyfikować rozmaicie, umiejscawiając go np. u zarania zachodniej myśli jako takiej, jak to czynili frankfurczycy, wiążąc go z filozofią Francisca Bacona (sąd obiegowy), czy kojarząc z powstaniem kapitalizmu, jak czynił to np. Michel Foucault.

Zobaczymy teraz, jak w świetle powyższych ustaleń wygląda nasza teza mówiąca o tym, iż to nauki o kulturze są dziś naukami podstawowymi. Zaczniemy od aspektu teoretycznego. W dwudziestowiecznej nauce zgromadzono bardzo wiele argumentów na rzecz tezy, którą – korzystając z inspiracji Floriana Znanieckiego – moglibyśmy nazwać tezą kulturalizmu. Mówi ona o tym, że rzeczywistość badawcza nauki ma charakter konstruktów kulturowego, a w wersji rozszerzonej – że charakter taki ma także wiedza potoczna oraz tzw. zdrowy rozsądek. Sam Znaniecki o sprawie tej pisał w sposób następujący: „Chodzi nie o to, że świat postrzegany i pojmowany przez człowieka nie jest światem realnym, lecz o to, że świat – będący realnie takim właśnie, jakim go człowiek widzi i pojmuje – zmienia się w ciągu ewolucji kulturowej, i dlatego nasza obecna przyroda – będąc obiektywnie taką, jaką ją postrzegamy – jest zupełnie odmienna niż przyroda przedludzka, ponieważ stanowi, w stopniu, jakiego nie sposób *a priori* określić, wytwór ewolucji kulturowej”³. „Dla ogólnego poglądu na świat zasadnicze znaczenie ma to, że konkretny świat empiryczny jest światem w procesie ewolucji, w którym nic absolutnego ani stałego nie daje się wykryć, a także to, że jako świat w procesie ewolucji jest on przede wszystkim światem kultury, nie zaś przyrody; jest rzeczywistością historyczną, nie fizyczną”⁴.

Zwróćmy uwagę, iż w powyższych cytatach Znaniecki mówi o świecie empirycznym, który jest „przede wszystkim światem kultury”, co wskazuje na to, że w jego ujęciu c a ł a rzeczywistość, jaka jest dostępna człowiekowi, to rzeczywistość kulturowa, a nie tylko ta, którą zajmują się analizowane przez niego nauki o kulturze. Można by więc zaryzykować tezę mówiącą, że próba badania jakiegokolwiek rzeczywistości powinna odbywać się przy zastosowaniu „współczynnika humanistycznego”, a zatem nie tylko rzeczywistości badanej przez nauki humanistyczne (w terminologii Znanieckiego: nauki o kulturze).

³ F. Znaniecki, *Pisma filozoficzne*, cz. 2, red. i przekł. J. Wocial, PWN, Warszawa 1991, s. 497.

⁴ *Ibidem*, s. 500.

Pewną wersję stanowiska, które tutaj nazywamy kulturalizmem, wcale nie mniej radykalną niż ta Znanieckiego, prezentował też Ludwik Fleck. Pisał on: „W przyrodoznawstwie, tak jak w sztuce i w życiu, nie ma żadnej innej wierności naturze niż wierność kulturze”⁵.

Z autorów współczesnych do pojęcia kulturalizmu odwołuje się także Andrzej Mencwel⁶. Zaś Jerzy Kmita od lat w sposób systematyczny rozwija swoją własną teorię kultury, w myśl której punktem odniesienia nauki jest rzeczywistość o charakterze kulturowym. Píše on: „(...) semantyczne odniesienia przedmiotowe twierdzeń i teorii naukowych nie mają prawa – jeśli konsekwentnie pamiętamy o braku jakichkolwiek, naukowych właśnie, racji apriorycznego wyłączenia nauki z obszaru historycznie zdeterminowanej kultury – być identyfikowane z mniej lub bardziej adekwatnie odbitymi elementami rzeczywistości obiektywnej: semantyczna definicja prawdy jedynie formalnie związana jest z Arystotelesowskim realizmem metafizycznym. (...) Relacje ustalające owe odniesienia przedmiotowe, relacje semantyczne, podobnie jak i przyporządkowane przez nie wypowiedziom językowym z zakresu nauki bądź spoza tego zakresu stany rzeczy, z góry już są identyfikowane przez wyprzedzającą naszą semantykę, kulturowo wytworzoną wizję świata”⁷. Owa „wyprzedzająca naszą semantykę, kulturowa wizja świata” to w ujęciu Jerzego Kmity jedyna rzeczywistość, do której mamy dostęp poznawczy. Stąd też badanie sposobu jej powstawania musi wyprzedzać wszelką aktywność naukową, bez względu na to, czy w grę wchodzi nauki przyrodoznawcze, czy też nauki humanistyczne. Przemyslenie konsekwencji teorii autora *Kultury i poznania* musi zatem prowadzić do wniosku, który formułuję w niniejszym tekście wprost: nauki o kulturze są naukami podstawowymi, albowiem pozwalają one dokonać refleksji nad tym, w jaki sposób kształtuje się dziedzina odniesienia wszelkich innych nauk. Co więcej, mogą one także wyjaśnić, dlaczego kształtowanie owo ulega zapomnieniu (które jest skądinąd warunkiem uznania jakiegokolwiek z nich [np. fizyki] za naukę podstawową, albowiem uchwytyjącą byt sam), jak historycznie przebiega i jakie niesie z sobą konsekwencje aksjologiczne (światopoglądowe oraz etyczne).

Przejdźmy teraz do drugiego aspektu podstawowości danej nauki czy danych nauk. Dotyczy on, jak pamiętamy, ich aspektu praktycznego. W przypadku nauk o kulturze mamy do czynienia, podobnie jak to było w przypadku nauk przyrodoznawczych, z możliwością manipulowania otoczeniem, poddawania go kontroli. Jednak przyrodoznawstwu chodziło o przyrodę, gdy tymczasem naukom o kulturze chodzi o rzeczywistość kulturową składającą się z sieci przekonań oraz artefaktów jako rezultatów ich obowiązywania. Do artefaktów tych zaliczamy także zmaterializowane informacje, które w dzisiejszym świecie stają się głównym towarem. W tym też sensie umiejętność ich wytwarzania, manipulowania nimi, selekcyjonowania staje się dziś umiejętnością podstawową, odpowiadającą niegdysiejszej umiejętności manipulowania środowiskiem przyrodniczym. Umiejętność ta określa dziś główną siłę wytwórczą społeczeństw, ich miejsce w światowym podziale pracy. Można by powiedzieć, że o ile społeczeństwa nowoczesne potrzebowały przede wszystkim nauk przy-

⁵ L. Fleck, *Powstanie i rozwój faktu naukowego*, przeł. M. Tuskiewicz, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1986, s. 64.

⁶ Zob. A. Mencwel, *Etos lewicy*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009, s. 157.

⁷ J. Kmita, *Kultura a „obiektywne” stosunki społeczno-ekonomiczne*, „Studia Filozoficzne” 1984, nr 4, s. 102.

rodniczych, aby poddawać kontroli swoje środowisko przyrodnicze, o tyle społeczeństwa ponowoczesne potrzebują przede wszystkim nauk o kulturze, aby poddać kontroli swoje środowisko kulturowe (środowisko po prostu?). W tym sensie nauki o kulturze mogą się stać, tak jak niegdyś stały się nauki przyrodnicze, funkcjonalne wobec zapotrzebowań systemu kapitalistycznego w jego postindustrialnej fazie ewolucji (czasami kapitalizm ten określa się mianem kognitywnego). Z czymś takim mamy już wyraźnie do czynienia, wszak wyniki badań socjologów kultury czy kulturoznawców są coraz częściej wykorzystywane jako podstawa do projektowania określonych działań ekonomicznych. Jeszcze do tej sprawy wrócimy.

W tej chwili skoncentrujemy się jednak na trzecim aspekcie podstawowości nauk o kulturze. Chodzi o aspekt światopoglądowy, związany z dominującym *Weltanschauung*. W świecie Zachodu ulega on stopniowej przemianie. Dominantą, zamiast podboju natury, staje się coraz bardziej zrozumienie mechanizmów tworzenia, przekazywania oraz zmiany przekonań kulturowych w takich ich wymiarach (sferach kultury), jak ekonomia, religia, obyczaj, sztuka, polityka, nauka. Zmiana ta wiąże się również z rodzącą się świadomością ekologiczną, która nakazuje patrzeć sceptycznie na ideały podboju przyrody obecne w myśli zachodniej co najmniej od czasów Francisca Bacona, jeśli nie od jej początków, a także docenieniem tzw. miękkiej siły w stosunkach między państwami⁸.

Na zakończenie zauważmy, że przed (właściwymi) naukami o kulturze rysują się dwie możliwe ścieżki. Mogą one rozpoznać swą funkcjonalność wobec zapotrzebowań późnego kapitalizmu, po to, aby potem ją bezkrytycznie uznać i zaaprobować, bądź też mogą one po rozpoznaniu owej funkcjonalności poddać ją krytycznej refleksji, stać się naukami krytycznymi w rozumieniu Jürgena Habermasa i realizować ich „interes emancypacyjny”. Polegałby on w tym przypadku na: 1) identyfikacji i uwyrażeniu przesądzeń kulturowych dominujących w jakiejś społeczności, po to, aby poddać je następnie krytyce; 2) rozpoznaniu swojej roli w całokształcie stosunków społecznych i politycznych, po to, aby odmówić wykorzystywania wyników swych badań w celach wzmocnienia systemu oddziaływania na ludzi w kierunku zgodnym z interesami dominujących grup społecznych czy organizacji ekonomicznych (np. korporacji), a zamiast tego użyć ich do krytyki wciąż istniejącej niesprawiedliwości czy zniewolenia.

W ten sposób dochodzimy do identyfikacji jeszcze jednego aspektu podstawowości nauk o kulturze: od ich postawy zależeć będzie w pewnej mierze etyczna i polityczna przyszłość określonych wspólnot społecznych. Dowodem na to jest np. sprawa wielokulturowości rozważana w ich ramach. Właściwe zrozumienie problemów, jakie się z tym zjawiskiem łączą, staje się warunkiem poradzenia sobie z nim w wymiarze etycznym i politycznym. Także ostatni kryzys gospodarczy i sposoby jego wyjścia z niego są niemożliwe do zrozumienia bez analiz kulturoznawczych. Uświadomił on bowiem wyraźnie, że rzeczywistość gospodarcza jest fragmentem rzeczywistości kulturowej, zaś ekonomia jest nauką o kulturze. Jeśli ekonomiści i politycy tego nie rozumieją, nie podołają dzisiejszym kłopotom.

⁸ Zob. J.S. Nye jr., *Soft Power. Jak osiągnąć sukces w polityce światowej*, przeł. J. Zaborowski, WAIp, Warszawa 2007.

Adam F. Kola

ANT-ologia literatury

ANT-ology of Literature

Abstract: The main aim of the article is to propose a new version of sociology of literature under the name of *ANT-ology of Literature*. In the first part of the text I sketch a map of modern controversies on status and situation of literature and literary studies in contemporary world. I underline the fact that descriptions of this situation proposed by literary and academic establishment is always critical and that in fact this diagnosis are presented from conservative point of view. Afterward I discuss classical approaches of sociology of literature starting in 19th century till present-day and cultural sociology of literature connected with cultural turn in humanities and social sciences. However, I underline that all those approaches are anthropo- and textocentric. Hence, the crucial is the last part of the article. I argue on the necessity of application of Bruno Latour's Actor-Network Theory into the literary studies and I describe possible advantages of ANT-ology of literature. If we take seriously into consideration the ideas of human and nonhuman actors, collective instead of society, abandon the "context", focus on empiric and case studies, and if we will follow the actors, etc., presented version of literary studies will be entirely different – redefined and renewed.

Key words: sociology of literature, cultural sociology of literature, ANT, Actor-Network Theory, Bruno Latour, ANT-ology of literature

Skoro jest tak źle, to dlaczego jest tak dobrze

Literatura trzyma się mocno! A wraz z nią – literaturoznawstwo!

Celem niniejszego artykułu będzie próba udowodnienia owych herezji z punktu widzenia literackiej i literaturoznawczej ortodoksji przez dopełnienie konstruktywistycznego zamachu stanu w dyscyplinie, ze szczególnym podkreśleniem zalet aplikacji Actor-Network Theory (dalej jako: ANT, teoria aktora-sieci Brunona Latoura) dla socjologii literatury i *de facto* całego literaturoznawstwa.

Punktem wyjścia czynię wyrażone na początku przekonania dotyczące kondycji współczesnej literatury i stanu literaturoznawstwa. Z jednej bowiem strony mamy rytualne narzekania zarówno na sytuację literatury w dzisiejszym świecie, jak i na kondycję zajmującej się nią dyscypliny. Rysuje się elitarystyczny światopogląd, w którego ramach dokonuje się podziału na czytających nas i resztę społeczeństwa, która nie czyta (zwłaszcza książek, ale coraz częściej również gazet lub czasopism). Niski poziom czytelnictwa jest w tych opowieściach zatrważający, tendencja jest spadkowa, a nas – trochę w duchu narzekania

Allana Blooma z *Umysłu zamkniętego*¹ – czeka duchowa pustka i intelektualna katastrofa na niespotykaną dotychczas skalę. W konserwatywnej perspektywie, którą przyjmuje znacząca większość literackiego i literaturoznawczego establishmentu, kiedyś było oczywiście lepiej, złoty wiek jednak przeminął, krzemowy (czy może raczej grafenowy) ogołoci nas ze wszystkiego, co wartościowe. Kwestia analfabetyzmu, wysokich kosztów druku i książek czy (nie)dostępność (do) literatury w wiekach minionych nie zaprzatają głowy oddanym płaczkom literackiego panteonu, jak i literacko-literaturoznawczej drobnicy.

Dokładnie w tym samym duchu środowiska uniwersyteckie z lubością oddają się rytualnym, konferencyjnym narzekaniom na kryzys dyscypliny, nie bacząc na niebywały rozrost wydziałów i kierunków filologicznych i literaturoznawczych, zalew publikacji naukowych, niemożliwy do opanowania wzrost liczby czasopism itd. Historia poszczególnych dyscyplin akademickich powinna być pisana nie z perspektywy zwrotów², które – zwłaszcza w ostatnich dekadach – dokonują się z niesłychaną częstotliwością, ale „kryzysów” dotyczących humanistykę i nauki społeczne. W tej optyce każdy trzeźwo myślący adept akademickiego rzemiosła powinien – nim jeszcze rozpocznie profesjonalną karierę – przechodzić kurację psychoanalityczną, gdyż w zasadzie nic innego się na tym polu nie dzieje. Kryzys goni kryzys, wyjścia zaś brak, nim bowiem zostanie zaproponowane – pojawia się kolejny kryzys. Kryzys stał się raczej retorycznym narzędziem umożliwiającym organizowanie konferencji, wydawanie odkrywczych i przełomowych książek, uzyskiwanie grantów i finansowania w zakresie badań podstawowych (albowiem należy – w obliczu kryzysu – powrócić do podstaw danej dyscypliny, na nowo ją zdefiniować itd.), będąc też społecznym *raison d'être* dla humanistyki. Kryzys zatem nie jest „realnym” stanem Akademii, ale jest „faktem społecznym” w sensie nadanym temu pojęciu przez Émile’a Durkheima. Twierdził on: „*Faktem społecznym jest wszelki sposób postępowania, utrwalony lub nie, zdolny do wywierania na jednostkę zewnętrznego przymusu; albo inaczej: taki, który jest w danym społeczeństwie powszechny, mający jednak własną egzystencję...*”³. Rytualny charakter tak pojmowanych kryzysów jest oczywisty⁴, wpisuje się w plemienny charakter uprawiania nauki⁵. W tej

¹ A. Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, słowo wstępne S. Bellow, przeł. T. Bieroń, Zysk i S-ka, Poznań 1997.

² J. Kowalewski, W. Piasek (red.), „Zwroty” badawcze w humanistyce. Konteksty poznawcze, kulturowe i społeczno-instytucjonalne, Colloquia Humaniorum, Olsztyn 2010; D. Bachmann-Medick, *Cultural turns. Nowe kierunki w naukach o kulturze*, przeł. K. Krzemieniowa, Oficyna Naukowa, Warszawa 2012.

³ É. Durkheim, *Zasady metody socjologicznej*, przeł. J. Szacki, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000, s. 41 (kursywa oryginalna).

⁴ Zob. T. Rakowski, *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2009. Autor opisuje językiem antropologii kulturowej rytualne narzekania ludzi zepchniętych w wyniku transformacji na margines współczesnego społeczeństwa polskiego, pokazując, iż mają one charakter quasi-magiczny. Można w tym samym trybie, wszakże bez takiego samego społecznego i etycznego uwikłania i wagi, opisać współczesną humanistykę i nauki społeczne w Polsce.

⁵ M. Buchowski, *Fratrie i klany nowo-plemienia antropologów w Polsce*, [w:] A. Posern-Zieliński (red.), *Etnologia polska między ludoznawstwem a antropologią*, Wydawnictwo Drawa, Poznań 1995, s. 37–59.

optyce zaryzykowałbym stwierdzenie, że w literaturoznawczej dyscyplinie nie dzieje się tak źle⁶.

Z drugiej strony – poza wspomnianymi już powyżej wątpliwościami dotyczącymi charakteru i prawdziwości krytycznych uwag kierowanych pod adresem uczestników życia literackiego i literaturoznawczego – wskazać można na inne czynniki obrazujące pozytywną współcześnie sytuację na tych polach. Warto wspomnieć o postępującym w szybkim tempie rozwoju czytelnictwa w nowych mediach i technologiach – w Internecie, za pośrednictwem czytników elektronicznych, a także o lawinowym wzroście liczby i popularności audiobooków czy podcastów (czy traktować te zjawiska jako nowe formy oralności, a więc oralności wtórnej?) itd. Również czytelnictwo gazet i czasopism w coraz większym stopniu przenosi się do Internetu oraz do różnych podręcznych rozwiązań technologicznych umożliwiających czytanie (i słuchanie) zawsze i wszędzie, jak tablety, smartfony itd. Znakiem dokonującej się zmiany w formach czytelnictwa niech będzie symboliczne wydarzenie, tzn. wydrukowanie ostatniego numeru amerykańskiego „Newsweeka” – jednego z największych tygodników – z końcem grudnia 2012 i rozpoczęcie od początku 2013 roku publikacji tylko i wyłącznie w wersji elektronicznej.

W podobny sposób należy postrzegać rozwój sprzedaży internetowej książek, czego przykładem mogą być firmy giganty w tej branży, jak Amazon.com (z lokalnymi oddziałami), zaś w polskiej skali np. Empik.com. Nie będę tutaj wchodził w szczegółowy spór na temat wad i zalet takiej sytuacji, w której to międzynarodowe korporacje dominują i wypierają z rynku lokalne księgarnie, niemniej jednak sam fakt ich niebywałego sukcesu świadczy o tym, że z czytelnictwem i rynkiem wydawniczym – oczywiście w jego nowych formach, tradycyjne są bowiem wypierane – nie jest tak źle, jak jest to w krytycznych i malkontenckich głosach przedstawiane.

O dobrej pozycji literatury świadczą również różnego rodzaju imprezy literackie: targi książki, festiwale literackie, spotkania autorskie itd. Przykład rozrastającego się Festiwalu Conrada wraz z osobnym dodatkiem w „Tygodniku Powszechnym” (obok dodatku literackiego – „Książki w Tygodniku”, i cotygodniowych recenzji i artykułów literaturze poświęconych) w Krakowie jest tutaj wręcz wzorcowy. Obecność literatury w mainstreamowych mediach także jest widoczna, choć zapewne rola literatury nie jest zdaniem wszystkich krytyków dość eksponowana, a formy, jakie przybiera owa obecność, bywają trudne do przyjęcia. Pojawiają się nowe czasopisma literackie, jak np. „Książki. Magazyn do czytania”

⁶ Skoro już – jako lustro – towarzyszy nam w tym opisie literaturoznawczych zmagania z dyscypliną i rzeczywistością etnologia i antropologia kulturowa, to *per analogiam* do tego twierdzenia można wskazać na głos Moniki Baer, która w dyskusji na temat kondycji własnej dyscypliny stwierdziła: „Śledząc Opcitową debatę, mam wrażenie, że w polskiej antropologii (rozumianej jako różne dyskursy dotyczące człowieka i jego kultury) nie dzieje się tak źle, jak niektórym z nas się wydaje. Nie dzieje się źle przynajmniej w sferze pomysłów na to, jak nasza dyscyplina mogłaby funkcjonować. A pomysły te, wbrew powszechnym opiniom, często nie są jedynie pustymi deklaracjami i wiele osób stara się wprowadzać je w życie. Cieszy mnie również wielość projektów potencjalnego lub aktualnego uprawiania antropologii zaangażowanej” (zob. M. Baer, *Ku pluralistycznej wspólnotowości*, „Op. cit.” 2005, nr 6 [27], <http://opcit.pl/teksty/ku-pluralistycznej-wspolnotowosci58/> [data dostępu: 30.03.2013]). Słowa te w pełni oddają – może poza ostatnią kwestią, zaangażowania – stan literaturoznawstwa polskiego.

związany z „Gazetą Wyborczą”, wydawane zatem – obok czasopism dotyczących dzieci, samochodów, domów czy mody – nie tylko przez lokalne stowarzyszenia, grupy zapaleńców czy fancluby, ale właśnie przez korporacje medialne. W podobnym trybie publikuje się również literaturę i to nie tylko taką, która dzięki swojej obecności medialnej i odpowiedniej reklamie, czy nawet modzie, sprzedaje się, ale także – jak z kolekcją „Literatura Czeska” publikowaną przez Agorę (samą w owe mechanizmy rynkowe i kreowanie określonych mód doskonale się wpisującą) – taką, która na pozór daleka jest od możliwości osiągnięcia rynkowego sukcesu. W ten sam sposób postrzegać należy sukces Wydawnictwa Czarne, któremu udało się wypromować tzw. literaturę Europy Środkowej i Wschodniej, teraz zaś wychodzącego coraz częściej poza opłotki literatury europejskiej. Również literatura internetowa czy o otwartym dostępie powoli zdobywa sobie coraz większe uznanie. Nie wchodząc w mechanizmy rynkowe wszystkich powyższych, przywołanych jedynie sygnalizacyjnie przykładów, nie wątpiąc w ich zazwyczaj komercyjny charakter, nie można wszakże powiedzieć, by były to inicjatywy, które nie służą literaturze. Zmieniają się formy czytelnictwa i funkcjonowanie literatury, ale ona sama bynajmniej nie znika. Jej rynkowy charakter nie jest jakąś szczególną przypadłością dnia dzisiejszego. Zawsze był obecny. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że to np. Internet czy wolny dostęp czynią literaturę bardziej dostępną i egalitarną.

Wniosek płynący z tych wstępnych rozważań byłby w pewnym sensie trywialny z perspektywy szeroko rozumianych badań kulturowych czy kulturoznawczych. Nie można bez należytego zbadania problemu zaczynać refleksji nad obecnym stanem i rolą literatury w społeczeństwie, utyskiwać i negatywnie go wartościować, zwłaszcza jeśli czynimy to z perspektywy tradycyjnej kultury literackiej i klasycznie definiowanego życia literackiego. Banalne jest stwierdzenie, że świat zmienia się w zawrotnym tempie, nieustannie poddawani jesteśmy „tyraniu chwili”⁷, wkraczają w nasze codzienne życie nowoczesne technologie, zarazem nie chcemy się pogodzić z nowymi formami uczestnictwa w kulturze, które to niesie za sobą. Paradoksalnie zatem narzekając na spadek czytelnictwa, robimy to, wylewając żale za pomocą komputera i publikując teksty w Internecie. Korzystamy z nowych technologii, chcąc mieć np. nieograniczony dostęp do wszystkich możliwych publikacji, zarazem jednak gdy z akademickiej wieży z kości słoniowej opowiadamy o stanie literatury i literaturoznawstwa – biadolimy i narzekamy na brak tantiem płynących za publikowane teksty. Korzystamy zatem, gdy jest to dla nas wygodne, krytykujemy natomiast wtedy, gdy coś dotyka nas osobiście. Problem wszakże polega na tym, że czynimy to z pozycji autorytetu przypisanego nam społecznie ze względu na pełnione funkcje w Akademii, instytucjach kultury itd. Fałszywa świadomość środowiska okołoliterackiego jest znamieną, pokazuje bowiem rodzaj relatywizmu kryjącego się za podejmowanymi przez nas intelektualnymi bojami i aksjologicznymi wyborami.

Stawiana tutaj teza będzie wszakże skromna, pozwalająca spojrzeć na powyżej zasygnalizowany problem z określonej perspektywy, mającej być jedną z możliwych dróg prze-

⁷ T.H. Eriksen, *Tyrania chwili. Szybko i wolno płynący czas w erze informacji*, przeł. G. Sokół, PIW, Warszawa 2004.

zwycięzania owego rozchodzenia się czy odklejania się świata społecznych przemian od akademickiej niemocy zastygłej w dawnych paradygmatach. Owo rozejście rozpoznaję w skostnieniu używanych przez literaturoznawców języków, w zogniskowaniu uwagi na zjawiskach, których już nie ma albo mają marginalne znaczenie, na kategorialnym niedopasowaniu do otaczającej rzeczywistości. Przyjęliśmy interpretacyjny anarchizm⁸ jak wolno-rynkową grę wyobraźni, do której można bądź nie innych przekonać, uważając prawdziwie naukową i poważną zmianę paradygmatyczną w ścisłym tego słowa znaczeniu za rzecz wciąż odległą. Widać to wyraźnie, gdy porównamy literaturoznawstwo ze studiami nad nauką i technologią, które starają się odpowiadać na wyzwania i problemy współczesnego świata, wchodzą w intelektualne interakcje z tym światem, szukając nie tylko języków epistemologicznie adekwatnych, ale także aksjologicznie dających rozwiązanie omawianych problemów⁹.

(R)ewolucja, którą proponuję, jest zatem skromna – dotyczyć ma zmiany języka. Ze względu na wskazane w powyższych uwagach pola zainteresowań, przedmiotem niniejszych rozważań będzie socjologia literatury, czy raczej: próba jej przededefiniowania w kategoriach ANT.

Kilka uwag o socjologii literatury

Krótki przegląd klasycznych rozstrzygnięć w zakresie socjologii literatury będzie niezbędny, by pokazać zalety aplikacji ANT w badaniach nad współczesnymi formami – mówiąc najogólniej i bez roszczenia sobie pretensji do definicyjnej precyzji tego sformułowania – funkcjonowania literatury w zbiorowości (ucieczka od słowa „społeczeństwo” jest tutaj celowa, o czym więcej w dalszej części tekstu). Nie będę się wikłał w zawilgości historyczne, tożsamościowe i metodologiczne tej subdyscypliny¹⁰, wskażę jedynie na punktowo wybrane, reprezentatywne przykłady.

⁸ A. Szahaj, *Granice anarchizmu interpretacyjnego*, „Teksty Drugie” 1997, nr 6, s. 5–33 (tekst powtórzony [w:] *idem*, *Zniewalająca moc kultury. Artykuły i szkice z filozofii kultury, poznania i polityki*, Wydawnictwo UMK, Toruń 2004, s. 93–122).

⁹ Zob. E. Bińczyk, *Technonauka w społeczeństwie ryzyka. Filozofia wobec niepożądanych następstw praktycznego sukcesu nauki*, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012. Warto wskazać zauważyć, że również literaturoznawstwo niekiedy podejmuje takie wyzwania, mierząc się np. z fenomenem literatury internetowej czy nowych form uczestnictwa w życiu literackim, stanowi to wszakże wciąż niewielki w Polsce wycinek aktywności akademickiej. Zob. np. „Teksty Drugie” 2012, nr 6 pt. *Kultur@ literacka* przygotowany przez Macieja Maryła, który nie tylko od lat zajmuje się fenomenem wpływu nowoczesnych mediów na literaturę, lecz również czyni to z interesującej w kontekście ANT-ologii literatury perspektywy socjologicznej i empirycznej. Zob. też: P. Marecki (red.), *Liternet. Literatura i Internet*, Rabid, Kraków 2002; P. Marecki (red.), *Liternet.pl*, Rabid, Kraków 2003; A. Wołodźko-Butkiewicz, *Od pieriestrojki do laboratoriów nelliteratury. Przemiany we współczesnej prozie rosyjskiej*, Studia Rossica, Warszawa 2004.

¹⁰ Zob. A. Mencwel, *Wstęp*, [w:] *W kręgu socjologii literatury. Antologia tekstów zagranicznych*, t. I: *Stanowiska*, wstęp, wybór i oprac. A. Mencwel, PIW, Warszawa 1977, s. 5–41; T. Kunz, *Kulturowa socjologia literatury – rozpoznania i propozycje*, [w:] T. Walas, R. Nycz (red.), *Kulturowa teoria literatury 2. Poetyki, problematyki, interpretacje*, Universitas, Kraków 2012, s. 413–429.

Bardzo ważny w określeniu specyfiki dyscyplinarnej (i zarazem sprawiającej dyscyplinujący problem w zakresie granic i ustaleniu tożsamości) jest dla socjologii literatury pograniczny charakter, ulokowanie pomiędzy dwiema wyodrębnionymi i ustabilizowanymi dyscyplinami akademickimi, czyli pomiędzy literaturoznawstwem i socjologią. Nie jest to łatwy do opisanego przykład inter- czy transdyscyplinarnej nauki, albowiem zdaje się ona jednak posiadać własny przedmiot badań, który – powtórzmy to – wydaje się łatwy w operacjonalizacji i badaniu. Praktyka socjologii literatury pokazuje jednak, że ten charakter subdyscypliny (będącej częścią której z wielkich dyscyplin?) powoduje rozliczne problemy. Częściej przypisywana jest do literaturoznawstwa, co generuje wiele błędnych sposobów jej uprawiania, zwłaszcza jeśli przyjrzymy się metodologicznej stronie przedsięwzięć z zakresu socjologii literatury. Być może powinna być zatem przyłączona do socjologii? Literaturoznawcy chętnie kłusują po innych dziedzinach akademickiej refleksji, jednak niechętnie oddają innym dyscyplinom to, co wspólne jest z literaturą, strzegąc zazdrośnie swojego terytorium.

Można przyjąć, że dotychczasową historię dyscypliny i praktykę badawczą wyznaczają trzy główne sposoby konceptualizowania socjologii literatury¹¹. Pominięto tu „socjologiczność” literatury i „literackość” socjologii, chociaż oba te aspekty są ważne (w pierwszym z wyróżnionych poniżej owa socjologiczność literatury jest brana pod uwagę).

Po pierwsze, mówi się o społecznych uwarunkowaniach „procesu twórczego i dzieła”¹², które stają się przedmiotem socjologizmu w literaturoznawstwie czy marksizmu – ujęć socjologiczno-genetycznych, zwracających uwagę na zależność literatury od czynników zewnętrznych, społecznych, np. od klasy społecznej (w odróżnieniu od różnego rodzaju podejść psychologicznych, które akcentowały wewnętrzne źródła twórczości literackiej).

Po drugie, bada się życie literackie, zwracając przede wszystkim uwagę na powstanie, społeczne funkcjonowanie i odbiór dzieła literackiego, ze szczególnym podkreśleniem roli instytucji życia literackiego, ale także nieoficjalnych form funkcjonowania literatury. Bada się zatem zjawiska takie jak: „sytuacja zawodowa pisarza, role społeczne twórców, struktura publiczności literackiej, działalność instytucji rozpowszechniania i kontroli twórczości (...), formy mecenatu (...), recepcja twórczości (...)” itd.¹³ W tej optyce postrzega się społeczne funkcjonowanie literatury jako wyodrębnione pole społecznej aktywności, specjalny system komunikacji. W pewnym sensie można uznać, iż znaczna część współczesnego literaturoznawstwa jest w tym sensie socjologią literatury. Wystarczy spojrzeć na projekty Stanleya Fisha, Davida Damroscha czy Pascale Casanovy¹⁴.

¹¹ Przywołuję podział wprowadzony przez Janusza Sławińskiego w haśle *Socjologia literatury* w *Słowniku terminów literackich* autorstwa Michała Głowińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej i Janusza Sławińskiego (wyd. 3 poszerzone i poprawione, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1998, s. 516–517).

¹² *Ibidem*, s. 516.

¹³ *Ibidem*.

¹⁴ Na temat dwóch ostatnich zob. A.F. Kola, *Współczesne reinterpretacje 'Weltliteratur'. 'World Literature' w poszukiwaniu teorii systemowo(-)światowej*, „Tekstualia” 2012, nr 4 (31), s. 111–127. Tam także dalsza literatura przedmiotu.

Po trzecie, bada się konwencje literackie w odniesieniu do danej kultury literackiej, w tym „systemy norm literackich utrwalone w tradycji, a ujmowane jako korelaty zbiorowych przyzwyczajzeń, gustów i potrzeb estetyczno-ideowych”¹⁵. W ramach unowocześniania tego rodzaju badań zaczęto zajmować się m.in. literaturą popularną, wychodząc od badań *stricte* literaturoznawczych w kierunku już nie tylko socjologii, ale również kulturoznawstwa i badania literatury postrzeganej jako np. metajęzyk danej kultury¹⁶.

Z polskiej perspektywy nie można nie wspomnieć o socjologii komunikacji literackiej i o tzw. strukturalistycznej w punkcie wyjścia polskiej szkole teorii komunikacji literackiej m.in. Michała Głowińskiego czy Janusza Sławińskiego. Jak mówi Janusz Lalewicz, jeśli nie najważniejszy, to z pewnością jeden z najciekawszych przedstawicieli tej grupy: „[o]tóż lektura pojmowana jest w tej perspektywie [strukturalistycznych koncepcjach stylów odbioru Głowińskiego i normach czytania Sławińskiego – przyp. A.F.K.] jako zetknięcie pewnego tekstu z pewnym systemem reguł interpretacji, albo ogólniej: systemem reguł szeroko rozumianego odbioru, czytelnik zaś opisywany jako automat dekodujący zgodnie z pewnym stałym systemem reguł”¹⁷. Ten sam autor dodaje: „Czytanie jest niewątpliwie pewną operacją – czy serią operacji – na tekście; ale z drugiej strony czytanie to jakieś zajęcie usytuowane wśród innych zajęć – człowieka, który jest nie tylko czytelnikiem i żyje nie tylko w świecie tekstów. Ów człowiek przystępuje do lektury jako członek pewnej grupy społecznej, zajmujący w niej pewną pozycję i pełniący pewne funkcje społeczne, podlegający oddziaływaniom środowiska itd. – co określa jego punkt widzenia na świat, sposób myślenia, poglądy i przyzwyczajenia, a pośrednio – także postawę wobec literatury i czytania. Po drugie człowiek ten czyta w pewnej sytuacji – w pewnym momencie swojej biografii, a więc mając za sobą pewne doświadczenia (także czytelnicze), a jednocześnie mając jakieś projekty, podejmując jakieś działania, uczestnicząc w jakichś zbiorowych przedsięwzięciach itd. Ze względu na te okoliczności czytanie, a w szczególności czytanie danego tekstu, ma dla niego sens sytuacyjny i funkcjonalny”¹⁸. Wyraźnie zatem widać, że socjologia komunikacji literackiej staje się wspólnotowo postrzegana (czy raczej zależna od wspólnoty interpretacyjnej w sensie nadanym temu pojęciu przez Stanleya Fisha¹⁹) kategorią rozumienia działań interpretacyjnych podejmowanych przez czytelnika. Lalewicza bowiem, jak Fisha, interesują interpretacyjne konsekwencje takiego pojmowania socjologii literatury: „Interpretacja tekstu literackiego jest w tym sensie niezdeterminowana: nie istnieje jakiś układ, który by określoną interpretację wyznaczał, jest ona w sensie dosłownym stwarzana i nada-

¹⁵ J. Sławiński, *Socjologia literatury...*, *op. cit.*, s. 516.

¹⁶ M. Dąbrowska-Partyka, *Literatura jako metajęzyk kultury*, „Studia z Filologii Polskiej i Słowiańskiej” 2005, nr 40, s. 287–296.

¹⁷ J. Lalewicz, *Socjologia komunikacji literackiej. Problemy rozpowszechniania i odbioru literatury*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1985, s. 64.

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ S. Fish, *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, red. A. Szahaj, wstęp do polskiego wydania R. Rorty, przedmowa A. Szahaj, tłumacze różni, Universitas, Kraków 2002.

wana tekstowi przez lekturę²⁰. I dalej konkluduje: „Rozumienie utworu uwarunkowane jest z jednej strony przez owe modele wirtualne, które czytający ma do dyspozycji ze względu na swoją wiedzę o świecie, z drugiej zaś – przez sytuację, nastawienie i cele lektur”²¹. Zatem socjologia komunikacji literackiej służy tutaj do tego, by obronić wolność aktu interpretacyjnego przed zakusami jakiegokolwiek literaturoznawczej ortodoksji, z drugiej – by pokazać jednak kulturowe uwikłanie naszych aktów rozumienia²².

Kulturowa socjologia literatury

Próba wyjścia w kierunku nas tutaj interesującym, poza klasycznie pojmowane opłotki socjologii literatury zgodnie z ramowo wskazanymi powyżej jej wyznacznikami, jest kulturowa socjologia literatury. Jako przykład niech posłuży na potrzeby niniejszych rozważań programowy tekst Tomasza Kunza pt. *Kulturowa socjologia literatury – rozpoznania i propozycje*. Warto wszakże zauważyć, że jest coś paradoksalnego w określeniu „kulturowa socjologia literatury”. To znaczy uzasadnieniem dla jego użycia w tym kontekście jest wpisanie socjologii literatury w nowy kontekst – kulturowego zwrotu w humanistyce i jego konsekwencji dla literaturoznawstwa. Jednakże czy można – zgodnie z kulturalistycznym paradygmatem w humanistyce i naukach społecznych – w ogóle mówić o tym, co społeczne poza tym, co kulturowe?

Kunz stwierdza, że kulturowa socjologia literatury powinna „uczynić przedmiotem swojego zainteresowania nie tyle same teksty literackie (...), ile określone tryby ich lektury oraz warunki (instytucjonalne, polityczne, materialne itd.), w jakich dokonuje się cyrkulacja, wymiana, negocjacja i rekontekstualizacja nadawanych tym tekstom znaczeń”²³. Mamy zatem do czynienia z *de facto* wyrażoną w nieco unowocześnionym języku intuicją, która kryła się już za projektem Lalewicza. Zresztą widać to wyraźnie, albowiem tekst literacki postrzegamy jako konstruowany w akcie lektury, który ma wspólnotowy – w sensie Fishowskim – charakter. Kulturowa socjologia literatury ma się skupić na „szczegółowej i transdyscyplinowej analizie konkretnych jednostkowych przypadków”²⁴. Dalej autor zmierza w stronę już nieklasycznych ujęć, opierając się na języku proponowanym m.in. przez ANT. Mówi bowiem, że owa socjologia literatury „powinna traktować teksty literackie jako swoiste »centra« lub »ośrodki« posiadające zdolność »mobilizowania zasobów«, a więc przyciągania, skupiania i wiązania szeregu różnorodnych bytów w jedną rozbudowaną sieć czy też konstelację tekstową”²⁵. Chodzi tu o zasoby kapitalizowane i mobilizowane na różnych

²⁰ J. Lalewicz, *Socjologia komunikacji literackiej...*, *op. cit.*, s. 73.

²¹ *Ibidem*, s. 78.

²² Jest to podejście bliskie Andrzejowi Szahajowi, zob. *idem*, *Granice anarchizmu...*, *op. cit.* Więcej o pokrewieństwie idei Jerzego Kmity, Fisha, Lalewicza i Szahaja, zarazem aplikując je do konkretnych badań nad dyskursem, piszę [w:] A.F. Kola, *Europa w dyskursie polskim, czeskim i chorwackim. Rekonfiguracje krytyczne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2011 (zob. zwłaszcza *Wstęp*).

²³ T. Kunz, *Kulturowa socjologia literatury...*, *op. cit.*, s. 434.

²⁴ *Ibidem*, s. 435.

²⁵ *Ibidem*.

poziomach: instytucjonalnym, społecznym, finansowym, prestiżowym, ale także mowa jest o kapitałach: materialnym, niematerialnym i – jednak wyróżnionym – ludzkim. Kulturowa socjologia literatury powinna „pytać (...) o kulturowo (lokalnie i historycznie) usankcjonowane i zinstytucjonalizowane sposoby powstawania i funkcjonowania tekstów literackich w dynamicznej, zmiennej i heteronomicznej przestrzeni komunikacyjnej rzeczywistości kulturowej”²⁶. Heteronomiczny charakter owej rzeczywistości komunikacyjnej i jej kulturowo-historyczne uwikłanie stają się w ostatecznym rozrachunku znakiem rozpoznawczym tak pojmowanej socjologii literatury. Pewien potencjał, który został tutaj wydobyty, jest od razu grzebany przez niemożność rzeczywistego przekroczenia języka klasycznej humanistyki i nauk społecznych. Autor robi krok w dobrym kierunku, jednakże nie korzysta w pełni z możliwości, które to generuje.

Socjologia literatury przed ANT

Wszystkie zasygnalizowane podejścia w socjologii literatury cechuje kilka stale powracających elementów. Można je pogrupować w dwa zasadnicze problemy. Po pierwsze, za powyższymi projektami kryje się *antropocentryczna perspektywa*, która obecna jest już na poziomie języka, używanych kategorii-metafor (tj. czytelnictwo, style odbioru, życie literackie, socjologizm, biografizm itd.), w której ramach sprawstwo jest przypisane tylko jednemu aktantowi – człowiekowi. Wyraźne jest to np. u Kunza, który obok elementów materialnych i niematerialnych wyróżnił trzeci – ludzki. W konsekwentnie poprowadzonym projekcie ANT-ologicznym owo wyróżnienie nie powinno się pojawić. Nasz namysł nad fenomenem literatury jest skażony antropocentrycznym spojrzeniem, które nie znika nawet w optykach zwracających uwagę na samo medium, takich jak badania nad oralnością/piśmiennością/digitalnością, materialnością tekstu literackiego czy właśnie socjologią literatury itd. Po drugie, wyraźna jest *tekstocentryczna perspektywa*, której elementem jest oczywiście sam język (style odbioru, recepcja literacka, konwencje literackie itd.), ale również fakt, iż tak pojmowane socjologie literatury ewidentnie pisane są z punktu widzenia interesów i perspektywy literaturoznawstwa. Socjologia literatury ma zatem niewiele wspólnego z socjologią jako taką, staje się zaś narzędziem interpretacyjnym, dającym określone profity w postaci większej perswazyjności, albowiem jest/zdaje się bardziej naukowa (jak marksizm), intersubiektywnie sprawdzalna (jak np. *de facto* jest u Fisha czy Lalewicza w ramach określonej wspólnoty interpretacyjnej czy – by pójść tropem Ludwika Flecka – kolektywu myślowego), ugruntowana w praktykach lekturowych (jak w polskiej szkole komunikacji literackiej). W sporze, czy powiązać socjologię literatury z socjologią czy z literaturoznawstwem, odpowiedź jest oczywista i wskazuje na drugą z dyscyplin. Sprawia to zarazem, że cierpi ona na deficyt „socjologiczności”. Rację ma Andrzej Mencwel, gdy stwierdza, że „[s]ocjologia literatury stanowi przeto sama aspekt relacji między tym, co literackie, i tym, co społeczne”²⁷. Nie oznacza to wszakże, że spo-

²⁶ *Ibidem*, s. 433.

²⁷ A. Mencwel, *Wstęp...*, *op. cit.*, s. 26.

łączone jest czy musi być tutaj konceptualizowane za pomocą języka socjologicznego; jest za to jedynie wariantem przyjmowanej przez autora perspektywy społecznej. Nie jest to samo w sobie oczywiście błędem, stanowi część literaturoznawczej *ars poetica*, jest przykładem „socjologiczności” literatury, nie jest wszakże od razu socjologią literatury.

Socjologia literatury w perspektywie ANT

Celem niniejszego artykułu jest to, by przemyśleć kategorie socjologii literatury w języku ANT, tzn. dokonać translacji transdyscyplinarnej. Nie chodzi tu wszakże tylko o przykład, ten bowiem nie jest możliwy w wersji „jeden do jednego”, choć trzeba pamiętać, iż zawsze coś tracąc, zarazem coś zyskujemy. Jednakże chodzi tutaj także (przede wszystkim) o to, by przeddefiniować socjologię literatury, na tyle korzystając z ustaleń ANT, by *de facto* powołać A N T - o l o g i ę l i t e r a t u r y, przekraczającą nie tylko ograniczenia dotychczasowej socjologii literatury, ale projektu, który przy dobrym wypełnieniu mógłby się pod nazwą „socjologia literatury” kryć, wychodząc poza literaturoznawczą dominację.

Co bowiem jeśli dokonamy konstruktywistycznego zamachu dyscyplinarnego w literaturoznawstwie, który choć rozpoczął się m.in. za sprawą Niklasa Luhmanna, Siegfrieda J. Schmidta, Stevena Tötösy’ego de Zepetneka, a w Polsce – Erazma Kuźmy czy Dominika Lewińskiego, to jednak daleki jest od: dopełnienia, szerszej akceptacji środowiskowej i wreszcie przemyślenia wszystkich – w tym politycznych, społecznych i edukacyjnych, a więc *stricte* praktycznych – konsekwencji takiej zmiany?²⁸ Co jeśli spojrzymy na literaturoznawstwo z perspektywy ANT?²⁹

Rita Felski w swoim wystąpieniu *Context Stinks!* zachęca do porzucenia klasycznej optyki, w tym m.in. – powołując się na Brunona Latoura cytującego Rema Koolhaasa stwierdzającego, że „kontekst jest do bani” – kategorii „kontekstu”, zarazem spojrzenia na dyscyplinę i jej przedmiot oczami ANT³⁰. Wprowadzenie aktorów pozaludzkich, tak chciałoby się powiedzieć „naturalne” i „konieczne” dla literaturoznawstwa, może wszakże przeddefiniować podstawowe pojęcia dyscyplinarne i dyscyplinujące zarazem, zrekonstruować rortiański słownik finalny (także w dosłownym tego słowa znaczeniu – w pełni znaturalizowany w Polsce strukturalistyczny – pisany z rozmysłem małą literą – *słownik terminów literackich*) itd. Owa „naturalność” bierze się wszakże z tego, że nawet klasycznie poj-

²⁸ Zob. E. Kuźma, A. Skrendo, J. Madejski (red.), *Konstruktywizm w badaniach literackich. Antologia*, Universitas, Kraków 2006.

²⁹ Na temat konstruktywizmu ANT zob. E. Bińczyk, *(Post)konstruktywizm na temat technonauki*, „Zagadnienia Naukoznawstwa” 2010, nr 2 (184), s. 231–251.

³⁰ R. Felski, *Context Stinks!*, http://www.academia.edu/1686758/Context_Stinks_intro (data dostępu: 1.04.2013; korzystam z tej wersji, zob. też publikację w „New Literary History”, vol. 42, nr 4, Autumn 2011, s. 573–591, tu s. 573). Autorka powołuje się na B. Latour, *Reassembling the Social. An Introduction to Actor-Network-Theory*, Oxford University Press, Oxford 2005, s. 148 (polskie wydanie: *idem, Splatując na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Abriszewski, wstęp K. Abriszewski, Universitas, Kraków 2010, s. 213). Cytuję z polskiego tłumaczenia książki (przekład zbiorowy pod kierunkiem K. Abriszewskiego), aczkolwiek dosłownie chodzi o to, że „kontekst śmierdzi” czy „cuchnie”.

mwane literaturoznawstwa czynią przedmiotem swojego zainteresowania właśnie czynnik pozaludzki, czyli literaturę (czy literackość), dopiero rozszerzając swój zakres i kontekst, antropologizują literaturoznawstwo³¹, dostrzegając za każdą literacką aktywnością przejaw sprawczej mocy człowieka. Aktorzy pozaludzcy (książki, teksty, literatura, czcionki, maszyny drukarskie, prawo autorskie, otwarte źródło, e-czytniki itd.) są bowiem tym, czym tak pojmowana ANT-ologia literatury powinna się zajmować. Wymaga to wszakże przemyslenia na nowo podstawowych kategorii i własnej optyki badawczej. Rozbicie czarnej skrzynki literaturoznawstwa jest konieczne, rozmontowanie utrwalonych, spetryfikowanych relacji niezbędne, by: dostrzec nowe społeczne/zbiorowe warunki funkcjonowania literatury; ożywić (i rozluźnić zarazem) dyscyplinę; odnowić skostniały i spetryfikowany język literaturoznawstwa itd. Obszar zarezerwowany dotychczas dla socjologii literatury powinien się w takiej optyce znaleźć w centrum akademickiego namysłu literaturoznawczego, poddany wszakże radykalnym redefinicjom poza ramy antropo- i tekstocentrycznego myślenia.

Jak zatem mógłby wyglądać taki program ANT-ologii literatury? Po pierwsze, przyjąć należy zasadę p o d a ż a n i a z a a k t o r a m i³², bez przesądzania o ich sprawczości, wpływie na opisywaną sytuację, a nade wszystko – i to jest drugi element projektu – bez ich l u d z k i e j / p o z a l u d z k i e j proweniencji. Dajmy im głos, pozwólmy mówić we własnym imieniu³³, a wtedy okaże się – po trzecie zatem – w t o k u b a d a n i e m p i r y c z n y c h³⁴, które elementy są istotne, które zaś nie, które – innymi słowy – działają, które zaś są biernie. Nie można wszakże w optyce ANT przesądzać z góry o sposobach ich aktywności, o ich wpływie na daną sytuację. Czy bowiem mamy pewność, że rewolucja Gutenberga rzeczywiście – w perspektywie historyczno-kulturowej – związana jest z jedną osobą, z samym Janem Gutenbergem?³⁵ Można by w trybie a p l i k a c j i m e t o d A N T d o

³¹ Chodzi tu o antropologizowanie rozumiane jako odniesienie do dyscypliny naukowej – antropologii kulturowej czy społecznej, nie zaś o antropologiczne w sensie podstawowym, ludzkim, uwikłanie literatury, chociaż antropologia literatury tak jest zazwyczaj rozumiana. Więcej na ten temat i dalsza literatura przedmiotu zob. A.F. Kola, *Antropologizacja literaturoznawstwa a komparatystyka*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek (red.), *Antropologizowanie humanistyki. Zjawisko – procesy – perspektywy*, Colloquia Humaniorum, Olsztyn 2009, s. 83–106.

³² B. Latour, *Prolog w formie dialogu pomiędzy studentem i (cokolwiek) sokratycznym Profesorem*, przeł. K. Abriszewski *et al.*, „Teksty Drugie” 2007, nr 1–2, s. 142 (zob. *idem*, dialog pt. *O trudnościach bycia ANT-owcem: interludium w formie dialogu*, [w:] B. Latour, *Splatając na nowo...*, *op. cit.*, s. 203–227).

³³ K. Abriszewski, *Splatając na nowo ANT. Wstęp do „Splatając na nowo to, co społeczne”*, [w:] B. Latour, *Splatając na nowo...*, *op. cit.*, s. VIII.

³⁴ Uwagi w tej kwestii znajdują się we wszystkich komentarzach dotyczących ANT autorstwa – w Polsce – Krzysztofa Abriszewskiego, Ewy Bińczyk czy Radosława Sojaka; zob. zwłaszcza: K. Abriszewski, *Teoria Aktora-Sieci Bruno Latoura*, „Teksty Drugie” 2007, nr 1–2, s. 113–126; *idem*, *Poznanie, zbiorowość, polityka. Analiza teorii aktora-sieci Bruno Latoura*, Universitas, Kraków 2008; *idem*, *Splatając na nowo ANT...* Wątpliwości z perspektywy historycznej zob.: A.F. Kola, *Tyfus, wszy, klatki, karmiciele i II wojna światowa*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie. Humanistyka wobec materialności*, Colloquia Humaniorum, Olsztyn 2008, s. 300–301.

³⁵ Kwestia ta posiada obszerną literaturę przedmiotu, zwłaszcza z kręgu Marshalla McLuhana czy Waltera J. Onga. Zob. np. W.J. Ong, *Oralność i piśmienność. Słowo poddane technologii*, przekł. i wstęp J. Japola, Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1992, rozdz. 5: *Druk, przestrzeń*

r z e c z y w i s t o ś c i h i s t o r y c z n e j³⁶ pokazać rozwój drukarstwa w perspektywie dokonującej się zmiany technologicznej, jaką było wykorzystanie prasy drukarskiej i ruchomych czcionek, jako aktanta, podczas gdy realna rola Gutenberga jest nade wszystko symboliczna, znaczenia zaś są mu nadane przez kolejne pokolenia antropocentrycznie zorientowanej nauki. Rewolucja – podobnie jak rewolucja naukowa³⁷ – ma zatem bardziej ewolucyjny charakter, była długotrwałym procesem negocjowania znaczeń i możliwości oddziaływania na świat (nie tylko społeczny), w którym samo narzędzie jest sprawcą dokonującej się zmiany.

Po czwarte, idąc tropem Felski, należy odrzucić dominującą w literaturoznawstwie perspektywę kontekstu jako istotnego/najistotniejszego elementu rozumienia dzieła literackiego. Jak mówi Latour o kontekście: „To po prostu jest sposób na zatrzymanie opisu, kiedy jest się zmęczonym lub zbyt leniwym, żeby go kontynuować”³⁸. To znaczy strategia posiłkowania się kontekstem, czy wręcz budowania własnej interpretacji na kontekście (jak to się działo w: biografizmie – gdzie kontekstem była biografia i życie autora; socjologizmie – gdzie kontekstem były uwarunkowania społeczne powstania dzieła literackiego; psychologizmie – gdzie kontekstem było psychiczne, wewnętrzne życie autora wpływające na tekst literacki; wszystkich odmianach szeroko rozumianego strukturalizmu, gdzie kontekstem był używany język i logocentryczna perspektywa; czy nawet w kulturalistycznej wersji interpretacji, jaką proponuje Andrzej Szahaj³⁹, gdzie wszystko w interpretacji jest wyznaczane przez kulturę itd.). Należy opisywać⁴⁰, czy jak Latour – tworzyć raporty⁴¹, podążając za aktorami, nie dając się zwieść uogólnieniom i uproszczeniom kontekstowego myślenia. Empiryczne badania przełożone na raporty przestrzegane są tu jako wzorcowy sposób prowadzenia działalności naukowej.

To zaś prowadzi nas ku piątej cesze, która w istotny sposób może przededefiniować socjologię literatury i będzie zarazem powodem używania określenia A N T - o l o g i a l i t e r a t u r y. Chodzi mianowicie o spojrzenie nie z perspektywy społeczeństwa czy wspólnoty aktorów ludzkich, choć taką interpretację mógłby sugerować tytuł książki Latoura *Splatając na nowo to, co społeczne*, ale o zbiorowość⁴² heterogenicznych aktorów czy aktantów. Ewa Bińczyk, recenzując tę książkę, pisała, że „[t]eoria aktora-sieci jest (...) a-socjologia,

i zamknięcie; M. McLuhan, *Galaktyka Gutenberga*, przeł. E. Różalska, [w:] M. McLuhan, *Wybór tekstów*, red. E. McLuhan, F. Zingrone, Zysk i S-ka, Poznań 2001, s. 136–208; E.L. Eisenstein, *Rewolucja Gutenberga*, przeł. H. Hollender, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004.

³⁶ B. Latour, *Pandora's Hope. Essays on the Reality of Science Studies*, Harvard University Press, Cambridge–London 1999; A.F. Kola, *Tyfus...*, *op. cit.*

³⁷ S. Shapin, *Rewolucja naukowa*, przeł. S. Amsterdamski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000.

³⁸ B. Latour, *Splatając na nowo...*, *op. cit.*, s. 213.

³⁹ Zob. A. Szahaj, *Paninterpretacjonizm, czyli nie ma niczego w tekście, czego by pierwszej nie było w kontekście*, „Teksty Drugie” 1998, nr 4, s. 75–90.

⁴⁰ B. Latour, *Prolog w formie...*, *op. cit.*, s. 132.

⁴¹ *Idem*, *Splatając na nowo...*, *op. cit.*, s. 173–201; zob. K. Abriszewski, *Splatając na nowo ANT...*, *op. cit.*, s. XXIII.

⁴² Zob. uwagi dotyczące rozstrzygnięć terminologicznych i translatorskich: E. Bińczyk, *Technonauka...*, *op. cit.*, s. 35. Por. K. Abriszewski, *Splatając na nowo ANT...*, *op. cit.*, s. XXIV–XXXIV.

zaprzeczając sensowności i potrzebie tworzenia nauki o »społeczeństwie«⁴³. Choć dodaje, że „[j]est ona także socjologią związków, asocjacji”⁴⁴. Dopiero w tak pojmowanej rzeczywistości (r)ewolucja ANT w literaturoznawstwie może się dokonać. Nie może być zatem mowy o socjologii, skoro porzucamy ludzką perspektywę społeczną. Zbiorowość maszyn, farb i czcionek drukarskich, idee reformacji, przekłady Pisma Świętego na języki narodowe itd. stanowią bowiem istotne elementy zmiany, poza Gutenbergiem czy Marcinem Lutrem. Zbiorowość tak, społeczeństwo klasycznie pojmowane – nie!

I w tym sensie zaaplikowanie ANT do literaturoznawstwa musi je przededefiniować. Dla Latoura bowiem, jak zauważa Bińczyk, nie istnieje nie tylko taki obiekt jak „społeczeństwo”, ale również np. „kultura” czy „kontekst społeczny”. Są to „jedynie hipostazy, artefakty”⁴⁵. Stwierdzenie np. Andrzeja Mencwela w pewnym sensie jest pokrewnie konceptualizacjom Latoura, gdy zwraca uwagę na konkret, partykularyzm, szczegół, detal, empiryczność itd. Stwierdza on: „Jeśli poprzez słowo wchodzimy (...) do całości kultury – to nie przez żadne słowo w ogóle i żaden też język w ogóle”⁴⁶. Dalej precyzuje, że zawsze wchodzimy „poprzez określone partykularyzacje słowa, to znaczy komunikacyjne sposoby jego istnienia i działania. (...) tymi sposobami działania słowa są oralność, piśmienność, druk, elektronika czy też informatyka. Ich sekwencja wyznacza porządek kultury”⁴⁷. Zarazem jednak Mencwel trzyma się definiowania tych wszystkich elementów, z „kulturą” na czele, jako zasady podstawowej dla nauki. Latour z kolei, podążając za aktorami, nie widzi konieczności (czy więcej: widzi generujące to problemy) wychodzenia od takich założeń i generalizacji.

ANT-ologia literatury nie zajmuje się tylko relacjami pomiędzy samą literaturą a tym, co społeczne, albowiem zbiorowość heterogenicznych czynników wpływających na jej funkcjonowanie jest niesłychanie złożona. Zajmuje się wszakże relacjami właśnie, rozplatając dotychczasowe supły teorii literaturoznawczych, splatając na nowo ramy zbiorowego funkcjonowania. Może to służyć badaniom historycznym, ale nade wszystko pozwala na rzetelne badania współczesnego stechnicyzowanego i uwikłanego w rozliczne rozwiązania technologiczne świata. W starym języku będziemy jedynie z punktu widzenia konserwatywno-zachowawczego utyskiwać na upadek świata literackiego. W perspektywie ANT-ologii dostrzeżemy jego złożoność, wielowymiarowość, ale także żywotność, dynamizm i ciągły rozwój.

Tak rozumiana ANT-ologia idealnie nadaje się do badań literaturoznawczych i z powodzeniem może zastąpić wysłużoną socjologię literatury, dopełniając nigdy w pełni niezrealizowany program.

⁴³ E. Bińczyk, *Nie ma społeczeństwa! „Nasi mniejsi bracia”, społeczne studia nad nauką oraz etyczne zaangażowanie Bruno Latoura*, „Teksty Drugie” 2007, nr 1–2, s. 146.

⁴⁴ *Ibidem*.

⁴⁵ *Ibidem*.

⁴⁶ A. Mencwel, *Wiedza o kulturze a wiedza o literaturze*, [w:] M. Czermińska et al. (red.), *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, t. II, Universitas, Kraków, s. 55.

⁴⁷ *Ibidem*.

Ewa Bińczyk

Problem sceptycyzmu wobec zmiany klimatycznej a postkonstruktywizm

Argumentuję przeciwko tym, którzy mówią, że filozofia czyni takie postępy jak nauka, i głoszę, że filozofowie powinni raczej pokazywać ograniczoną naukowość nauki – to, że postęp i zorientowanie na prawdę w nauce są niedoskonałe.

Josef Mitterer

Postconstructivism and the Problem of *Global Warming Denial Movement*

Abstract: The article presents the thesis claiming that postconstructivist view is the best tool to describe and analyze such phenomena as modern risk, scientific controversies, climate change and global warming denial movement. I consider *Science and Technology Studies* (STS) and Bruno Latour's *Actor-Network Theory* (ANT) the best examples of postconstructivist thinking. They allow to picture both science and technology as spheres of collective practice, materially situated and instrumentally rooted. They postulate a posthumanist, antiessentialist, ecological politics in which climate change and the role of non-humans may be represented in a satisfactory way.

Key words: Postconstructivism, Science and Technology Studies, climate change, global warming denial, sociology of risk, Actor-Network Theory, anthropocene

Uwagi wstępne: co to jest postkonstruktywizm?

W tekście bronię przekonania, że właściwie zaprojektowana perspektywa postkonstruktywistyczna jest najlepszym punktem wyjścia do badania kontrowersji dotyczących zmiany klimatycznej. Ujęciami postkonstruktywistycznymi nazywam koncepcje wywodzące się z nurtu konstruktywistycznego w ramach socjologii wiedzy naukowej (stanowią one zatem obecną fazę ewolucji samego konstruktywizmu)¹. Zaliczam do nich nurt studiów nad nauką

¹ Niestety, nie ma tu miejsca, by przedstawić szczegółową rekonstrukcję tendencji postkonstruktywistycznych w nurcie STS. Pisałam na ten temat wcześniej: por. E. Bińczyk, *(Post)konstruktywizm na temat technonauki*, „Zagadnienia Naukoznawstwa” 2010, nr 2, s. 231–251; *eadem*, *Technonauka w społeczeństwie ryzyka. Filozofia wobec niepożądanych następstw praktycznego sukcesu nauki*, Wydawnictwo Naukowe UMK,

oraz technologią (ang. *Science and Technology Studies* – STS), a także wyrastającą z tego obszaru badań teorię aktora-sieci (ang. *Actor-Network Theory* – ANT), najlepiej mi znana w wersji proponowanej przez francuskiego socjologa Brunona Latoura.

W optyce postkonstruktivistycznej poznanie to przede wszystkim przedsięwzięcie zbiorowe, utożsamiane ze skutecznym działaniem, zaś praktyka naukowa nie różni się ze swej istoty od innego typu praktyk. Zamiast prawdziwości, pewności czy obiektywności twierdzeń naukowych w centrum zainteresowań umieszcza się tutaj stopniowo osiąganą powtarzalność i stabilność rezultatów badań. Nie znaczy to jednak, że ujęcia postkonstruktivistyczne podważają profesjonalizm nauki i ekspertów, wręcz przeciwnie – uwarunkowania praktycznego sukcesu nauk empirycznych oraz technologii zostają tu satysfakcjonująco, naturalistycznie objaśnione². W tym kontekście zwraca się uwagę na znaczenie procesów delegowania kompetencji poznawczych do otoczenia, rozproszonego poznania (ang. *distributed, situated cognition*), a także kalibrowania i standaryzowania miar, procedur i narzędzi. Fakty naukowe prezentowane są w obrębie stanowisk nurtu STS (np. Andrew Pickeringa, Brunona Latoura, Stevena Shapina, Karin Knorr-Cetiny czy Iana Hackinga – filozofa sympatyzującego z tymi ujęciami) jako stabilizowane w procesach, w których tworzy się s o - l i d n e d o p a s o w a n i a, wykorzystując heterogeniczne zasoby: materialne, pojęciowe, społeczne, polityczne. Zdaniem myślicieli STS powtarzalność eksperymentów i skuteczność technologii wylaniają się stopniowo w laboratoriach, wyposażonych w instrumenty, modele i maszyny, dzięki komfortowi popełniania błędów w kontrolowalnych warunkach redukcji ich kosztów. Fenomenów tych, tak w przyrodoznawstwie, jak i w inżynierii, nie wyjaśnia się poprzez odwołania do odgórnych norm Rozumu i Logiki, osiąganey Prawdy, algorytmów Metody czy geniuszu wybitnych jednostek.

Obszar studiów nad nauką oraz technologią sytuuje się obecnie, jak uważam, poza opozycją między realizmem a konstrukttywizmem. Słabe intuicje realistyczne są tu zachowane. Chodzi jednak o realizm zbanalizowany, połączony z akceptacją tezy o niedookreśleniu, odnoszącej się nie tyle do teorii naukowych, ile raczej do praktyki laboratoryjnej³. Znaczy to, że nie przyjmuje się tu epistemologicznego reprezentacjonizmu. Postkonstrukttywizm operuje pojęciami i metaforą konstruktivistyczną, konsekwentnie antyesencjalistyczną (fabrykowanie, quasi-obiekt, faktysz, translacja, aktant, heterogeniczna sieć, sprawczość czynników pozaludzkich). Występuje tu jednak wyraźne odrzucenie konstrukttywizmu s p o ł e c z n e g o i redukcjonizmu socjologicznego, kulturalistycznego czy narratywistycznego. To, co stanowi kontekst społeczny, polityczny czy kulturę, również jest ujęte jako osiąganane, stabilizowane dzięki wysiłkom wiązania heterogenicznych zasobów. Podkreśla się tu znaczenie praktyki, usytuowania działań, przyziemnego majsterkowania

Toruń 2012; *eadem, Monitorowanie nauki? Uwagi z pozycji postkonstruktivistycznych*, „Principia” 2012, t. LVI, s. 83–100.

² Mam na myśli naturalizm metodologiczny (niekoniecznie ontologiczny), polegający na tym, że podczas objaśniania istoty i sukcesu nauki odwołujemy się do kategorii nienormatywnych, dostępnych w słownikach uznawanych obecnie nauk empirycznych (takich jak psychologia, socjologia, nauki kognitywne).

³ E. Bińczyk, *(Post)konstrukttywizm...*, *op. cit.*; *eadem, Technonauka w społeczeństwie ryzyka...*, *op. cit.*, s. 82–92.

(tak w nauce, jak i w inżynierii) oraz rolę czynników pozaludzkich (ang. *non-humans*) konstytuujących postać zbiorowości.

Myśl postkonstruktywistyczna nie przyjmuje determinizmu technologicznego. Propozycje wprowadzane przez naukę i laboratoria prezentowane są tu jako rozległe, polityczne transformacje tkanki zbiorowości, których niechciane, zaskakujące konsekwencje mogą wystąpić w odległych obszarach. Innowacje technologiczne i odkrycia naukowe nie pojawiają się w izolacji (jako nieproblematiczne fakty czy też neutralne, „niewinne” gadżety). Nie mają one danej z góry esencji. Technologie, w procesie ich wprowadzania i w toku użycia, podlegają transformacjom (dotyczy to również kryteriów ich optymalności i skuteczności), wchodząc w interakcje z wieloma innymi wymiarami świata *praxis*⁴.

Studia nad nauką oraz technologią z entuzjazmem podejmują temat kontrowersji dotyczących środowiska czy natury (także ludzkiej). Przedmiotem analiz w tym obszarze jest nie tylko zagadnienie zmiany klimatycznej, ale również kontrowersje wokół organizmów modyfikowanych genetycznie (GMO), rozwiązań energetycznych, biotechnologii, nauk biomedycznych oraz technologii dotyczących reprodukcji (np. zapłodnienia *in vitro*). Osobne badania dotyczą: ewolucji ruchu ochrony przyrody, relacji między badaniami naukowymi stosującymi się do środowiska i polityką środowiskową, uczestnictwa obywatelskiego w procesach decyzyjnych odnoszących się do środowiska czy wreszcie statusu tego, co naturalne w późnej nowoczesności⁵.

Dynamika kontrowersji, zamykanie debat, stabilizowanie faktów oraz rekonstrukcja przyczyn katastrof technologicznych od lat 80. XX wieku stanowią ważny obszar analiz nurtu STS. Badania kontrowersji ukazują kulturowy charakter lokalnych procesów legitymizowania tego, co naukowe⁶. Harry Collins, twórca tzw. empirycznego programu relatywizmu (EPOR), przekonuje, że prowadząc studia nad nauką i technologią, należy kierować się następującymi zaleceniami: 1) brać pod uwagę nieuniknioną giętkość interpretacyjną rezultatów badawczych, eksperymenty same w sobie nie są bowiem rozstrzygające, wymagając interpretacji, a powtarzalność eksperymentu i jego sukces również podlegają społecznym negocjacjom; 2) badać procesy społeczne, które służą zamknięciu debat i ustabilizowaniu faktów (fakt wymaga zatem procesów stabilizacji); 3) śledzić relacje między tymi właśnie procesami a siłami (społecznymi) spoza wspólnoty badaczy, którzy są bezpośrednio zaangażowani w kontrowersję (podział na „wnętrze” i „zewnątrze” nauki jest bowiem iluzoryczny)⁷. Zgodnie z wytycznymi Collinsa badania kontrowersji należy zawsze sytuo-

⁴ Por. np. W.E. Bijker, T.P. Hughes, T.J. Pinch (red.), *The Social Construction of Technological Systems: New Directions in the Sociology and History of Technology*, wyd. 6, The MIT Press, Cambridge, MA–London 1997.

⁵ S. Yearley, *Nature and the Environment in Science and Technology Studies*, [w:] E.J. Hackett, O. Amsterdamska, M. Lynch, L. Wajcman (red.), *The Handbook of Science and Technology Studies*, wyd. 3, The MIT Press, Cambridge, MA 2008, s. 921.

⁶ H.M. Collins, *Stages in the Empirical Programme of Relativism*, „Social Studies of Science” 1981, nr 11, s. 4.

⁷ *Idem*, *An Empirical Relativist Programme in the Sociology of Scientific Knowledge*, [w:] K. Knorr-Cetina, M. Mulkay (red.), *Science Observed: Perspectives on the Social Study of Science*, SAGE Publications, London 1983, s. 85–113.

wać w szerszym kontekście społeczno-politycznym, pokazując zarazem, że tzw. „struktura społeczna” czy „kontekst polityczny” również są negocjowane.

Zmiana klimatyczna a wyzwania społeczeństwa ryzyka

Destabilizacja klimatu to chyba najszerzej dyskutowany przykład tzw. ryzyka systemowego, charakteryzującego późną nowoczesność. Ulrich Beck, autor koncepcji społeczeństwa ryzyka, podkreśla, że ryzyko to jest ponadpaństwowe, nieodwracalne i niewidzialne (wymagając wykorzystania instrumentów naukowych dla swej artykulacji i reprezentacji). Zagroza ono przy tym destabilizacją znanego nam świata (ekologiczną, finansową oraz polityczną)⁸. Pojęcie ryzyka sprawia trudności polityczne i epistemologiczne. Zakłada ono bowiem skontrastowanie stanu obecnego oraz tendencji bieżących (które są obserwowalne) z przewidywanym oraz niepożądanym stanem przyszłym (nieobserwowalnym). Pomimo pewnego stopnia swej obiektywności (źródła zagrożeń podlegają lokalizacji, a ich szkodliwość jest już znana) możemy powiedzieć, iż ryzyko jest jedynie ideą prawdopodobieństwa lub też dyskursywną wizją przypuszczalnej szkody. Wizję tę kształtują nasze definicje pożądanego stanu przyszłości oraz preferencje aksjologiczne. Ryzyko, nie oznaczając jeszcze destrukcji, jest czymś pośrednim między bezpieczeństwem a tym, co nam zagraża. Materializuje się jednak w postaci (wymagających interpretacji) symptomów. Ma ono zatem charakter zarazem realny, jak i konstruowany. Scała też w sobie to, co faktualne, oraz to, co normatywne.

Ryzyko systemowe wyraźnie różni się od ryzyka tradycyjnego, szacowanego ilościowo i rekompensowanego przez ubezpieczenia w trybie odszkodowań (takiego jak np. powódzie czy ryzyko w grach losowych)⁹. Wymaga ono istnienia socjotechnicznych infrastruktur, a stało się możliwe dzięki wielokrotnym ingerencjom technonauki (osiągnięć laboratoryjnych i przemysłu) w kontekst globalnych współzależności. Warunkiem jego zaistnienia jest zatem pojawienie się intensywnych powiązań między infrastrukturami technologicznymi, uwarunkowaniami środowiska oraz tym, co ludzkie.

⁸ U. Beck, *Spoleczeństwo ryzyka. W drodze do innej nowoczesności*, przeł. S. Cieśla, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2002; por. A. Kiepas, *Człowiek wobec dylematów filozofii techniki*, Wydawnictwo Gnome, Katowice 2000, s. 51 i n.; E. Bińczyk, *Technonauka w społeczeństwie ryzyka...*, *op. cit.*, s. 215–249.

⁹ Warto zaznaczyć, że chociaż wcześniej Latour akceptował kategorię ryzyka Becka, podkreślając podobieństwa między nią i pojęciem heterogenicznego aktora-sieci (por. B. Latour, *The Promises of Constructivism*, [w:] D. Ihde, E. Selinger (red.), *Chasing Technoscience: Matrix for Materiality*, Indiana University Press, Bloomington–Indianapolis, s. 36), to jednak obecnie coraz częściej krytykuje on to pojęcie, wprowadzając w zamian kategorię zagrożenia (ang. *threat*). W opinii francuskiego socjologa, używając pojęcia ryzyka, budujemy nieuzasadnione wrażenie kontrolowalności sytuacji, obliczalności. Sugerujemy, że możemy zlokalizować i zdefiniować źródła zagrożeń, oszacować ich skutki i w odpowiedzi podjąć słuszne decyzje polityczne. Dyskurs matematyzacji niebezpieczeństw, a także nurty zarządzania ryzykiem, publiczną percepcją ryzyka czy szacowania ryzyka (ang. *Technology Assessment – TA*) często w nieuzasadniony sposób zakładają pewną formę mierzalnej i rynkowej przewidywalności. Wpisują się one w neoliberalną „logikę” zarządzania stratą. Tymczasem w odniesieniu do współczesnych zagrożeń globalnych nie mamy komfortu kontroli.

W obliczu politycznych wyzwań społeczeństwa ryzyka Latour proponuje zastąpienie pojęcia „społeczeństwa” terminem „zbiorowości” (ang. *collective*) – ludzi i czynników pozaludzkich. Żyjemy bowiem w świecie hybrydycznych powiązań, niejednorodnych ontologicznie: infrastruktury technologiczne posplatane są z instytucjami społecznymi, czynnikami określanymi dotąd jako naturalne (jak mikroorganizmy czy inne gatunki), rozstrzygnięciami prawnymi i decyzjami o charakterze politycznym. W epoce globalizacji elementy te są współzależne. Ocalić od ryzyka destabilizacji klimatu należy nie samo społeczeństwo ludzi, lecz raczej zbiorowość. Stąd też właśnie postulat posthumanizmu, polegający na porzuceniu modernistycznego, aroganckiego antropocentryzmu, który pojawia się w teorii aktora-sieci, a także w innych ujęciach STS.

Obecny stopień przekształcenia naszego otoczenia (wylesianie, deregulacja homeostazy oceanów, przemysłowe połowy ryb, rolnictwo i hodowla zwierząt, biotechnologia, patentowanie form żywych, wytwarzanie organizmów transgeniczných) uzasadnia przekonanie, że żyjemy w czasach postśrodowiskowych i postnaturalnych. Ograniczenia planety są wyraźnie odczuwalne i w nieznanym wcześniej stopniu przyszłość świata fizycznego leży w naszych rękach. W odpowiedzi na tę sytuację w 2000 roku dwaj przedstawiciele nauk ścisłych, ekolog Eugene F. Stoermer oraz badacz atmosfery Paul J. Crutzen, wyszli ze znamiennej propozycją określenia współczesnej epoki geologicznej „antropocenem”¹⁰. Głównym powodem był właśnie niebagatelny, obserwowany w wielu obszarach i potwierdzany przez różne dyscypliny przyrodoznawstwa, negatywny wpływ człowieka na planetę: atmosferę, bioróżnorodność, glebę i zasoby wodne. Sytuacja stała się paradoksalna: przyrodznawcy zaproponowali termin „antropocen”, podczas gdy (post)humanistyka podjęła próbę odrzucenia antropocentryzmu. Jak widzimy, wobec wyzwań antropocenu zarówno nauki humanistyczne, jak i nauki ścisłe ulegają pojęciowej i teoretycznej transformacji.

Zagrożenie destabilizacji klimatu może być utożsamiane zarówno z końcem pojęcia przyrody w tradycyjnym rozumieniu, jak i z końcem tradycyjnej polityki. Ludzkość nie musiała jeszcze nigdy stawić czoła wyzwaniu politycznemu takiej skali, jakim jest konieczność solidarnego, globalnego (i kosztocionnego!) zareagowania na ryzyko zmiany klimatycznej. Nie ma tu powrotu do Natury rozumianej jako dane z góry i stabilne tło ludzkiego działania. Zmiana klimatyczna to nie tylko problem przyrodniczy. Ekonomiczne i społeczne koszty ewentualnego ocieplenia klimatu czy też wyobrażenia konfliktów nowego typu, związanych z tym ryzykiem, wymagają uwzględnienia¹¹. Relacje pomiędzy wiedzą przyrodniczą a doradztwem politycznym oraz aksjologią wysuwają się w tym miejscu na plan pierwszy.

Zarówno Beck, jak i Latour zwracają uwagę, że samo postawienie problemu ryzyka systemowego wymaga umiejętnego połączenia matryc realizmu i konstruktywizmu w ramach stanowiska, które pozwoli nam uciec poza ich dualizm. Co więcej, zjawisko ryzyka trudno opisać, operując esencjalizującymi podziałami ontologicznymi. Od momentu, w którym problemy środowiska zaczęły być (z konieczności) konceptualizowane jako we-

¹⁰ P.J. Crutzen, E.F. Stoermer, *The 'Anthropocene'*, „Global Change Newsletter” 2000, nr 41, s. 17–18.

¹¹ H. Welzer, *Wojny klimatyczne. Za co będziemy zabijać w XXI wieku?*, przeł. M. Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.

wewnętrzne problemy społeczne i wyzwania polityczne, obserwujemy zamazywanie granic między przyrodą, społeczeństwem, techniką oraz polityką¹². Jak piszą autorzy pracy *Alternatywne przyrody*: „(...) [n]ie istnieje przyroda oczekująca po prostu na ochronę, lecz raczej wszystkie formy jej ochrony implikują sąd w kwestii tego, co właściwie jest przyrodą”¹³. Obserwowane sukcesy laboratoriów (np. transplantacje, technologie *human enhancement*, organizmy transgeniczne) świadczą o tym, że esencjalizowane i sakralizowane dotąd granice ontologiczne (ciało–maszyna, narzędzie–organizm żywy, podmiot–przedmiot) nie miały i nie mają absolutnego charakteru.

Ujęcia postkonstruktywistyczne pokazują, że przedsięwzięcie budowania wiedzy o przyrodzie wpływa na to, jakiego rodzaju jest ona dla nas obiektem, co z kolei kształtuje politykę środowiskową (pewne możliwości otwierając, inne zamykając). W optyce postkonstruktywistycznej nie tylko wiedza naukowa, ale i Natura nie są ujmowane jako nieproblematiczne dobro. Naturalne są wszak epidemie, insekty oraz susze, którym próbujemy zapobiegać, nie utożsamiając ich z tym, co pożądane oraz dobre. Z kolei urokliwe krajobrazy turystyczne czy wypoczynkowo-wiejskie często nie są „naturalne” w tym znaczeniu, że były gruntownie przetwarzane przez człowieka. W dobie hybrydyzacji zbiorowości trudno o higienę ontologiczną. Wymiar naturalny splata się z wymiarem politycznym, prawnym i społecznym. W pogoni za „naturą” próbujemy imitować to, co utraciliśmy i co – jak sobie wyobrażamy – było naturą, jednak imitacje te są naszymi wytworami i naszymi interpretacjami. Interesujący przykład w tym kontekście stanowią spory o technologie umożliwiające modyfikację pogody. Ich stosowanie wywołało dyskusję nad prawem danych wspólnot do naturalnej pogody (uznano bowiem, że na skutek ingerencji technologicznej „czyjś” deszcz spadł na cudze pola)¹⁴. Nieodwracalne splecenie wymiarów naturalnego i ekonomicznego obserwujemy również we frapującym określeniu „dzikiej przyrody, czyli niekomercyjnych gatunków istot żywych”¹⁵.

Co szczególnie istotne dla dynamiki społeczeństwa ryzyka, ryzyko szacują eksperci. Język racjonalny, naukowy, zakładający możliwość obiektywnej predykcji, kontroli i kalkulowalności często nie wydaje się już jednak adekwatny. Modernistyczne metodologie szacowania ryzyka są przy tym wyraźnie kwestionowane w nurcie STS. Trudno obronić tezę, że można dziś przedstawić jednoznaczne, nieproblematiczne kryteria obiektywnego porównywania różnych postaci ryzyka czy wartości ukrytych za praktykami jego szacowania. Narasta wobec tego potrzeba nowego typu symbolicznego i teoretycznego odniesienia do obszarów niepewności. Sama natura współczesnych problemów, ich złożoność oraz wie-

¹² U. Beck, A. Giddens, S. Lash, *Modernizacja refleksyjna. Polityka, tradycja i estetyka w porządku społecznym nowoczesności*, przeł. J. Konieczny, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009, s. 45–46.

¹³ P. Macnaghten, J. Urry, *Alternatywne przyrody. Nowe myślenie o przyrodzie i społeczeństwie*, przeł. B. Baran, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2005, s. 38.

¹⁴ S. Yearley, *Nature and the Environment...*, *op. cit.*, s. 939; R. Turner, *Weather Modification: Trust, Science, and Civic Epistemology*, referat na konferencji 4S-EASST, *European Association for the Study of Science and Technology*, Paryż 2004.

¹⁵ Por. V. Dusek, *Wprowadzenie do filozofii techniki*, przeł. Z. Kasprzyk, Wydawnictwo WAM, Kraków 2011, s. 75.

lowymiarowość sprawiają, że trudno jest oczekiwać jednoznacznych ekspertyz. Spada epistemologiczna wartość ekspertyzy w ogóle, jednak z wiedzy eksperckiej zrezygnować nie możemy. Tendencje te okazują się szczególnie istotne w kontekście takiego problemu jak ryzyko zmiany klimatycznej, które jest bardzo wrażliwe na społeczne (i naukowe) procesy jego definiowania i przedefiniowywania. Epistemologiczna dynamika, z jaką mamy tutaj do czynienia, nie wydaje się możliwa do uchwycenia w paradygmacie reprezentacjonizmu, w którym tylko jedna reprezentacja może uchodzić za uprawnioną, adekwatną.

Podsumowując tę część rozważań, pragnę podkreślić, że prawdopodobnie w optyce esencjalistycznej wskazywane wyżej zjawiska i napięcia nie byłyby widoczne. Ujęcia postkonstruktywistyczne, które sytuują się pomiędzy realizmem i konstruktywizmem, zachowując konsekwentny antyesencjalizm, wydają się znakomicie dostosowane do tego, aby zmierzyć się z wyzwaniem teoretycznymi i politycznymi współczesnego świata. Studia nad nauką oraz technologią, odchodząc od jednowymiarowego reprezentacjonizmu, ukazują nie tylko polityczną rolę laboratoriów, ale również złożony status wiedzy eksperckiej, na której podstawie definiowane są wyzwania i potrzeby społeczeństwa globalnego. Tradycyjne pojęcie polityki zostaje tu zanegowane, bądź też mówi się o konieczności jego transformacji, poprzez porzucenie esencjalistycznych nadziei na pewność pozwalającą formułować decyzje polityczne. Postulaty polityki natury (ekologii politycznej) wywodzące się z nurtu STS mówią przy tym, że politykę tę winniśmy prowadzić w imię troski o stabilną przyszłość zbiorowości, a nie w imię troski o (esencjalizowaną) przyrodę¹⁶. Polityka społeczeństwa ryzyka musi przy tym umożliwiać uruchomienie politycznej reprezentacji czynników pozaludzkich (np. klimatu, wybranych ekosystemów czy gatunków) oraz praw przyszłych pokoleń. Celem debat publicznych dotyczących przyszłości zbiorowości nie powinniśmy przy tym czynić danej z góry, niekwestionowalnej wizji wspólnego dobra, ale raczej jakąś formę przejściowego, „solidnego dopasowania” konkretnych wartości oraz usytuowanych interesów¹⁷. Żaden powrót, nawet czysto „strategiczny”, do esencjalizmu w polityce i w opisie świata współczesnego nie wydaje się owocny.

Wiarygodne określanie stanu klimatu

Rozpoznanie i ewentualne stawienie czoła zagrożeniu destabilizacji klimatu wymaga skonstruowania centrów kalkulacji (i koordynacji) zdolnych objąć swym zasięgiem całą planetę, całą ludzkość, przyszłość zbiorowości – ludzi i czynników pozaludzkich. Planetarna skala problemu ocieplenia klimatu musiała zostać wykazana w szeregu podejmowanych przez nas działań, wysiłków translacji i mediacji, które w nieuchronny sposób podlegają niedookreśleniu i giętkości interpretacyjnej. Stan klimatu przedstawiany jest opinii publicznej dzięki instytucjom i narzędziom naukowym, inną możliwością nie dysponujemy. Znalazł się on w zasięgu ludzkości na skutek wykorzystania sieci czynników pozaludzkich.

¹⁶ Por. B. Latour, *Polityka natury. Nauki wkraczają do demokracji*, przeł. A. Czarnacka, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.

¹⁷ Por. E. Bińczyk, *Techmonauka w społeczeństwie ryzyka...*, *op. cit.*, s. 326–349.

Były to instrumenty służące osiągnięciu współmierności, czujniki, stacje pomiaru, narzędzia standaryzacji procedur, miar i wskaźników, a także komputery, które umożliwiły rekalkulowanie danych przez modele oraz transformacje modeli w konfrontacji z osiąganymi sekwencjami danych¹⁸.

Zmiana klimatyczna jest problemem z konieczności wywodzącym się z lokalnych danych, stanu planety nie sposób bowiem mierzyć bezpośrednio. W przypadku tak złożonego zjawiska musimy się opierać na symulacjach zdolnych oddać globalne tendencje. Tworzy się je na podstawie danych pochodzących z różnych dyscyplin (oceanologia, hydrologia, meteorologia, analizy paleoklimatyczne), które wymagają interpretacji i często użycia skomplikowanych narzędzi statystycznych. Klimatologia z istoty opiera się na interdyscyplinarnej współpracy, wykorzystującej różnorodną infrastrukturę badawczą umożliwiającą pomiar. Interesuje nas tu m.in. historia pomiarów temperatury, opadów, aktywności wulkanów, a także pomiary atmosfery (stanu, wilgotności, składu), zjawisk pogodowych, poziomu i stanu wód w oceanach, prądów oceanicznych, absorpcji ciepła przez oceany czy wreszcie aktywności Słońca. Chodzi o pomiary naziemne, podwodne i satelitarne.

Na problem możliwego ocieplenia się atmosfery oraz oceanów na skutek interwencji człowieka wskazywano już w latach 50. XX wieku. Globalne ocieplenie klimatu, wywołane emisjami gazów cieplarnianych i działalnością ludzką, pomimo opisywanego niżej sceptycyzmu w mediach publicznych, rozbudzanego przez osoby zaangażowane w zaprzeczanie globalnemu ociepleniu (ang. *global warming denial*), to obecnie jedno z najlepiej udokumentowanych zjawisk w historii nauki. Skutki globalnego ocieplenia zostały zaobserwowane w następujących obszarach badań: danych dotyczących temperatury, obserwowanych zmianach ciśnienia atmosferycznego, wilgotności atmosferycznej, pomiarach intensywności opadów, pomiarach fali upałów, pomiarach susz, pomiarach poziomów morza, zmianach bioróżnorodności, redukcji arktycznej pokrywy lodowej oraz pomiarów procesu zanikania lodowców górskich¹⁹.

Jak pisze Andrew J. Pitman, badacz atmosfery, ekspert Międzypaństwowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu, dyrektor Australian Research Council's Centre of Excellence for Climate System Science przy University of New South Wales w Sydney: „W kwestii globalnego ocieplenia nigdy nie opublikowano niczego, co wskazywałoby na to, że nauka podstawowa jest w błędzie, i co oparłoby się dalszym analizom”²⁰. Kontrowersja w tym wymiarze,

¹⁸ Szczegóły komponowania w obrębie nauk klimatycznych spójnego obrazu problemu ocieplenia klimatu przedstawia książka: P.N. Edwards, *A Vast Machine: Computer Models, Climate Data, and the Politics of Global Warming (Infrastructures)*, The MIT Press, Cambridge, MA 2010. Jak podkreśla Yearley, nie umielibyśmy tworzyć satysfakcjonujących modeli klimatologicznych, gdyby nie wykorzystanie technologii komputerowych (S. Yearley, *Nature and the Environment...*, *op. cit.*, s. 923).

¹⁹ W niniejszym artykule nie ma miejsca na to, by przytaczać rozbudowaną bibliografię z obszaru nauk ścisłych dotyczącą wspomnianych badań. Znaleźć ją można na przykład w: S. Yearley, D. Mercer, A. Pitman, N. Oreskes, E.M. Conway, *Perspectives on Global Warming: Book Symposium*, „Metascience” 2012, vol. 21, nr 1, s. 1–29, opublikowano online 12 stycznia 2012 r. (data dostępu: 10.02.2012). Warto zaznaczyć, że systematycznymi pomiarami poziomu dwutlenku węgla w atmosferze dysponujemy dopiero od późnych lat 50. XX wieku.

²⁰ Por. S. Yearley *et al.*, *Perspectives on Global Warming...*, *op. cit.*, s. 11.

w środowisku klimatologów, wydaje się zamknięta. W jednej z komentowanych niżej prac czytamy: „(...) w recenzowanym czasopiśmie naukowym nie możesz opublikować artykułu stwierdzającego, że nie ma globalnego ocieplenia. Prawdopodobnie dobrze poinformowani profesjonalni dziennikarze popularyzujący naukę również by go nie opublikowali”²¹. Jak głosi stanowisko Komitetu Geofizyki PAN z lipca 2009 roku w sprawie zmiany klimatu: „Publikowane wyniki badań naukowych, w szczególności badania izotopowe i bilans zużycia paliw kopalnych z uwzględnieniem wiedzy o cyklu węglowym w przyrodzie, dowodzą, że obserwowany przyrost zawartości gazów cieplarnianych (CO₂, CH₄, N₂O, halowęglowodory i inne) w atmosferze i oceanach, spowodowany działalnością cywilizacyjną, w mieczalny sposób wpływa na skład i własności atmosfery ziemskiej także w skali globalnej”²².

Najbardziej wiarygodnymi dokumentami międzynarodowymi opisującymi zasięg oraz przyczyny ocieplenia klimatu są raporty Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu (Intergovernmental Panel on Climate Change – IPCC)²³. Instytucja ta została powołana w 1988 roku wspólnie przez Program Ochrony Środowiska ONZ oraz Światowy Urząd Meteorologiczny. Obecni członkowie IPCC to 195 państw. IPCC opublikował cztery raporty oceniające: pierwszy w roku 1990 (suplement w roku 1992), drugi w 1995 (przed Protokołem z Kioto z 1997 roku), trzeci w 2001 i czwarty w roku 2007. Piąty raport powinien się ukazać na przełomie lat 2013 i 2014.

IPCC nie prowadzi badań naukowych, dokonuje jednak recenzji i oszacowania aktualnej wiedzy dotyczącej stanu klimatu, która pochodzi z różnych dyscyplin. Raporty IPCC przygotowywane są w trzech grupach roboczych opatrzonych odrębnymi tytułami: 1) grupie zajmującej się oszacowaniem wiedzy pochodzącej z nauk ścisłych na temat stanu klimatu – przygotowuje ona część raportu pod tytułem *Scientific Basis*; 2) grupie szacującej konsekwencje zmiany klimatycznej dla systemów społeczno-ekonomicznych oraz naturalnych, w zależności do regionów świata – tytuł tej części to: *Impacts, Adaptation and Vulnerability*; 3) grupie oceniającej możliwości ograniczenia emisji gazów cieplarnianych oraz szanse wprowadzenia innych sposobów zapobieżenia destabilizacji klimatu w perspektywie krótko- i długoterminowej, w poszczególnych sektorach: gospodarki, pozyskiwania energii, leśnictwie, gospodarowaniu odpadami, rolnictwie, transporcie itd. – rezultaty tych prac noszą przy tym tytuł *Mitigation*.

Trzeci raport oceniający IPCC z 2001 roku przygotowało 122 głównych oraz 515 pobocznych autorów, zrecenzowało go zaś 337 recenzentów. Raport ten stwierdza ocieplenie

²¹ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt: How a Handful of Scientists Obscured the Truth on Issues from Tobacco Smoke to Global Warming*, Bloomsbury Press, New York 2010, s. 214.

²² Por. <http://www.kgeof.pan.pl>, zakładka *Aktualności i wydarzenia*. Podobne oświadczenia/stanowiska poparcia dla tezy o antropogenicznych przyczynach zmiany klimatu i doniosłości tego problemu wystosowały (m.in.): Światowa Organizacja Meteorologiczna, organizacje oceanograficzne, akademie nauk (trzyście narodowych akademii nauk, w tym PAN), towarzystwa i rady naukowe, Europejska Fundacja Nauki.

²³ Por. <http://www.ipcc.ch/>. 12 października 2007 roku IPCC oraz Al Gore zostali uhonorowani Pokojową Nagrodą Nobla za podejmowane zabiegi mające na celu „upowszechnianie wiedzy na temat zmian klimatu wynikających z działań człowieka i za stworzenie podstaw dla środków, które są niezbędne do walki z takimi zmianami”.

klimatu spowodowane działalnością człowieka w ciągu ostatnich 50 lat, głównie emisją gazów cieplarnianych, spalaniem paliw kopalnych, wylesianiem, hodowlą bydła i uprawą ryżu. Z kolei raport oceniający IPCC z 2007 roku przygotowało ponad 600 autorów, zaś recenzowało go około 620 ekspertów i przedstawicieli rządów. Głosi on, że istnieje 90-procentowe prawdopodobieństwo, iż obserwowane ocieplenie klimatu jest wywołane działalnością człowieka (emisją gazów cieplarnianych). Ocieplenie klimatu szacuje się obecnie (w stosunku do epoki przed rewolucją przemysłową) na około $0,5^{\circ}\text{C}$ ²⁴. Raport szacuje ponadto, że klimat w XXI wieku ociepli się o około $1,7\text{--}6,4^{\circ}\text{C}$ (w latach 2090–2099, w stosunku do lat 1980–1999). Poziom wód oceanu wzrośnie prawdopodobnie o 28 do 42 cm.

Zgodnie ze wspomnianym wyżej stanowiskiem Komitetu Geofizyki PAN z lipca 2009 roku: „Kolejne raporty Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC), laureata Pokojowej Nagrody Nobla 2007, są, mimo pewnych niedostatków, najlepszą i najbardziej kompetentną syntezą badań na temat klimatu Ziemi”. Podobnie oświadczenie Polskiej Akademii Nauk z 13 grudnia 2007 roku wyraża poparcie dla apeli IPCC i jako „fakty” określa wzrost stężenia dwutlenku węgla i innych szkodliwych gazów generowanych przez działalność człowieka. Także socjologowie czy ekonomiści podzielają opinię, iż antropogeniczne przyczyny globalnego ocieplenia są jednymi z najlepiej udokumentowanych zależności w historii nauki²⁵. Pozarządowe organizacje ekologiczne również nawołują do tego, aby nie podważać wiarygodności raportów IPCC, dzięki którym społeczność międzynarodowa może ocenić rezultaty badań naukowych dotyczących stanu klimatu²⁶.

Negowanie globalnego ocieplenia

Zjawisko zaprzeczania globalnemu ociepleniu jest interesującym obszarem analiz dla przedstawicieli studiów nad nauką oraz technologią²⁷. Ruch negowania problemu zmiany

²⁴ Por. też N. Stern, *Globalny ład. Zmiany klimatu a powstanie nowej epoki postępu i dostatku*, przeł. A. Orzechowska-Barcz, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010, s. 298.

²⁵ Zob. np. B. Latour, *Waiting for Gaia: Composing the Common World through Arts and Politics*, wykład w French Institute, Londyn, listopad 2011, <http://www.bruno-latour.fr/node/446> (data dostępu: 5.03.2013); N. Stern, *Globalny ład...*, *op. cit.*; A. Giddens, *Klimatyczna katastrofa*, przeł. M. Głowacka-Grajper, Prószyński i S-ka, Warszawa 2010.

²⁶ Por. S. Yearley, *Nature and the Environment...*, *op. cit.*, s. 928.

²⁷ Na temat zjawiska negowania globalnego ocieplenia zob. następujące książki: S.H. Schneider, *Science as a Contact Sport: Inside the Battle to Save Earth's Climate*, National Geographic, Washington, D.C. 2009; J. Hoggan, R. Littlemore, *Climate Cover-Up: the Crusade to Deny Global Warming*, Greystone Books, Vancouver 2009; N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*; C. Hamilton, *Requiem for a Species: Why We Resist the Truth about Climate Change*, Earthscan, London–Washington 2010; H.W. Washington, J. Cook, *Climate Change Denial: Heads in the Sand*, Earthscan Press, London 2011; a także artykuły: S.C. Zehr, *Public Representations of Scientific Uncertainty about Global Climate Change*, „Public Understanding of Science” 2000, nr 9, s. 85–103; D. Demeritt, *The Construction of Global Warming and the Politics of Science*, „Annals of the Association of American Geographers” 2001, nr 91 (2), s. 307–337; H.P. McDonald, *Denying Climate Change – Still!*, „Capitalism, Nature, Socialism” 2011, nr 22 (2), s. 125–128; S.A. Kolmes, *Climate Change: A Disinformation Campaign*, „Environment: Science and Policy for

klimatycznej czy też podsycania sceptycyzmu w odniesieniu do tej kwestii jest określany jako jeden z przykładów tak zwanego „przemysłu wspierania produktów” (ang. *product defence industry*) czy „produkcji wątpliwości i niewiedzy”²⁸. Chodzi o działalność ekspertów, *think tanków*, instytutów naukowych, firm konsultingowych i firm *public relations*, które profesjonalnie zajmują się podtrzymywaniem publicznego przekonania o nieszkodliwości wybranych produktów bądź rozwiązań. Wytwarzają one atmosferę kontrowersyjności wokół ekspertyz mogących zaszkodzić pewnym aktorom (np. koncernom tytoniowym, paliwowym, biotechnologicznym). Badaniem wytwarzania kontrowersyjności na zlecenie zajmuje się m.in. amerykański historyk nauki Robert N. Proctor. Jako jeden z pierwszych zeznał on przeciwko koncernom tytoniowym w USA. Swą dziedzinę analiz nazwał „agnostologia”²⁹.

Zaprzeczanie danym faktom i produkcja wątpliwości pełnią funkcje polityczne, często wiodąc do znacznego opóźnienia bądź też nawet zablokowania skutecznych działań zaradczych wobec szkodliwych produktów. Taktyka przemysłu produkcji wątpliwości opiera się na multiplikowaniu zaprzeczeń i wątpliwości na arenie krajowej i międzynarodowej. Mamy tu do czynienia ze zinstytucjonalizowanymi agendami profesjonalnego kreowania kontrowersyjności, zajmującymi się demontażem statusu faktów naukowych, które mogą zaszkodzić zyskom wybranych aktorów. Opisywane zjawisko świadczy o tym, że choć wiele głosów artykułujących wątpliwości nie zbuduje solidnego przeciwfaktu, to jednak kakofonia zastrzeżeń sceptycznych skutecznie podtrzymuje publiczne przekonanie o kontrowersyjności.

Opisywane w literaturze przykłady kampanii produkcji wątpliwości to przede wszystkim akcje mające na celu podważenie tezy o związkach palenia tytoniu z rakiem płuc, o szkodliwości tzw. biernego palenia, szkodliwości azbestu, o słuszności decyzji wycofania z użycia pestycydu DDT³⁰, jak również o związku między dziurą ozonową a freonami (CFC), produkowanymi przez koncern DuPont.

Sustainable Development” 2011, vol. 53, nr 4, s. 33–37; oraz dyskusję: S. Yearley *et al.*, *Perspectives on Global Warming...*, *op. cit.* Por. też raport Union of Concerned Scientists: *Smoke, Mirrors, and Hot Air: How ExxonMobil Uses Big Tobacco Tactics to Manufacture the Uncertainty on Climate Science*, 2007, http://www.ucsusa.org/assets/documents/global_warming/exxon_report.pdf (data dostępu: 15.02.2013); a także stronę internetową Sceptical Science: <http://www.skepticalscience.com/>.

²⁸ Por. D. Michaels, *Doubt Is Their Product: How Industry's Assault on Science Threatens Your Health*, Oxford University Press, Oxford 2008; R.N. Proctor, *Cancer Wars: How Politics Shapes What We Know and Don't Know about Cancer*, Basic Books, New York 1995; B. Wynne, *When Doubt Becomes a Weapon*, „Nature” 2010, nr 466, s. 441–442.

²⁹ Jak się wydaje, wytwarzanie wątpliwości do pewnego stopnia możemy potraktować jako przedmiot analiz dla nurtu badań zarządzania ryzykiem. Należy jednak pamiętać, że działania tego typu z istoty swej nie są upubliczniane przez podejmujących je aktorów.

³⁰ W krajach rozwijających się jeszcze w latach 1955–1969, w ramach *Global Malaria Eradication Campaign*, na szeroką skalę stosowano DDT do wyeliminowania chorób przenoszonych przez owady, np. malarii. Zakaz stosowania DDT wprowadzono w USA w 1972 roku. Przyczyniła się do tego dyskusja wywołana opublikowaniem jednej z pierwszych prac otwarcie stawiających problem zanieczyszczenia środowiska. Chodzi o książkę Rachel Carson *Silent Spring* (Houghton Mifflin, Boston, MA 1962), w której autorka zwracała uwagę na możliwość istnienia ryzyka o charakterze długoterminowym, związanym z DDT. Argumentowała ona, że

Jedną z lepiej udokumentowanych prac dotyczących produkcji wątpliwości na zlecenie, w tym także zjawiska podsycania sceptycyzmu wobec zmiany klimatycznej, to empiryczne studium *Merchants of Doubt: How a Handful of Scientists Obscured the Truth on Issues from Tobacco Smoke to Global Warming*³¹. W dużym stopniu opiera się ono na danych, które ujrzały światło dzienne wraz z upublicznieniem materiałów z procesów sądowych przeciwko przemysłowi tytoniowemu w USA w latach 90. XX wieku. Dokumenty ze wspomnianych procesów zostały udostępnione przez Uniwersytet Kalifornijski w San Francisco jako *Legacy Tobacco Documents Library*³². Umożliwiły one ukazanie powiązań pomiędzy przemysłem tytoniowym i paliwowym oraz wybranymi instytucjami naukowymi lub też *think tankami*, a także pozwoliły na rekonstrukcję mechanizmu funkcjonowania kampanii podważania obiektywności danych faktów na zlecenie.

Wspomniane wyżej materiały ukazują, że kampanie dezinformacyjne dotyczące szkodliwości palenia papierosów oraz zmiany klimatycznej realizowano według podobnych strategii. Niewygodne twierdzenia naukowe były podważane dzięki wykorzystaniu własnych ekspertów, prawników oraz specjalistów od wizerunku publicznego. Pośród dokumentów *Legacy Tobacco Documents Library* znajdziemy podręczniki instruujące, w jaki sposób kreować wątpliwości i kontrowersyjność danych tez, a także listy ekspertów gotowych służyć jako komentatorzy na zlecenie, we wskazany sposób³³. Dokumenty te zawierały również instrukcje dotyczące skutecznych sposobów podważania niewygodnych stanowisk agencji rządowych, przede wszystkim amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska (Environmental Protection Agency – EPA). Wskazówki te koncentrowały się zwłaszcza na sposobach podważania naukowej wiarygodności i obiektywności ekspertyz.

Przemysł kreowania kontrowersyjności służy legitymizowaniu *status quo* korzystnego dla zleceniodawców. Rzecz jasna, głosy sceptyczne wobec globalnego ocieplenia to często konserwatywne głosy sprzeciwiające się wprowadzaniu jakichkolwiek regulacji wolnego rynku (takich jak np. podatki paliwowe, klimatyczne czy limity zanieczyszczeń). Spośród

substancja ta zagraża innym owadom w ekosystemach, a także może podlegać bioakumulacji w łańcuchach pokarmowych, negatywnie wpływając na rozrodczość niektórych gatunków ptaków (np. sokołów i orłów). Około roku 2007 w Internecie można było zaobserwować intensywny atak na osobę Carson oraz krytykę regulacji polegającej na wycofaniu DDT. Podkreślano, że decyzja ta spowodowała śmierć milionów osób chorych na malarię. Carson porównywano do Hitlera. Zdaniem Naomi Oreskes i Erica M. Conway była to celowa kampania dezinformacyjna mająca na celu podważanie sensowności wprowadzania jakichkolwiek regulacji środowiskowych. Autorzy ci zwracają równocześnie uwagę, że program *Global Malaria Eradication Campaign* i tak nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, jak się bowiem okazało, w okresie od 7 do 10 lat po zastosowaniu oprysków DDT w rolnictwie większość insektów uodporniła się na ten pestycyd. O możliwości wykształcania się odporności na DDT u insektów było wiadomo już w roku 1947. Obecnie dysponujemy licznymi badaniami świadczącymi o szkodliwości DDT również dla człowieka. W akcję produkcji wątpliwości wobec słuszności wycofania DDT zaangażowały się: Competitive Enterprise Institute, Heartland Institute (sponsorowany przez Philip Morris Corporation), Cato Institute, Steve Milloy oraz media publiczne (m.in. „The Wall Street Journal”). Por. N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 216–239. Wszystkie te podmioty są również wyraźnie zaangażowane w ruch negowania globalnego ocieplenia.

³¹ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*

³² Są one dostępne pod adresem: <http://legacy.library.ucsf.edu>.

³³ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 6.

56 książek sceptycznych wobec tezy głoszącej antropogeniczne przyczyny ocieplenia klimatu, opublikowanych w latach 90. XX wieku, aż 92% zostało napisanych przez autorów związanych z prawicowymi, konserwatywnymi fundacjami w USA sponsorowanymi przez przemysł tytoniowy i paliwowy. W latach 80. zeszłego stulecia takich książek było trzynaście i wszystkie z nich były związane z tymi właśnie grupami interesów³⁴.

W kontekście analiz ruchu negowania globalnego ocieplenia wymienia się przede wszystkim następujące instytuty i *think tanki*: George C. Marshall Institute, Tobacco Industry Research Committee, Cato Institute, Heartland Institute oraz Amerykański Instytut Naftowy (API)³⁵. Były one finansowane przez koncerny tytoniowe³⁶, a także przez takie korporacje, jak: ExxonMobil Corporation, Philip Morris Corporation, Rio Tinto Group czy General Motors³⁷.

Najbardziej wpływowi eksperci zaangażowani w kampanię negowania tezy o antropogenicznych źródłach ocieplenia klimatu byli fizykami, a nie badaczami klimatu. Nie przeprowadzili oni żadnych istotnych badań w obrębie nauk klimatycznych. Najczęściej wymieniani z nich to Frederick Seitz, Robert Jastrow (astrofizyk), William A. Nierenberg i S. Fred Singer. Byli to naukowcy, którzy odegrali ważną rolę w okresie zimnej wojny, posiadając znaczne wpływy w Białym Domu³⁸. Seitz i Singer byli związani z konserwatywnym *think tankiem* George C. Marshall Institute, który założono w roku 1990. Obaj pracowali dla przemysłu tytoniowego, a także byli zaangażowani w badawcze programy zbrojeniowe (w tym prace nad budową bomby atomowej) podczas zimnej wojny. Jedną z najbardziej medialnych postaci „zasłużonych” dla kampanii dezinformacyjnej w odniesieniu do problemu globalnego ocieplenia to również Steven Milloy, komentator Fox News, autor batalii wymierzonej przeciwko śmieciowej nauce (ang. *junk science*). Jak się okazało, był on związany z Cato Institute, a ponadto finansowany przez przemysł tytoniowy i naftowy (m.in. ExxonMobil).

Fred Singer np. przyczynił się do umiejętnego wykorzystania postaci Rogera Revelle’a, badacza klimatu, który podkreślał wagę problemu ocieplenia klimatu spowodowanego działalnością ludzką i wywarł duży wpływ na Alę Gore’a. Po ataku serca, którego 81-letni Revelle doznał w roku 1990, Singer zabiegał o to, aby napisać razem z tym badaczem artykuł

³⁴ Por. P.J. Jacques, R.E. Dunlap, M. Freeman, *The Organisation of Denial: Conservative Think Tanks and Environmental Scepticism*, „Environmental Politics” 2008, vol. 17, nr 3, s. 349–385; por. N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 236.

³⁵ A. Giddens, *Klimatyczna katastrofa...*, *op. cit.*, s. 130.

³⁶ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 232.

³⁷ W 2006 roku Royal Society skierowało list do ExxonMobil, potępiając działalność tego koncernu i nawołując do zaprzestania sponsorowania wysiłków mających na celu dezinformowanie w kwestii zmiany klimatycznej. Por. S.A. Kolmes, *Climate Change: A Disinformation...*, *op. cit.*, s. 36. Również amerykańska organizacja Union of Concerned Scientists (UCS) skrytykowała ExxonMobil za „najbardziej wyrafinowaną i najbardziej udaną kampanię dezinformacyjną od czasów przemysłu tytoniowego” (UCS jest organizacją *non profit* założoną w latach 60. XX wieku przez studentów MIT, zrzeszającą około 400 000 obywateli i badaczy; por. <http://www.ucsusa.org/about/>). W roku 2006 ExxonMobil oświadczył, że nie będzie więcej finansował instytucji kreujących wątpliwości wobec faktu zmiany klimatycznej. Greenpeace podkreśla jednak, że tak się nie stało (por. <http://www.greenpeace.org/usa/en/campaigns/global-warming-and-energy/stop-exxonmobil/>).

³⁸ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 213.

dotyczący zmiany klimatycznej. Revelle nie umiał zdecydowanie odrzucić tych próśb. Negocjując poprawki do tekstu, Singer zignorował uwagi Revelle'a i opublikował w nierecenzowanym czasopiśmie „Cosmos” w 1991 roku tekst, który głosił, że ocieplenie klimatu jest mało prawdopodobne. Podczas kampanii prezydenckiej w roku 1992, w której wystartował Gore, media wykorzystały artykuł Singera i Revelle'a, ujawniając, że nawet nauczyciel Gore'a Revelle pod koniec swego życia zmienił zdanie w kwestii przyczyn ocieplenia klimatu. Wydarzenia te oburzyły rodzinę i przyjaciół nieżyjącego już Revelle'a³⁹.

Z kolei Frederick Seitz zaatakował publicznie Benjamina D. Santera, klimatologa i współautora raportu IPCC z 1997 roku. W odpowiedzi na argument dotyczący wpływu aktywności Słońca na obserwowane ocieplenie klimatu, Veerabhadran Ramanathan, badacz atmosfery oraz klimatolog, zasugerował analizę wertykalnej struktury temperatury powłoki klimatycznej Ziemi. Jeśli Słońce powoduje globalne ocieplenie, to cieplejsze będą zarówno usytuowana wyżej stratosfera, jak i najbliższa gruntowi troposfera. Jeśli zaś globalne ocieplenie powodują gazy cieplarniane usytuowane w niższych warstwach atmosfery, to troposfera będzie cieplejsza, ale stratosfera winna się ochładzać. Jednym z klimatologów, którzy dokonali stosownych obserwacji i analiz zgodnie z tą sugestią, był właśnie Santer. Wynikało z nich, że przyczyną ocieplenia klimatu nie może być zmiana aktywności Słońca. Jak obserwujemy, stratosfera się ochładza. W odpowiedzi na odkrycia Santera i innych badaczy przesunięto granice stratosfery w stosunku do troposfery (temperatura tych warstw stanowi ich kryterium definicyjne). Merytoryczna i rozbudowana odpowiedź Santera na zarzuty Seitza (który jako fizyk nie wchodził w szczegóły z obszaru klimatologii) ukazała się w „The Wall Street Journal” w wersji znacząco okrojonej. Co więcej, usunięto z niej nazwiska innych 40 badaczy klimatu, którzy współtworzyli raport IPCC i poparli wyjaśnienia Santera⁴⁰.

Techniki stosowane w ramach kampanii negocjowania ocieplenia klimatu to m.in. tworzenie na zlecenie rzekomo oddolnych i obywatelskich organizacji eksperckich. Towarzyszą temu często retoryczne zabiegi polegające na wykorzystywaniu proekologicznie brzmiących nazw dla organizacji, które w istocie stawiają opór rozwiązaniom i regulacjom służącym ochronie środowiska. Dla przykładu, Kanadyjska Koalicja na rzecz Odpowiedzialnych Rozwiązań Środowiskowych (Canadian Coalition for Responsible Environmental Solutions) zwalczała działania mające na celu przeciwdziałanie globalnemu ociepleniu, zaś Obywatelski Sojusz na rzecz Odpowiedzialnego Gospodarowania Energią (Citizens' Alliance for Responsible Energy) promował ideę odwiertów naftowych na terenie parków przyrody Arktyki⁴¹.

Pośród strategii retorycznych stosowanych w ramach nurtu negocjowania globalnego ocieplenia możemy wymienić: 1) odrzucanie problemu, przedstawianie go jako fałszywego wymysłu „ekoterrorystów” bądź narzędzia walki politycznej orędowników energii atomowej; 2) zmianę tematu, tj. odrzucanie tezy o antropogenicznych przyczynach zmiany klimatycznej i wskazywanie przyczyn alternatywnych (takich jak np. aktywność Słońca, Marsa, wul-

³⁹ *Ibidem*, s. 190 i n.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 208.

⁴¹ H.P. McDonald, *Denying Climate Change...*, *op. cit.*, s. 126.

kanów, promieniowania kosmicznego czy rozwoju miast); 3) ignorowanie tego, że ryzyko dotyczy nie tyle ocieplenia, ile raczej systemowej destabilizacji klimatu⁴², a tym samym doszukiwanie się pozytywnych skutków globalnego ocieplenia; 4) „rozmydlenie” tematu poprzez skupianie się na tych czynnikach problemu, które pozostają niepewne i nie do końca wyjaśnione; 5) wykazywanie, że problemu nie da się rozwiązać, określanie projektów zaradczych jako utopijnych; 6) odwoływanie się do oświeceniowych nadziei związanych z ideologią postępu, a także podkreślanie, że nieistniejące jeszcze rozwiązania technologiczne będą mogły nas ocalić⁴³.

Rzecz jasna, szczególnie atakowaną instytucją w procesie negocjowania globalnego ocieplenia jest IPCC. Najczęściej w tym kontekście zarzuty sceptyków dotyczą: stronniczości i konfliktów interesów (rok 2010), braku odpowiedzi na zarzuty o konflikty interesów (rok 2011), niekompetencji ekspertów⁴⁴, (rzadziej) błędów w raportach. Kwestionowana jest również procedura recenzyjna raportów tej instytucji. Raporty IPCC zawierają kontrowersyjne wstępy dla podmiotów kształtujących politykę, których treść jest negocjowana z przedstawicielami rządów⁴⁵. Co więcej, z uwagi na to, że IPCC jest dużą instytucją międzynarodową, często brakuje niezależnych ekspertów do wykonania recenzji. Trudno też zaprzeczyć temu, iż w strukturalnym interesie Panelu leży, aby nie kwestionować zjawiska zmiany klimatycznej, a nawet wyolbrzymiać zagrożenie destabilizacji klimatu. Również

⁴² Jak z tego wynika, najbardziej precyzyjnym określeniem ryzyka, o które chodzi, jest „destabilizacja klimatu” (której skutkiem mogą być nieprzewidywalne zaburzenia pogodowe), a nie „ocieplenie”.

⁴³ Podobne taktyki stosowano we wcześniejszych kampaniach produkowania wątpliwości. Na przykład występowanie kwaśnych deszczy oraz dziury ozonowej objaśniano aktywnością wulkanów. Z kolei w obliczu tezy o wpływie palenia tytoniu na zachorowalność na raka płuc przekonywano, że istnieją alternatywne sposoby wyjaśniania przyczyn tej choroby (były to m.in. przyczyny genetyczne, stres i priony). Co ciekawe, niemal wszystkie z wymienionych strategii retorycznych znajdziemy w kontrowersyjnym filmie podważającym tezę o antropogenicznych przyczynach ocieplenia klimatu, *Globalne ocieplenie – wielkie oszustwo (The Great Global Warming Swindle)* w reżyserii Marina Durkina, który został po raz pierwszy wyemitowany w roku 2007 przez brytyjski Channel 4.

⁴⁴ Jak pisze wspomniany wyżej Pitman: „Byłem oskarżany o bycie zarówno marksistą, jak i faszystą, o to, iż próbuję zniszczyć australijską gospodarkę, że próbuję otworzyć drogę masowym migracjom, że argumentuję na rzecz ludobójstwa (na podstawie tego, że widocznie namawiałem do odgórnego narzucenia kontroli populacji – czego nie robiłem), że wspieram pojedynczy (prawdopodobnie komunistyczny) rząd światowy, wysunięto również wiele innych, coraz bardziej dziwacznych oskarżeń” (S. Yearley *et al.*, *Perspectives on Global Warming...*, *op. cit.*, s. 12).

⁴⁵ Nic dziwnego, że raporty IPCC spotykają się podczas procedury ich przyjmowania z opozycją ze strony delegatów państw producentów paliw kopalnych, na przykład Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu (było tak choćby w roku 1995). Raporty Panelu są również krytykowane jako narracje faworyzujące w nieuprawniony sposób dyskurs oraz kategorie ekonomii. Jedną z kontrowersji dotyczyła np. sposobu ekonomicznego szacowania wartości życia obywateli danego kraju. W analizach skutków społecznych w raportach rozważa się dwa typy reakcji na zmianę klimatyczną: redukcję emisji bądź też adaptację. Obie procedury są kosztowne. IPCC oszacował życie mieszkańca Azji Wschodniej na 1/15 wartości życia mieszkańca krajów zachodnich (*sic!*). Na skutek przyjęcia takiego założenia wyliczono, że adaptacja będzie tańsza, gdyż dotyczyć będzie krajów rozwijających się, a tam koszty w przeliczeniu na wartość życia mieszkańców będą niższe niż koszty gospodarcze ewentualnego wdrożenia ograniczeń emisji gazów cieplarnianych (S. Yearley, *Nature and the Environment...*, *op. cit.*, s. 926–929).

badacze STS podkreślają, że oszacowanie naszej wiedzy na temat stanu klimatu to przedsięwzięcie badawcze zupełnie nowego rodzaju. W obrębie tak rozbudowanej instytucji jak IPCC występują nieznane wcześniej mechanizmy negocjowania i stabilizowania faktów.

Nie ma wątpliwości, że sceptycy wobec zmiany klimatycznej odnieśli spektakularny sukces. Dla przykładu, o ile w 2008 roku 71% spośród przebadanych Amerykanów uważało, że istnieją solidne dowody naukowe na to, iż klimat się ociepla, to rok później taką samą opinię podzielało już tylko 59% ankietowanych⁴⁶. Działacze związani z George C. Marshall Institute wywarli wpływ na administrację rządu USA w latach 90., powodując (wbrew konkluzjom pierwszego raportu IPCC) odstąpienie rządu USA od idei wprowadzenia podatków paliwowych⁴⁷. Z kolei tak zwana afera Climategate⁴⁸ została nagłośniona przed konferencją ONZ w sprawie zmian klimatu w Kopenhadze, która odbyła się w grudniu 2009 roku i zakończyła politycznym fiaskiem (nie ustalono konkretnego programu politycznych reakcji na problem zmiany klimatycznej).

Wnioski

Brytyjski socjolog Anthony Giddens podkreśla, że wpływ sceptyków wobec zmiany klimatycznej na opinię publiczną jest nieproporcjonalnie duży, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę ich niski odsetek pośród profesjonalnych klimatologów⁴⁹. Jak sądzę, dzięki badaniom z obszaru studiów nad nauką oraz technologią umiemy choć częściowo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje.

Po pierwsze, warto pamiętać, że celem przemysłu kreowania kontrowersyjności jest walka z nauką orężem nauki, poprzez wykorzystanie właściwych dla tej instytucji mechanizmów⁵⁰. Podsycanie atmosfery kontrowersyjności wokół wybranych, złożonych kwestii

⁴⁶ *Ibidem*, s. 170.

⁴⁷ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 190.

⁴⁸ Afery Glacieregate oraz Climategate dotyczyły działalności IPCC. Glacieregate koncentrowała się na błędach w raporcie IPCC z 2007 roku. W 2009 roku instytucja ta przyznała, że w rozdziale poświęconym topnieniu lodowców został popełniony błąd dotyczący prognozowanej daty stopnienia niektórych lodowców w Himalajach. Podano datę 2035 zamiast 2350, użyto też danych nierecenzowanych w czasopiśmie naukowych. W 2010 roku IPCC wydało natomiast oświadczenie, że w jednym paragrafie raportu z roku 2007 znajdują się mało wiarygodne dane naukowe. Z kolei afera Climategate była związana z korespondencją prowadzoną przez Climatic Research Unit (CRU) z Uniwersytetu Wschodniej Anglii. W roku 2009 anonimowa osoba udostępniła e-maile badaczy CRU. W jednym z nich dyrektor tej instytucji, klimatolog Philip D. Jones, stwierdził, że uciekł się do „triku zastosowanego wcześniej przez Manna” i „ukrył spadek” temperatury w ostatnich dekadach XX wieku. Jones został oskarżony o fabrykowanie rezultatów badań. Klimatolog ten wyjaśniał, że niefortunnie sformułował część listów, ale podkreślał też, iż publikowane przez CRU dane na temat zmiany klimatu opierają się na różnorodnych źródłach, nie zaś tylko na konkretnym fragmencie badań, do którego odnosił się w liście. Zarzuty wobec CRU zostały odrzucone w roku 2010. Komisja Parlamentu Brytyjskiego, komisja Royal Society i komisja Uniwersytetu Wschodniej Anglii (między innymi) nie dopatrzyły się nieprawidłowości w funkcjonowaniu tej instytucji. Jones został przywrócony do pracy.

⁴⁹ A. Giddens, *Klimatyczna katastrofa...*, *op. cit.*, s. 111.

⁵⁰ N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 13.

naukowych jest możliwe dzięki temu, że zasadniczym elementem publicznego wizerunku nauki jest jej otwartość na krytykę. Sama natura problemów: rozległość zjawiska, poziom skomplikowania, wymóg podejścia interdyscyplinarnego, niestabilność metodologiczna – również mogą ułatwiać kreowanie wątpliwości. Jak już wspominałam, złożoność problemu zmiany klimatycznej oraz interdyscyplinarność klimatologii rozbudzają zrozumiałe wątpliwości (metodologiczne, teoretyczne, a nawet dotyczące kompetencji badaczy). Giętkość interpretacyjna dotyczy tu poszczególnych translacji w złożonej sieci zależności umożliwiających solidne określenie stanu klimatu.

Po drugie, instytucja nauki, oparta na mechanizmach eksperckiego recenzowania specjalistycznych tekstów w wąsko dostępnych czasopismach naukowych, okazuje się bezbronna wobec zabiegów celowego podważania wiarygodności w mediach publicznych. Jak czytamy we wspomnianej wyżej pracy: „twierdzenia nienaukowe były szeroko rozpowszechniane, zaś ich refutacje przedstawiane przez naukowców ukazywały się tam, gdzie tylko inni badacze mogli je zobaczyć”⁵¹. W kampanii przeciwko globalnemu ociepleniu to właśnie media publiczne, takie jak „The New York Times”, „Washington Post” czy „Newsweek”, odegrały krytyczną rolę. Chętnie publikowały one głosy sceptyczne, kierując się zasadą pogoni za sensacją. Nie rozpoznały, że mają do czynienia z celowo projektowaną i intencjonalnie finansowaną kampanią dezinformacyjną, przedstawiając w swych artykułach racje obu stron w uczciwych proporcjach⁵².

Jak wynika z jednej z analiz sposobów przedstawiania problemu globalnego ocieplenia w mediach, w latach 1988–2002 w USA 53% spośród przebadanych tekstów stanowiły artykuły wyważone, dające tę samą przestrzeń zarówno sceptykom, jak i naukowcom uznającym antropogeniczne przyczyny globalnego ocieplenia. Dalsze 35% tekstów to artykuły, które choć prezentowały stanowisko klimatologów podkreślających, iż ocieplenie klimatu jest wywołane działalnością człowieka, to nadal oddawały należne miejsce głosom sceptycznym. Autorzy omawianych analiz uznali, że opisywana tu strategia wykreowała pewną formę informacyjnego uprzedzenia: pomimo braku kontrowersji w profesjonalnej dyscyplinie problem wciąż był przedstawiany w mediach jako kontrowersja⁵³.

Oreskes i Conway uznają także, że w przypadku zjawiska *global warming denial* w USA obserwujemy załamanie komunikacji naukowej. Przyrodznawcy głównego nurtu nie byli bowiem zainteresowani tym, by angażować się w debatę publiczną, aby bronić danych naukowych w obliczu zarzutów sceptyków. Książka pokazuje również, że w wielu przypadkach mass media w USA nie udostępniały im przestrzeni do takiej komunikacji.

Zjawisko „producentów wątpliwości” świadczy o tym, iż w społeczeństwie ryzyka do tychczasowa rola niezależnego eksperta nauk podstawowych ulega znaczącej modyfikacji. Obok ekspertów wiedzy pojawiają się profesjonalści wątpliwości oraz niepewności.

⁵¹ *Ibidem*, s. 195.

⁵² Wspomniane media działały pod presją – w razie niezastosowania wskazanej wyżej, „uczciwej” strategii do wydawców czasopism wysyłane były „perswazyjne” listy (por. N. Oreskes, E.M. Conway, *Merchants of Doubt...*, *op. cit.*, s. 7, 214–215).

⁵³ M.T. Boykoff, J.M. Boykoff, *Balance as Bias: Global Warming and the US Prestige Press*, „Global Environmental Change” 2004, nr 14, s. 125–136.

Jak się okazuje, wątpliwości można wykreować i zakupić, zaś kontrowersyjność jest na sprzedaż. Nie należy jednak przy tym zapominać, że eksperci IPCC czy bezstronni lub też lewicowo zaangażowani naukowcy podlegają takim samym uwarunkowaniom jak eksperci zorientowani konserwatywnie. Każdy ekspert może podlegać konfliktowi interesów oraz uwikłaniom politycznym. Nauka zawsze jest w jakimś stopniu usytuowana w sieci interesów, a giętkość interpretacyjna dotyczy wszelkich wyników naukowych. Nietrudno sobie np. wyobrazić, że podmioty zainteresowane kontynuowaniem produkcji dotychczasowych towarów i rozwiązań będą podkreślać ryzyko wiążące się z nowymi propozycjami, próbując spowalniać wdrażanie alternatywnych innowacji.

Jednak, co widoczne jest w optyce postkonstruktywizmu, w społeczeństwie ryzyka nie możemy uzależniać decyzji politycznych od nadziei na osiągnięcie absolutyzowanej, eksperckiej pewności. Nie mamy dostępu do obiektywnej Natury, nieproblematicznej wiedzy naukowej czy też uniwersalnej, ogólnoludzkiej wizji odgórnego dobra. Rozgrywające się na naszych oczach kontrowersje pokazują, że scjentystyczne obrazy naukowej pewności muszą być (rozsądnie) zakwestionowane jako nierealistyczne. Jak przekonuje książka *Merchants of Doubt*, retoryka naukowej pewności legitymizowała zarówno przemysł generowania wątpliwości (kampanię negowania globalnego ocieplenia), jak i status ekspertów IPCC⁵⁴.

Jak wynika z analizy studiów przypadków kontrowersji naukowych prowadzonych w ramach STS, ocena solidności danego faktu zawsze opiera się na rozpoznaniu zinstytucjonalizowanych agend profesjonalnego poparcia w nauce (co pozwala z kolei oszacować wiarygodność ekspertów zabierających głos). Poza anonimowymi mechanizmami recenzyjnymi badaczy w profesjonalnych czasopismach, a także w obrębie instytucji przyznających granty naukowe, niczym więcej nigdy nie dysponowaliśmy i nie będziemy dysponować. Możemy je uznać za niezbędny warunek normy zorganizowanego sceptycyzmu charakteryzującego etos nauki w rozumieniu Roberta Mertona (nieważne, jak bardzo życzeniowe i znormatywizowane było stanowisko amerykańskiego socjologa). Mechanizmy te nie gwarantują ani Prawdy, ani Obiektywności. Jak jednak podkreślają Oreskes i Conway – dobrze, gdyby opinia publiczna umiała rozpoznać uwarunkowania profesjonalizmu w obrębie nauki, a przede wszystkim wagę mechanizmów recenzyjnych. Musiałaby ona jednak w tym względzie dysponować rzetelnymi informacjami ze strony mediów, do których w przejrzystym społeczeństwie demokratycznym należy naświetlanie konfliktów interesów w nauce. Kontrowersyjna rola badaczy, którzy zabierają głos na tematy pochodzące z odległych im dziedzin badawczych, a także takich, których poprzednie osiągnięcia naukowe były już w środowisku naukowym kwestionowane, winna być eksponowana.

Zdaniem socjologów nauki, takich jak Latour, nie wyjdziemy z tej patowej (epistemologicznie) sytuacji, licząc na przejrzyste oddzielenie sfery faktów od opinii⁵⁵. W kontekście problemów nurtujących społeczeństwo ryzyka, takich jak zmiana klimatyczna, fakty, instrumenty naukowe, modele statystyczne, instytucje (np. IPCC), opinie polityczne, przesądzenia aksjologiczne i nadzieje będą „pomieszane” w coraz większym stopniu. W epoce

⁵⁴ Por. S. Yearley *et al.*, *Perspectives on Global Warming...*, *op. cit.*, s. 7.

⁵⁵ B. Latour, *Waiting for Gaia...*, *op. cit.*, s. 7.

antropocenu nie ma obiektywnych faktów, ale też i nie stać nas na subiektywny punkt widzenia. Wiarygodność ekspertyz to w społeczeństwie ryzyka dobro, o które toczyć się może walka polityczna. Czy tego chcemy, czy nie, w kontekście problemu globalnego ocieplenia, prowadzimy eksperymentalną politykę natury, próbując komponować harmonijną przyszłość zbiorowości na podstawie owych „giętkich” danych na temat stanu klimatu, którymi dysponujemy. Uznając wagę i obiektywność poszczególnych problemów naukowych, rozstrzygamy, w jakim świecie chcemy mieszkać, o jakiej przyszłości marzymy dla następnych pokoleń i kto się stanie w projekcie jej tworzenia naszym sprzymierzeńcem.



Michał Wróblewski

Wyzwanie biomedycyzacji. Socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby „podszyte” teorią aktora-sieci¹

The Challenge of Biomedicalization. Medical Sociology and Sociology of Health and Illness “Lined” with Actor-Network Theory

Abstract: The article investigates a theoretical framework that would enable effective and fruitful studies of biomedicalization. Biomedicalization is the ongoing expansion of medical discourse, the dynamics of which is determined by technological developments. It is related with the dominant economic interests and power. It generates new areas of risk and the scientific controversies. The first discussed theoretical framework is the medical sociology and the sociology of health and illness. Although both proposals have much to offer, they are not sufficient for the problem of biomedicalization. Their main weaknesses are: exclusion of biological knowledge about the disease, the tendency to reductionism, lack of interest in the controversies. Because of these shortcomings, the author of the paper postulates that medical sociology and the sociology of health and illness should be supplemented by actor-network theory. The main points are: the adoption of relational and hybrid way of thinking about social phenomena, broadening the definition of agency and special interest in the controversies.

Key words: biomedicalization, medical sociology, sociology of health and illness, controversies, actor-network theory

Od samego początku swojego istnienia teoria aktora-sieci pragnęła być czymś więcej niż jedynie orientacją badawczą starającą się zrozumieć współczesne sposoby produkowania wiedzy. Chociaż jej rodowodu należy się doszukiwać w etnografii laboratorium², która analizowała praktyki badawcze, to z czasem stała się czymś na kształt filozofii społecznej, opisującej podstawowe zasady działania zbiorowości. Przejście od zainteresowania „życiem laboratoryjnym” do socjologii tego, co społeczne³, czy socjologii powiązań⁴ otworzyło zupełnie nowe drzwi przed badaczami wykorzystującymi w swoich pracach główne wska-

¹ Artykuł powstał w ramach grantu NCN nr N N116 695040 pt. *Struktury wiedzy wobec kontrowersji naukowo-społecznych* (kierownik: dr Andrzej W. Nowak).

² Por. K. Abriszewski, *Splatając na nowo ANT*, [w:] B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. K. Abriszewski, A. Derra, Universitas, Kraków 2010, s. V–XXXVI.

³ Por. *ibidem*, s. 16.

⁴ Por. M. Callon, B. Latour, *Unscrewing the Big Leviathan: How Do Actors Macrostructure Reality*, [w:] K. Knorr, A. Cicourel (red.), *Advances in Social Theory and Methodology: Toward an Integration of Micro- and Macro-Sociologies*, Routledge, London 1981, s. 277–303.

zówki metodologiczne ANT, a w związku z tym nowe obszary analiz. I tak zaczęły pojawiać się prace dotyczące władzy⁵, procesów ekonomicznych⁶, powstawania prawa⁷, edukacji⁸ czy teorii organizacji⁹.

Chociaż badacze z obszaru ANT raczej odchodzą od tej nazwy¹⁰, posługując się inną (*Science and Technology Studies* – STS), to teoria aktora-sieci pozostaje platformą badawczą, ogólną ramą myślenia. Annemarie Mol w jednym ze swoich artykułów określiła ANT mianem „otwartego magazynu”:

Silą ANT nie jest to, że jest ona solidna, lecz to, że potrafi się dostosować. Zdołała zgromadzić bogaty zestaw badawczych i eksperymentalnych sposobów dostrajania się do świata. Pojęcie i teksty, które krążą w obrębie ANT, są urządzeniami organizującymi (*co-ordinate*). Przenoszą one tematy i problemy z jednego kontekstu do drugiego. (...) Wyostrzają wrażliwość swoich czytelników, dostrajając ich/nas do tego, co się dzieje i co się zmienia tutaj, teraz, gdziekolwiek. W taki czy inny sposób dokonują interwencji, nie z ogólnej perspektywy, lecz raczej z pozycji doktora. Dbają, majstrują. Zmieniają i dodają perspektywy¹¹.

ANT nie jest zatem teorią w klasycznym tego słowa rozumieniu, ale raczej Wittgensteinowską skrzynką z narzędziami. Z uwagi na ten fakt teoria aktora-sieci może z powodzeniem być wykorzystywana do badania szerokiego spektrum fenomenów. W niniejszym artykule wskazywać będę na jeden z takich obszarów. Chodzi o współczesną medycynę. Już pierwszy rzut oka skłaniać może do refleksji, że praktyka medyczna, którą zrewolucjonizowały współczesne odkrycia naukowe, idealnie nadaje się do tego, aby próbować ją zrozumieć za pomocą narzędzi badawczych ANT. Przy tym nie będzie mnie interesować medycyna w ogólności, ale jeden szczególnie proces – biomedycyzacja.

Nie da się zaprzeczyć, że gwałtowny rozwój genetyki w latach 90. XX wieku oraz obecny *boom* na badania neurofizjologiczne i neuroanatomiczne nie pozostają bez wpływu na współczesne praktyki medyczne. Badania z zakresu biologii molekularnej czy neuroobrazowania idą w parze z pojawieniem się zarówno nowych etiologii znanych wcześniej chorób, jak i odkrywaniem nieznanych dotąd schorzeń. Wiąże się to ściśle z nowoczesnymi formami terapii farmakologicznych. Dyskurs skupiony wokół biomedycyzacji pragnie uchwycić wszystkie te dynamiczne zmiany, wychodząc z założenia, że logika medycyny ma tendencję do coraz większej ekspansji na obszary niegdyś wyłączone z jej zakresu. Dzięki genetyce

⁵ Por. J. Law, *On Power and Its Tactics: a View from the Sociology of Science*, „The Sociological Review” 1986, nr 34, s. 1–38.

⁶ Por. M. Callon, *Introduction: the Embeddedness of Economic Markets in Economics*, [w:] *idem* (red.), *The Laws of the Markets*, Blackwell Publishers, Oxford 1998, s. 1–57.

⁷ Por. B. Latour, *The Making of Law: An Ethnography of the Conseil d'Etat*, Polity Press, London 2009.

⁸ Por. T. Fenwick, R. Edwards, *Actor-Network Theory in Education*, Routledge, New York 2010.

⁹ B. Czarniawska, T. Hernes (red.), *Actor-Network Theory and Organizing*, Copenhagen Business School Press, Copenhagen 2005.

¹⁰ Por. uwagi B. Latoura na temat nazwy ANT: *idem*, *On Recalling ANT*, [w:] J. Law, J. Hassard (red.), *Actor Network and After*, Blackwell Publishers, Oxford 1999, s. 15–25.

¹¹ A. Mol, *Actor-Network Theory: Sensitive Terms and Enduring Tensions*, „Kölner Zeitschrift für Soziologie und Sozialpsychologie” 2010, nr 50, s. 265–266.

i neuronaukom jesteśmy świadkami ciągłego poszerzania definicji poszczególnych chorób, zwiększania się liczby kategorii diagnostycznych, wzrostu popularności terapii farmakologicznych, które stają się bardziej elementem stylu życia niż sposobem leczenia.

Tak rozumiany proces biomedycyzacji stanowi nie lada wyzwanie dla badaczy pragnących zrozumieć, czym jest współczesna medycyna. Jedyne odpowiednia rama teoretyczna jest w stanie uchwycić całą złożoną dynamikę biomedycyzacji. Właśnie w tym kontekście użyteczna, jako skrzynka z narzędziami, wydaje się teoria aktora-sieci. Postaram się pokazać, że wiele założeń ANT dotyczących zarówno kwestii metodologicznych (jak badać to, co społeczne w kontekście rozwoju technonauki?), jak i ontologicznych (jak „istnieją” fenomeny społeczne?) umożliwi lepsze zrozumienie współczesnej medycyny niż zajmująca się tym zagadnieniem socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby. Chociaż moim celem nie jest dyskredytowanie dorobku tych bogatych w ciekawe opracowania dziedzin nauk społecznych, to jednak postaram się pokazać, że w wielu przypadkach przyjęta przez nie perspektywa teoretyczna jest niewystarczająca, by zrozumieć dynamikę współczesnych praktyk medycznych. Teoria aktora-sieci, rozumiana jako zbiór nowych perspektyw patrzenia na to, co społeczne, może stanowić idealne dopełnienie socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby. Właśnie w tym kontekście należy rozumieć tytuł artykułu – nie chodzi mi o zastąpienie jednego paradygmatu innym, ale raczej umieszczenie w nim nowych przesłanek metodologicznych i ontologicznych, „podszycie” socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby teorią aktora-sieci.

Czym jest biomedycyzacja?

Mniej więcej od początku lat 60. XX wieku pojęcie medycyzacji zrobiło zawrotną karierę w naukach społecznych. Termin ten pojawia się w głośnej pracy Michela Foucaulta *Narodziny kliniki* wydanej w 1963 roku¹², a także w amerykańskiej socjologii dewiacji¹³. Najsłynniejszym badaczem, który rozpropagował badania na temat tego zjawiska, jest Peter Conrad, autor wydanej w 2007 roku książki *The Medicalization of Society*, która zbiera jego trzydziestoletnie doświadczenia badawcze¹⁴.

Medycyzacja polega na coraz większym rozszerzaniu się dyskursu medycznego na zjawiska niezdefiniowane wcześniej jako problemy ze zdrowiem. Przedmiotem medycyzacji mogą być zachowania dewiacyjne (np. nadpobudliwość), zjawiska niemieszczące się w społecznie przyjętej normie (np. homoseksualizm¹⁵) bądź przypadłości utrudniające codzienne życie (np. zaburzenia erekcji). Rozumiana jako proces, medycyzacja dokonuje

¹² M. Foucault, *Narodziny kliniki*, przeł. P. Pieniążek, Wydawnictwo KR, Warszawa 1999, s. 55.

¹³ Por. J. Pitts, *Social Control: The Concept*, [w:] D. Sills (red.), *International Encyclopedia of Social Sciences*, vol. 14, Macmillan, New York 1968, gdzie autorka analizuje proces medycyzacji jako rodzaj kontroli społecznej.

¹⁴ Por. P. Conrad, *The Medicalization of Society: On the Transformation of Human Conditions into Treatable Disorders*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 2007.

¹⁵ Homoseksualizm jest również, jak wskazuje Conrad, przykładem procesu demedycyzacji, który dokonał się w II połowie XX wieku; por. *ibidem*, s. 97–113.

się na kilku różnych poziomach. Podstawowym poziomem pozostaje medycyna rozumiana jako obszar profesjonalizowanej praktyki. To właśnie lekarze w pierwszej kolejności rozszerzają poszczególne definicje chorobowe bądź usiłują oznaczyć określone fenomeny jako problemy medyczne. Inną sferą medykalizacji są instytucje zajmujące się zdrowiem publicznym. Bycie chorym oznacza nie tylko ciągłe wizyty u lekarza, ale również podleganie jurysdykcji organów publicznych w postaci szpitali czy opieki społecznej, które wraz z postawieniem diagnozy zaczynają roztaczać nad jednostką dodatkową formę kontroli. Jeszcze innym poziomem jest samoidentyfikacja społeczna i wiedza potoczna. Medykalizacja zmienia ramę odniesienia przy określaniu własnej tożsamości i miejsca w społecznym świecie. Coraz więcej podmiotów społecznych zaczyna odgrywać w zbiorowości rolę chorego i z tej perspektywy postrzegać samych siebie.

Teoria medykalizacji powstawała w okresie, który nie znał jeszcze wielu odkryć z zakresu genetyki czy neurofizjologii. Chociaż właściwie od lat 70. XX wieku naukowcy coraz częściej zaczynają doszukiwać się przyczyn chorób w czynnikach biologicznych (co najlepiej widać na przykładzie schorzeń psychicznych), to dopiero w latach 90. postęp naukowy w radykalny sposób zmienił myślenie na temat zdrowia i choroby. Właśnie dlatego badacze społeczni coraz częściej zamiast o medykalizacji zaczynają mówić o biomedykalizacji¹⁶. O ile motorem napędowym tej pierwszej byli lekarze i instytucje zajmujące się zdrowiem, o tyle głównym impulsem dla biomedykalizacji staje się rozwój technologiczny, który przyspiesza rozszerzanie się dyskursu medycznego, tworzy dla niej nowe obszary działania, a także uprawomocnia jej występowanie w przestrzeni społecznej. Przyglądając się tym związkom dokładniej, możemy wyznaczyć trzy obszary współczesnej biomedykalizacji, na których rozwój technologiczny odciska swoje wyraźne piętno: etiologiczno-diagnostyczny (definiowanie chorób za pomocą wyników badań laboratoryjnych), terapeutyczny (nowe formy leczenia farmakologicznego) oraz infrastrukturalny (wymiana informacji za pomocą nowoczesnych technologii komputerowych).

Dwa pierwsze związane są ściśle z odkryciami z zakresu genetyki, neurofizjologii i neuroanatomii. Wszystkie one wpływają na badania nad etiologiami chorób, pomagają w codziennej praktyce lekarskiej, dostarczają nowoczesnych narzędzi pomiarowych, tworzą zupełnie nowe formy terapii. Genetyka sprawiła, że choroby zaczęto analizować na poziomie budowy białkowej, konkretnych genów czy ich całych układów, a oddziaływanie choroby na organizm postrzegać jako oddziaływanie na genetyczną budowę człowieka. Najlepszym przykładem współczesnego wykorzystywania badań genetycznych w przypadku terapii jest farmakogenomika. Jest to technologia produkowania lekarstw, które mają być bezpośrednio dostosowane do genotypu każdego pacjenta, na przykład za pomocą różnicowania metabolizmu konkretnego leku w zależności od zdolności organizmu¹⁷. Warto również wspomnieć o diagnostycznym wymiarze rozwoju genetyki. Otóż coraz częściej w określaniu stanu pacjenta wykorzystuje się badania DNA. Chodzi tu zarówno o diagnozę stanu aktualnego, jak

¹⁶ Por. A.E. Clarke *et al.*, *Biomedicalization: Technoscientific Transformations of Health, Illness, and U.S. Biomedicine*, „American Sociological Review” 2003, vol. 68, no. 2, s. 161–194.

¹⁷ Por. J. Afeltowicz, *Ile jest etyki w bioetyce? Na przykładzie sporów bioetycznych wokół farmakogenomiki*, „Ruch Filozoficzny” 2010, nr 2, s. 371–389.

i o wykazanie predyspozycji do zachorowania w przyszłości. Otwiera się tutaj olbrzymia furta dla biomedycyzacji, ponieważ testy genetyczne mogą wprowadzić nową kategorię diagnostyczną – „potencjalnie chory”. To z kolei może stworzyć takie choroby jak „przed-rak” czy „przed-alkoholizm”, tworząc nowe formy terapii prewencyjnej¹⁸.

Genetyka nie jest oczywiście jedyną gałęzią współczesnej nauki, która w rewolucyjny sposób wpływa na medycynę. Równie doniosłe było pojawienie się technologii wykorzystujących neuroobrazowanie mózgu, a także badania związane z neurofizjologią. Zwłaszcza te ostatnie całkowicie zmieniły optykę lekarską. Wystarczy tu wspomnieć tylko o wynalezieniu pierwszej generacji leków psychotycznych, działających na wydzielanie dopaminy, serotoniny, adrenaliny czy histaminy, które były wykorzystywane m.in. w leczeniu schizofrenii. Nowszym wynalazkiem są antydepresanty, czyli selektywne inhibitory zwrotnego wychwyty serotoniny (SSRI), do których należy np. fluoksetyna, bardziej znana jako Prozac. Antydepresanty całkowicie zmieniły sposób myślenia o ludzkim zdrowiu, tworząc kulturową modę na tak zwane leki *lifestyle'owe*. Prozac, Zoloft, Paxil stały się w latach 90. przebojami rynku farmaceutycznego, odpowiadając na rosnące potrzeby konsumentów, głównie amerykańskich. Owe *blockbuster drugs*, jak nazwała je wówczas branża farmaceutyczna, sprawiły, że terapia farmakologiczna zaczęła być traktowana raczej jako narzędzie poprawiające wydajność, a nie jako forma leczenia.

Wpływ technonauki na rozwój medycyny nie ogranicza się tylko do kwestii związanych z etiologią, diagnozą czy terapią. Równie ważne są technologie informatyczne. Ich gwałtowny rozwój spowodował proliferację informacji dotyczących praktyk medycznych, począwszy od stanu informacji na temat chorób w skali populacji, a skończywszy na wynikach sprzedaży poszczególnych leków. Zaowocował ponadto łatwiejszym do nich dostępem przez strony trzecie (koncerny farmaceutyczne czy firmy ubezpieczeniowe). Powstałe wskutek tego bazy danych integrują różne praktyki związane ze zdrowiem i chorobą w jednolitą sieć zależności, która pozwala na współdziałanie różnych podmiotów zajmujących się zdrowiem. Dzięki technologiom szybkiej wymiany informacji możliwe staje się współdziałanie lekarzy, koncernów farmaceutycznych, aptek czy towarzystw ubezpieczeniowych¹⁹. Prawdą jest, że wszystkie te obszary rządzą się trochę innymi racjonalnościami, jednakże o ich spójności przesądza infrastrukturalna organizacja, która pozwala na szybką komunikację między nimi.

Inflacja informacji na temat życia i zdrowia pacjenta oraz zbieranie ich w ogromne bazy danych pogłębiają ponadto zasadniczą dla biomedycyzacji kontrolę społeczną. Dzięki nowoczesnym technikom komputerowym więcej obszarów życia codziennego może podle-

¹⁸ Por. P. Conrad, *The Medicalization of Society...*, *op. cit.*, s. 138. Genetyzacja medycyny powoduje również prewencyjne działania pracodawców czy przedstawicieli firm ubezpieczeniowych, dla których „potencjalnie chory” może się okazać złym pracownikiem bądź klientem obarczonym zbyt dużym ryzykiem. Mówiąc innymi słowami, testy DNA mogą tworzyć nowe formy asymetrii. Por. na ten temat pracę dotyczącą wykluczenia genetycznego: T. Lemke, *Perspectives on Genetic Discrimination*, Routledge, London 2013.

¹⁹ Por. analizy wykorzystywania danych ze sprzedaży aptek przez przedstawicieli koncernów farmaceutycznych, którzy kontrolują w ten sposób lekarzy: P. Polak, *Nowe formy korupcji. Analiza socjologiczna sektora farmaceutycznego w Polsce*, Nomos, Kraków 2011, s. 83–84, 132–138.

gać medycznej analizie pod kątem potencjalnego zagrożenia dla zdrowia²⁰. Z jednej strony oznacza to mniejszy zakres prywatności osobistej, z drugiej zaś tworzy nowe formy zarządzania obywatelami na poziomie populacji²¹. Z punktu widzenia racjonalności władzy bardzo ważną kwestią okazuje się biostatystyka, zbierająca informacje na temat biologicznej kondycji obywateli²² oraz tworząca zupełnie nowe standardy dla współczesnej medycyny.

Rozwój technologii komputerowych kształtuje ponadto niezależne wobec dyskursu medycznego formy wiedzy, które coraz częściej zaczynają odgrywać znaczącą rolę w procesie kształtowania debaty o zdrowiu i chorobie. W pierwszej kolejności chodzi o wiedzę laików, czyli osób niezwiązanych bezpośrednio z instytucjami medycznymi, którzy sami posiadli informację na temat choroby i dokładają dużych starań, aby ową wiedzę pogłębiać i dzielić się nią z innymi zainteresowanymi. Siła laików manifestuje się przede wszystkim we wszelkiego typu fundacjach, stowarzyszeniach czy organizacjach zrzeszających chorych. Mają one w zamierzeniu dostarczać informacji na temat badań etiologicznych, komentować nowe terapie, służyć pomocą prawną, organizować konferencje informujące o zagrożeniu chorobą, dawać emocjonalne wsparcie, walczyć o prawa pacjentów. Najciekawszym faktem związanym z biomedycyzacją jest to, że owe organizacje znacząco wpływają na dyskurs medyczny. Najlepszym przykładem są działania aktywistów gejowskich, którzy w latach 80. współtworzyli debatę medyczną na temat HIV/AIDS. Ich działania przyspieszyły m.in. proces dopuszczenia do sprzedaży lekarstwa na tę chorobę²³.

Przykład AIDS pokazuje, że wiedza laicka w dobie nowoczesnych technik przekazywania informacji, rozwoju nowych mediów czy komputeryzacji zaczyna być traktowana na równi z wiedzą ekspercką. Dyskurs medyczny coraz częściej szuka w dyskursach nieprofesjonalnych narzędzi legitymizacji. Można tutaj podać dwa przykłady. Pierwszy dotyczy owych pozarządowych fundacji, które reprezentują interesy pacjentów w sferze publicznej. Najczęściej są one finansowane przez koncerny farmaceutyczne, wiele z nich współpracuje ponadto z państwowymi instytucjami odpowiedzialnymi za zdrowie. Drugi przykład dotyczy medycyny niezachodniej, która zmienia swój status z bycia peryferyjnym powiewem egzotyki na pełnoprawną wiedzę na temat chorób. Vincanne Adams podaje przykład medycyny tybetańskiej, która staje się atrakcyjna dla koncernów farmaceutycznych, liczących na to, że tamtejsze lekarstwa można sprzedawać na amerykańskim rynku. Wydaje się, że nie można byłoby mówić o owej kooptacji alternatywnych form wiedzy czy prób ich zawłasz-

²⁰ Por. A.E. Clarke *et al.*, *Biomedicalization...*, *op. cit.*, s. 174.

²¹ Biomedycyzacja wydaje się ściśle powiązana z procesami transformacji władzy, które opisywał Michel Foucault, zwłaszcza w kontekście jego rozważań na temat biopolityki; por. M. Foucault, *Bezpieczeństwo, terytorium, populacja*, przeł. M. Herer, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 23–48.

²² Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że koncerny farmaceutyczne wynajmują specjalne firmy zajmujące się audytem rynku leków m.in. do tego, aby zbierały informacje na temat zdrowia pacjentów na danym obszarze. Jedną z takich firm jest BioStat, która współpracuje z naukowcami z Polskiego Towarzystwa Biometrycznego. Związek pomiędzy podmiotami prywatnymi, instytucjami służby zdrowia a tymi obszarami wiedzy, które dostarczają statystycznych informacji o biologicznych aspektach życia populacji, pokazuje, w jakich relacjach działa proces biomedycyzacji.

²³ Por. S. Epstein, *Impure Science: AIDS, Activism, and the Politics of Knowledge*, University of California Press, Berkeley 1996, s. 1–26.

czania bez rozwoju nowoczesnych technologii, zwykle kojarzonych z globalizacją, czyli technologii teleinformatycznych i komunikacyjnych²⁴.

Ostatnią rzeczą związaną z technonauką i biomedycyzacją jest kwestia ryzyka. Studia nad nauką i technologią wskazują, że rozwojowi technologicznemu nieustannie towarzyszy potencjalne ryzyko nieplanowanych następstw wprowadzania innowacji. Sposób konstruowania kolejnych wynalazków, a także prędkość, z jaką są implementowane na obszar zbiorowości społecznej, sprawiają, że o całej gamie ich atrybutów dowiadujemy się dopiero, gdy opuszczają mury laboratoriów²⁵. Dodatkowo stopień skomplikowania innowacji jest tak duży, że nie da się w pełni przewidzieć ich działania. Medycyna nie jest tutaj wyjątkiem. Podobnie jak w przypadku energii atomowej czy żywności genetycznie modyfikowanej, produkty biomedycyzacji wywołują cały szereg niezamierzonych konsekwencji, otwierając kolejne fronty kontrowersji naukowych i konfliktów technologicznych²⁶. W przypadku medycyny chodzi głównie o skutki uboczne terapii farmakologicznych.

Istnieje jeszcze inna kwestia związana z ryzykiem, charakterystyczna dla biomedycyzacji. Ryzyko nie jest bowiem tylko potencjalnością jakiejś katastrofy, lecz staje się elementem społecznej świadomości, trwałą ramą odniesienia w codziennej praktyce. Na ten element późnej nowoczesności wskazuje Anthony Giddens²⁷. Uważa on, że działanie w społeczeństwach posttradycyjnych różni się od przeszłości społecznym zapoznawaniem zagrożeń wynikłych z ciągłego rozwoju technologii. Jednostki społeczne nie popadają jednakże w bezustanną nerwicę ani nie odwołują się do boskiej opatrności, ponieważ darzą zaufaniem abstrakcyjne systemy organizujące życie społeczne, które mają za zadanie gwarantować bezpieczeństwo. W przypadku biomedycyzacji może to stanowić jeden z motorów jej działania. Jeżeli bowiem społeczeństwa późnej nowoczesności żyją ze świadomością ryzyka, to jedną ze strategii przystosowawczych, w obliczu braku odniesienia do tradycji, jest wykształcenie postawy zaufania wobec instytucji odpowiedzialnych za zdrowie. Owa ufność sprawia, że kolejne etiologie, metody diagnostyczne czy terapie są przyjmowane jako środki obniżające poziom ryzyka, a postępująca biomedycyzacja jako proces stopniowego redukcjonowania niepewności i przypadkowości.

Ważne wydaje się również to, że zbiomedycyzowane ryzyko przekształca całkowicie społeczny obraz choroby oraz praktykę lekarską w tym względzie, iż zły stan organizmu przestaje być problemem pierwszej wagi, natomiast nadrzędne staje się zarządzanie czynnikami wywołującymi chorobę. Owa zmiana powoduje, że celem praktyk związanych ze

²⁴ Warto tutaj dodać, że biomedycyzacja tworzy nowe formy stratyfikacji o różnych wymiarach. Jeden z nich dotyczy dostępu do informacji. Otóż jedynie ci, którzy ów dostęp posiadają, mogą się stać pełnoprawnymi aktorami biomedycyzacji, to znaczy takimi, którzy mają zasoby do tego, aby kształtować jej przebieg oraz z powodzeniem czerpać z niej korzyści (por. A.E. Clarke *et al.*, *Biomedicalization...*, *op. cit.*, s. 170–171).

²⁵ Por. W. Krohn, J. Weyer, *Society as Laboratory: The Production of Social Risks by Experimental Research*, „Science and Public Policy” 1994, nr 21, s. 173–183.

²⁶ Por. P. Stankiewicz, *Od przekonywania do współdecydowania: zarządzanie konfliktami wokół ryzyka i technologii*, „Studia Socjologiczne” 2011, nr 4, s. 95–119.

²⁷ Por. A. Giddens, *Konsekwencje nowoczesności*, przeł. E. Klekot, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008, s. 88–97.

zdrowiem przestaje być leczenie, a staje się ciągle zapobieganie. Biomedycyzacja, podobnie jak współczesne grupy eksperckie, jest procesem polegającym na zarządzaniu ryzykiem. Oznacza to, że ma ona na celu z jednej strony jego redukcję, z drugiej zaś ciągle potwierdzanie występowania ryzyka w sferze społecznej. Co więcej, w tych dwóch procesach czynny udział biorą nie tylko naukowcy czy lekarze, ale również sami pacjenci. Współczesna medycyna polega w równej mierze na sondowaniu każdego aspektu życia pacjenta przez instytucje zdrowotne, co na samoobserwacji, indywidualnym używaniu narzędzi szacujących stopień występowania chorób czy nawet dokonywaniu samodiagnoz. Owo indywidualne zarządzanie czynnikami ryzyka sprawia, że potencjalnie każdy element rzeczywistości społecznej dnia codziennego może się stać zagrożeniem, a każda jednostka może być potencjalnie chora. Takie myślenie o chorobie przyspiesza proces biomedycyzacji, która dotyka również indywidualnych praktyk społecznych samych pacjentów.

Podsumujmy. Biomedycyzacja jest procesem ciągłego rozszerzania logiki medycznej na coraz to nowe obszary tego, co społeczne. Głównymi aktorami biomedycyzacji są, oprócz lekarzy i przedstawicieli instytucji zajmujących się zdrowiem, również naukowcy, koncerny farmaceutyczne, laicy skupieni wokół pozarządowych stowarzyszeń i fundacji. Jej motorem napędowym jest rozwój technologiczny (w obszarze genetyki, neuronauk oraz komputeryzacji). Biomedycyzacja pozostaje ponadto połączona z całym szeregiem innych procesów skomplikowaną siecią zależności – jest to zarazem zjawisko związane z postępującą ekonomizacją życia społecznego (rozszerzanie się dyskursu medycznego jest równoznaczne z tworzeniem nowych rynków zbytu dla koncernów farmaceutycznych), z pojawieniem się nowoczesnych technologii władzy (która zaczyna interesować się biologiczną kondycją obywateli), a także z coraz większym zmediatyzowaniem różnych sfer codzienności (dzięki któremu przełamany zostaje ekspercki monopol na wiedzę dotyczącą zdrowia i choroby). Biomedycyzacja jest jednocześnie powiązana z ryzykiem i to w dwojakim sensie: tworzy nowe obszary niepewności i zarazem łączy się z praktyką polegającą na zarządzaniu ryzykiem.

Szukając odpowiedniej ramy teoretycznej: socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby

Opisawszy interesujące mnie zjawisko, przystąpię teraz do poszukiwań paradygmatu, który byłby w stanie ująć w odpowiedniej ramie teoretycznej główne problemy biomedycyzacji, a także umożliwić zrozumienie jej dynamiki. Z uwagi na fakt, że nauki społeczne stworzyły pewne narzędzia w postaci socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby, moje dociekania muszą siłą rzeczy w pierwszej kolejności podążyć na ten obszar. Konieczna jest tutaj jednak pewna ogólna uwaga – z powodu ograniczenia objętościowego niniejszego opracowania zmuszony jestem do zaprezentowania modelowego, a w związku z tym nieco upraszczającego obrazu socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby.

Dziełem fundującym socjologię medycyny jest wydany w 1951 roku *System społeczny* Talcotta Parsonsa²⁸. Według amerykańskiego socjologa zdrowie jest cechą jednostki, która odgrywa podstawowe role społeczne, przyczyniając się tym samym do optymalnego działania systemu. Choroba jest z tej perspektywy przyjęciem dewiacyjnej roli społecznej, czyli takiej, która uniemożliwia jednostce wypełnianie swoich rutynowych funkcji. Różni się jednakże od innych zachowań dewiacyjnych tym, że stanowi jedynie krótkotrwały stan, oraz tym, że stanowi przedmiot fachowej opieki medycznej. Chory jest zarazem pacjentem, w związku z czym podlega określonej kontroli ze strony lekarza. Zadaniem lekarza i całego kompleksu instytucjonalnego zajmującego się zdrowiem jest przywrócenie społeczeństwu jednostki, która wskutek choroby została wyłączona z pełnienia swoich funkcji, a także nagminne upominanie ją o dbanie o własne zdrowie, ażeby przejście do stanu dewiacji zdarzało się jak najrzadziej. Medycyna, rozumiana jako zespół instytucji i układ ról, jest zatem funkcjonalnym narzędziem, za pomocą którego system społeczny radzi sobie z dysfunkcją, jaką jest stan choroby.

Książka Parsonsa wyznaczyła socjologii medycyny dwa niezwykle ważne obszary dociekań: społeczne uwarunkowania pracy lekarza oraz wpływ choroby na społeczne funkcjonowanie jednostki. Badania zawodów lekarskich, niezwykle popularne w Ameryce, skupiały się głównie na postawach i zachowaniach lekarzy²⁹. Interesowano się, jaka jest specyfika wykonywanej przez lekarza roli społecznej, jaki wpływ na jego funkcjonowanie ma kontekst instytucjonalny, jak usytuowanie lekarza wpływa na relację z pacjentem. Najbardziej znanymi opracowaniami z dziedziny socjologii zawodów lekarskich są te dotyczące socjalizacji do wypełniania roli medycznego profesjonalisty. Chodzi tutaj o prace, którymi współautorami są Robert Merton i Howard Becker³⁰. Zajmują się one głównie edukacją studentów uczelni medycznych. Innym przykładem opracowania, które w centrum umieszcza działania lekarza, jest słynna książka Eliota Freidsona *Profession of Medicine*³¹.

Drugi obszar dociekań koncentruje się na zmianach, jakie choroba wywołuje w społecznym życiu jednostki. Paradygmat funkcjonalistyczny ujmował ten problem głównie pod kątem odgrywanych ról, traktując chorobę jako zaburzenie pewnej normy. Zasadą tej perspektywy jest zwrócenie uwagi na fakt, że bycie chorym nie jest jedynie stanem organizmu, ale ma ogromny wpływ na codzienne funkcjonowanie człowieka, a zatem na relacje rodzinne i zawodowe. Funkcjonalizm nie wykorzystał jednakże należycie tej perspektywy. Zrobiła to dopiero orientacja interakcjonistyczna, która skupiła się głównie na tym, jak fakt bycia chorym zmienia subiektywne postrzeganie świata życia, jak wpływa na ujmowanie

²⁸ Por. T. Parsons, *System społeczny*, przeł. M. Kaczmarczyk, Nomos, Kraków 2009, s. 319–355.

²⁹ Por. M. Sokołowska, *Socjologia medycyny*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1986, s. 231–252.

³⁰ Por. R.K. Merton, C.G. Reader, P.L. Kendall (red.), *The Student-Physician: Introductory Studies in the Sociology of Medical Education*, Harvard University Press, Cambridge 1957; H.S. Becker, B. Geer, E.C. Hughes, A.L. Strauss, *Boys in White: Student Culture in Medical School*, University of Chicago Press, Chicago 1963.

³¹ E. Freidson, *Profession of Medicine: A Study of the Sociology of Applied Knowledge*, Dodd, Mead and Company, New York 1970.

własnej tożsamości i relacji z innymi. Z tej perspektywy interesujące jest nie tylko (jak w paradygmacie funkcjonalistycznym) ujmowanie chorego przez pryzmat zajmujących się nim instytucji, ale raczej indywidualne doświadczanie choroby.

Analizowanie społecznych konsekwencji bycia chorym skłoniło socjologów do stworzenia „społecznego modelu choroby”³². Zgodnie z nim nie tylko życie społeczne ulega wpływom ze strony świata medycyny (gdyż diagnozując pacjentów, zmienia ich funkcjonowanie w zbiorowości), lecz również same procesy społeczne wpływają na jakość zdrowia. Niewątpliwym sukcesem socjologów jest zwrócenie uwagi na to, że za występowanie niektórych chorób w dużej mierze odpowiedzialne są czynniki społeczne: industrializacja, rozwój aglomeracji miejskich, zwiększona mobilność, dysfunkcjonalność niektórych instytucji (np. rodziny), rozpad tradycyjnych więzi, konflikty międzypokoleniowe³³. Jest to perspektywa, którą przyjmuje tzw. socjosomatyka³⁴.

Ścieżka dociekań, zgodnie z którą choroba, także w etiologicznym wymiarze, jest kwestią równie społeczną, co biologiczną, skłoniła socjologów do zaproponowania trzech różnych definicji³⁵. *Disease* to choroba w znaczeniu biologicznym – materialny i dostępny zmysłowo stan organizmu, który z uwagi na swoją problematyczność jest przedmiotem ewaluacji i interwencji ze strony lekarza. *Illness* to choroba w znaczeniu fenomenologicznym – subiektywne poczucie bycie niezdrowym, zależne od indywidualnych predyspozycji psychicznych. *Sickness* to choroba w znaczeniu społecznym – rola społeczna wpływająca na postrzeganie jednostki w grupie, określony status będący wynikiem negocjacji pomiędzy jednostką, instytucjami zdrowotnymi a innymi członkami społeczeństwa. Ów podział jest o tyle ciekawy, że możliwe są tutaj różne wariacje. Ktoś może postrzegać sam siebie jako osobę chorą, jednakże nie posiadać odpowiedniej diagnozy lekarskiej (a więc posiadać *illness*, ale nie *disease*). Równie możliwa jest sytuacja, w której ktoś pragnie przekonać społeczeństwo, że jest chory, by uzyskać określone korzyści, np. w postaci współczucia (posiada wówczas jedynie *sickness*). Sytuacją wzorcową jest z kolei posiadanie wszystkich trzech wymiarów, a zatem diagnozy lekarskiej, subiektywnego poczucia i społecznej legitymizacji pełnionej funkcji.

Po tych szkicowych uwagach możemy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego mówi się o dwóch subdyscyplinach zamiast jednej. Chociaż jest to podział dość umowny i w rzeczywistości płynny, to na potrzeby niniejszego modelowego opracowania możemy przyjąć, że socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby różni się głównie charakterem podejmowanych problemów. Ta pierwsza bada wymiar instytucjonalny, a zatem: funkcjonowanie organów zajmujących się zdrowiem publicznym, czynniki organizacyjne wpły-

³² M. Sokołowska, *Socjologia medycyny*, [w:] A. Ostrowska (red.), *Socjologia medycyny. Podejmowane problemy, kategorie analizy*, IFiS PAN, Warszawa 2009, s. 29.

³³ Por. A. Firkowska-Mankiewicz, *Teorie przyczyn chorób*, [w:] A. Ostrowska (red.), *Socjologia medycyny...*, *op. cit.*, s. 49.

³⁴ Por. D. Łęcka, *Klasyczna socjosomatyka i jej nieklasyczna odmiana. Wkład socjologii zdrowia i choroby w dyskurs o zaburzeniach somatycznych i etiologii chorób*, „Studia Socjologiczne” 2010, nr 1, s. 127–146.

³⁵ Por. K.M. Boyd, *Disease, Illness, Sickness, Health, Healing and Wholeness: Exploring Some Elusive Concepts*, „Medical Humanities” 2000, nr 26, s. 9–17.

wające na działania społeczne lekarza i pacjenta, funkcjonalność opieki medycznej dla utrzymywania systemu społecznego, miejsce instytucji medycznych w szerszym kontekście (np. prawnym). Ta druga z kolei zainteresowana jest głównie wyjaśnianiem samego zdrowia i choroby przez pryzmat czynników społecznych, czyli: określa, jak bycie zdrowym bądź chorym wpływa na funkcjonowanie w społeczeństwie oraz na subiektywną samoidentyfikację, jak przebiega społeczne doświadczanie choroby, jakie czynniki wynikające z przekształceń społeczno-ekonomicznych wpływają na zdrowie w skali populacji, a także jak interpretacja zdrowia i choroby różni się w zależności od kultury.

Przypomnijmy sobie teraz, co powiedzieliśmy na temat biomedycyzacji. Określiśmy ją jako proces polegający na rozszerzaniu logiki dyskursu medycznego na zjawiska niebędące pierwotnie problemami medycznymi, którego motorem napędowym jest rozwój technologiczny w zakresie genetyki, neuronauk oraz komputeryzacji. W tym świetle, aby zrozumieć proces biomedycyzacji, niezbędne jest przyjrzenie się współczesnym praktykom produkowania wiedzy. Biorąc jako narzędzie socjologię zdrowia i choroby, zauważamy, że pojawia się tutaj pierwszy problem. Socjologowie badają przede wszystkim społeczny wymiar choroby, jej biologiczną definicję zostawiając lekarzom i przedstawicielom nauk ścisłych. Oddzielenie od siebie poziomu *disease* od *illness* i *sickness* sprawia, że definicja choroby w kontekście określonych praktyk laboratoryjnych nie jest brana pod uwagę. Pozostawia to socjologów poza podstawowym dla biomedycyzacji obszarem. Biomedycyzacja kształtowana jest bowiem przez produkty technonauki, których przeważająca ilość powstaje bądź jest używana w laboratoriach: neuroobrazowanie, testy genetyczne, farmagenomikę, leki SSRI, bazy danych itp. Wskutek gwałtownego rozwoju technologicznego kształtowanie definicji zdrowia i choroby przestaje być udziałem jedynie samych lekarzy czy chorych. Zarówno działania lekarza, jak i indywidualne ujmowanie siebie samego jako chorego jest wynikiem wiedzy ustabilizowanej już w toku działań samych naukowców. W związku z tym choroby „powstają” nie tyle w szpitalach czy w interakcjach pomiędzy „zwykłymi” ludźmi, ile raczej w laboratoriach badawczych.

Powiedzieliśmy, że wskutek rozwoju technologii informatycznych współczesna medycyna została zintegrowana z innymi sferami skomplikowaną siecią zależności. Medycyna to nie tylko rozwiązywanie problemów zdrowotnych. Powiązana jest ona bowiem z gospodarką, prawem czy polityką. Informacje na temat stanu organizmów pacjentów są wykorzystywane przez koncerny farmaceutyczne, firmy ubezpieczeniowe, władze państwowe. Propagowanie zdrowego stylu życia to jednocześnie tworzenie nowych rynków zbytu, odciążanie państwa w wypełnianiu funkcji opiekuńczych, dbanie o ekonomiczną wydajność obywateli. Biomedycyzacja odbywa się zatem na kilku poziomach.

Socjologia medycyny, badając zaplecze instytucjonalne, również zwraca się w stronę różnych sfer. Wiele opracowań przygląda się kontekstowi ekonomicznemu³⁶ czy prawne-

³⁶ Por. np. J. Abraham, *The Sociological Concomitants of the Pharmaceutical Industry and Medications*, [w:] P. Conrad et al. (red.), *Handbook of Medical Sociology*, wyd. 6, Vanderbilt University Press, Nashville 2010, s. 290–308.

mu³⁷. Niebezpieczeństwem jednakże, jakie kryje się w tym miejscu, jest nadmierne redukcjonowanie problemów związanych z biomedycyzacją jedynie do konkretnego obszaru. Biomedycyzacja wymaga studiów, które będą ujmować różne zjawiska w relacjach i które będą pokazywać starania stabilizowania heterogenicznych sfer. Ekspansja logiki medycznej na zjawiska niemedyczne jest procesem zróżnicowanym, lecz jednocześnie zintegrowanym i zmierzającym w określonym kierunku. Skupianie się jedynie na instytucjach odpowiedzialnych za zdrowie publiczne bądź tylko na relacjach z rynkiem farmaceutycznym upraszcza w znacznym stopniu dynamikę współczesnej medycyny, gubiąc jej hybrydyczny charakter.

Definiując biomedycyzację jako wynik gwałtownego postępu technologicznego, stwierdziliśmy, że jest ona procesem zarówno tworzącym nowe obszary niepewności, jak i zarządzającym ryzykiem. Kryje się tutaj idea, że produkowanie wiedzy nie jest jedynie działalnością rozwiązującą kwestie praktyczne, ale również generuje dodatkowe, nieprzewidziane konsekwencje. W geście separującym biologiczną *disease* od społecznej *illness* i *sickness* kryje się potencjał wykluczania owych czynności kreujących ryzyko. Jeżeli bowiem socjolog nie wchodzi na obszar zarezerwowany dla biologów molekularnych czy neurofizjologów, to nie jest w stanie zrozumieć problemów, jakie towarzyszą produkowanej przez nich wiedzy. Wyklucza to z obszaru analiz kontrowersje związane z postępem technologicznym, które mają przemożny wpływ na dynamikę zbiorowości.

ANT-owe „podszycie”

Wyzwanie, jakie biomedycyzacja stawia współczesnym naukom społecznym, zasadza się na trzech problemach: technonaukowej „naturze” rozwoju medycyny, jej kompleksowości i heterogeniczności oraz jej uwikłaniu w generowanie nowych obszarów ryzyka i kontrowersji. Czy socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby podejmuje owo wyzwanie, w związku z czym jej narzędzia teoretyczne są w stanie w odpowiedni sposób ująć proces biomedycyzacji? Nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Choć pozwoiliem sobie powyżej na małą krytykę, to nie można całkowicie zaprzeczyć, że w obrębie tych dwóch dyscyplin prowadzone są badania nad sytuacją współczesnej medycyny i z tego chociażby powodu nieuprawnione jest twierdzenie, jakoby socjologia medycyny bądź socjologia zdrowia i choroby były całkowicie ślepe na rozwój technologiczny, nie zdawały sobie sprawy ze złożoności współczesnego świata społecznego czy naiwnie wierzyły, iż medycyna nie tworzy nieznanych dotąd niebezpieczeństw. Niemniej jednak wskazaliśmy na pewne słabości tradycyjnego podejścia owych podziałów nauk społecznych: oddzielenie *disease* od *sickness* i *illness*, redukcjonizm skupiający się jedynie na wybranym czynniku, niewchodzenie w szczegóły kontrowersji naukowych. W związku z tym, będąc daleko od potępiania bogatego dorobku socjologii zdrowia i choroby oraz socjologii medycyny,

³⁷ Por. np. R. Maciąg, *Kolejki pacjentów oczekujących na świadczenia zdrowotne w polskim systemie ochrony zdrowia po 1989 r.*, [w:] B. Płonka-Syroka (red.), *Antropologia medycyny i farmacji w kontekście kulturowym, społecznym i historycznym*, Akademia Medyczna im. Piastów Śląskich, Wrocław 2008, s. 109–122.

możemy zaproponować włączenie w jej obręb zupełnie innego sposobu myślenia, który pomógłby owych słabości uniknąć. Tym innym sposobem myślenia jest teoria aktora-sieci.

Znów muszę poczynić uwagę podobną do tej, jaką wyraziłem przy okazji omawiania socjologicznych dociekań nad medycyną. Z powodu ograniczeń objętościowych zmuszony jestem do wskazania najważniejszych przesłanek teoretycznych ANT, które mogą się przydać w badaniach nad biomedycyzacją. Z uwagi na fakt, że dorobek Brunona Latoura (choć Latour to nie całe ANT!) jest w Polsce coraz bardziej znany³⁸, szczegółowe przybliżanie tej orientacji badawczej wydaje się niepotrzebne.

W jednej z najważniejszych prac spod znaku teorii aktora-sieci Annemarie Mol twierdzi, że oddzielenie *disease* od *sickness* zdefiniowało na całe dekady socjologiczne zainteresowanie medycyną. Dzięki temu gestowi socjologowie zwrócili się w „stronę sfery tego, co społeczne (...). W ten sposób nauki społeczne nakreśliły własny przedmiot [odniesienia] oraz przyznały biomedycynie wyłączne prawo do mówienia o ciele i jego chorobach (*diseases*)”³⁹. Z perspektywy ANT to oddzielenie *disease* od *sickness* jest wyrazem szerszej tendencji separowania tego, co naturalne, od tego, co kulturowe. Ową tendencję Bruno Latour nazywa Nowoczesną Konstytucją⁴⁰. Zgodnie z nią wszystkie elementy znajdujące się po stronie natury rządzą się zupełnie innymi prawami niż te, które znajdują się po stronie kultury. Z jednej strony mamy pracę naukowców produkujących wiedzę i wynalazki techniczne, z drugiej społeczeństwo, politykę, wartości itp. Naukowcy odkrywają prawa przyrody, które są niezależne wobec społeczeństwa, z kolei to, co społeczne, nie da się zredukować do tego, co naturalne. Separacja Nowoczesnej Konstytucji jest jednakże fikcją – realna praktyka naukowa w rzeczywistości nie dba o podziały na naturę czy kulturę, z kolei społeczeństwo nie jest całkowicie oddzielone od tego, co dzieje się w laboratoriach, nie jest ponadto tworzone jedynie przez podmioty ludzkie. W toku rozwoju technologicznego (w języku ANT określanego za pomocą metafory translacji) elementy społeczne (znaczenia, instytucje, odgrywane role, wartości itp.) i naturalne (geny, neurony, zasady fizyki itp.) są nieustannie z sobą mieszane. To, z czym mamy do czynienia, to wszechobecność hybryd, które wymykają się prostym ontologicznym rozróżnieniom.

Jeżeli przyjrzymy się ponownie biomedycyzacji, to jest ona niczym innym jak ciągłym tworzeniem relacyjnych sieci wokół konkretnych zjawisk, które mają się stać jednostkami chorobowymi. Innymi słowy – biomedycyzacja tworzy hybrydy, które nie podlegają prostemu podziałowi na naturę i społeczeństwo, ponieważ angażują różne porządki: odkrycia naukowe, komputeryzację, zmiany w prawie, działanie instytucji publicznych i organizacji pozarządowych. Biomedycyzacja sprawia, że istnieje znaczący, choć niezauważalny na

³⁸ Za sprawą takich badaczy jak: R. Sojak, *Paradoks antropologiczny*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2004, s. 233–266; E. Bińczyk, *Obraz, który nas zniewala*, Universitas, Kraków 2007, s. 189–250; K. Abriszewski, *Poznanie, zbiorowość, polityka. Analiza teorii aktora-sieci Bruno Latoura*, Universitas, Kraków 2008; A.W. Nowak, *Podmiotowość, system, nowoczesność*, UAM, Poznań 2011, s. 185–227; Ł. Afeltowicz, *Modele, artefakty, kolektywy*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2012.

³⁹ A. Mol, *The Body Multiple: Ontology in Medical Practice*, Duke University Press, Durham 2002, s. 13.

⁴⁰ Por. B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowocześni. Studium z antropologii symetrycznej*, przeł. M. Gdula, Oficyna Naukowa, Warszawa 2011, s. 25–72.

pierwszy rzut oka, związek pomiędzy (dla przykładu) pobudzeniem ośrodkowego układu nerwowego do produkowania dopaminy czy serotoniny a społeczną modą na leki typu Adderall czy Prozac. Jedynie zasypanie przepaści pomiędzy tym, co naturalne (*disease*), a tym, co społeczne (*sickness*), umożliwi uchwycenie istoty procesu poszerzania logiki medycznej, który podobnie jak opisywane przez Latoura płodzenie hybryd idzie w poprzek rozróżnienia na naturę i kulturę. Wyrazem zniesienia tej dychotomii powinno być, jak sądzę, zwrócenie się socjologów ku obszarowi, z którego sami się wykluczyli, czyli obszarowi biologicznej wiedzy na temat funkcjonowania ludzkiego organizmu. Perspektywa, którą przyjmuje teoria aktora-sieci, umożliwi taki ruch.

Uświadomienie sobie hybrydycznego charakteru zjawisk związanych ze współczesnym postępem technologicznym kieruje nie tylko ku zainteresowaniu wiedzą specjalistyczną, ale otwiera również inne, ciekawe obszary analizy. Wynika to z postulowanej przez ANT rozszerzonej definicji sprawstwa. Dla teorii aktora-sieci pytania typu „kto działa i w jaki sposób” są pytaniami zasadniczymi dla wyjaśniania specyfiki pojawiających się hybryd. Odpowiedzi nie kierują jednakże tylko w stronę natury (np. biologia określa etiologię chorób) bądź społeczeństwa (np. człowiek tworzy choroby). Atrybut działania w świetle ANT przysługuje również tzw. czynnikom pozaludzkim⁴¹.

W przypadku biomedycyzacji jako czynnik pozaludzki determinujący jej dynamikę określić należy standardy, za pomocą których lekarze dokonują diagnozy swoich pacjentów. Weźmy przykład chorób psychicznych, których definicje znajdziemy w tzw. podręcznikach diagnostycznych. Stanowią one dla lekarzy praktyczne narzędzia pozwalające oszacować stan zdrowia pacjenta – zawierają nie tylko charakterystykę choroby, ale również opis jej symptomów. Wskazuje się, że zmiany w podręcznikach diagnostycznych w dużej mierze przyczyniają się do procesu biomedycyzacji⁴². Perspektywa teorii aktora-sieci pozwala na podkreślenie roli odgrywanej w kształtowaniu współczesnych definicji choroby przez określony zestaw standardów, jakim jest podręcznik diagnostyczny⁴³. Jest on z tego punktu widzenia aktorem, czyli pełnoprawnym elementem działającym i przekształcającym, a zatem współkonstituującym zjawisko, jakim jest definicja choroby.

W tym momencie powinno już być jasne, że teoria aktora-sieci stara się nie redukować zjawisk do jednej metaprzyczyny mającej na celu wyjaśnić wszystkie aspekty danego problemu. Rzeczywiście – badacze spod znaku ANT postulują, aby myśleć o badanych bytach jako o zbiorze dynamicznych relacji⁴⁴. Z tej perspektywy biomedycyzacja to zbiór hetero-

⁴¹ Por. B. Latour, *Where Are the Missing Masses? The Sociology of a Few Mundane Artifacts*, [w:] W.E. Bijker, J. Law (red.), *Shaping Technology/Building Society: Studies in Sociotechnical Change*, MIT Press, Cambridge, MA 1992, s. 225–258; K. Abriszewski, *Rzeczy w kontekście Teorii Aktora-Sieci*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie. Humanistyka wobec materialności*, Instytut Filozofii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 2008, s. 103–129.

⁴² Por. R. Mayes, A.V. Horvitz, *DSM-III and the Revolution in the Classification of Mental Illness*, „Journal of the History of Behavioral Sciences” 2005, nr 41, s. 249–267.

⁴³ Por. M. Wróblewski, *Polityka standardów. Konstruowanie pola obiektywności w diagnostyce psychiatrycznej na przykładzie DSM-III*, „Kultura i Edukacja” 2012, nr 4, s. 64–87.

⁴⁴ Por. E. Bińczyk, *Antyesencjalizm i relacjonizm w programie badawczym Bruno Latoura*, „Er(r)go” 2005, nr 1, s. 91–101.

genicznych praktyk, które tworzą dynamiczną i relacyjną sieć w postaci jednostki chorobowej. Wymagają one ponadto działań podtrzymujących. Choroba to zjawisko powstające na przecięciu praktyk laboratoryjnych, celów koncernów farmaceutycznych, działań instytucji publicznych i organizacji pozarządowych. Choroba to zjawisko mobilizujące elementy tradycyjnie przyporządkowywane naturze (fizjologia mózgu, budowa genetyczna i neuroanatomiczna), zaplecze infrastrukturalne (narzędzia laboratoryjne, komputerowe bazy danych), interesy (ekonomiczne, publiczne, a niekiedy również narodowe⁴⁵), a także wartości czy znaczenia. Choroba to wreszcie zjawisko, które z jednej strony wymaga wszystkich powyższych zasobów, aby móc trwać w obszarze tego, co społeczne, z drugiej zaś podlega bezustannym zmianom i przekształceniom⁴⁶.

Bruno Latour w książce *Splatając na nowo to, co społeczne* wskazuje, że skupianie się na ruchach translacji (a zatem na działaniu, przekształcaniu, zmianie itp.) jest czymś, czego próżno szukać w tradycyjnej socjologii⁴⁷. Przyjmuje ona bowiem istnienie składających się na społeczeństwo elementów (grupa społeczna, stratyfikacja, działanie, wartości, normy), które traktowane są jako dane i w związku z tym stają się pierwszą przyczyną wyjaśnianych fenomenów. Jeżeli przypomnimy sobie raz jeszcze charakterystyczny dla socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby podział na *disease* i *sickness*, to dostrzeżemy dokładnie ten typ redukcjonizmu. Zgodnie z nim choroba to przede wszystkim społeczne doświadczanie choroby (wariant fenomenologiczny), wynik czynników społecznych (stres, deprywacja ekonomiczna, złe warunki pracy – wariant socjosomatyczny), skutek działań instytucji medycznych (wariant funkcjonalistyczny i jego odmiany), przedmiot społecznych negocjacji i etykietkowania (wariant interakcjonizmu symbolicznego). Jeżeli teraz cofniemy się jeden akapit wcześniej, gdzie określiliśmy chorobę jako byt relacyjny, to musimy stwierdzić, że perspektywa socjologii medycyny oraz socjologii zdrowia i choroby przyjmuje zupełnie inny punkt widzenia, ponieważ bada jedynie niektóre aspekty choroby. Co więcej, skupianie się na wymiarze społecznym kieruje badaczy jedynie ku tym elementom, które już zostały „skonstruowane”. Z punktu widzenia tych dyscyplin niezbyt interesujące są praktyki mające na celu stworzenie definicji choroby, która dopiero po określonych zabiegach stabilizacyjnych może uzyskać obiektywność i w takiej formie wejść w obszar społecznej zbiorowości. Perspektywa teorii aktora-sieci pozwala na cofnięcie się o kilka kroków wcześniej, by zaobserwować, jak fenomeny uzyskują swoją formę, jak nabierają

⁴⁵ Przykładem mobilizowania interesu narodowego na szczeblu państwowym jest decyzja minister zdrowia Ewy Kopacz z 2009 roku o niezakupieniu szczepionek na chorobę A/H1N1. Ten dość radykalny w tamtym czasie gest określił stosunek polskiego państwa do trwającej wówczas paniki moralnej wokół domniemanej pandemii grypy i tym samym zdeterminował definicję instytucjonalną choroby – A/H1N1 nie została ujęta, jak to się stało w innych europejskich krajach, jako gwałtowne zagrożenie dla zdrowia publicznego, lecz jako sezonowe zagrożenie. Z kolei z punktu widzenia koncernów farmaceutycznych, które były zainteresowane sprzedażą swoich szczepionek, zachowanie minister Kopacz oznaczało porażkę w ustabilizowaniu definicji A/H1N1 jako poważnego niebezpieczeństwa.

⁴⁶ Przykładem może być choroba ADHD. Początkowo było to schorzenie dotyczące jedynie dzieci. Z czasem zaczęto diagnozować również nastolatków, a od lat 90. także dorosłych (por. P. Conrad, D. Potter, *From Hyperactive Children to ADHD Adults*, „Social Problems” 2000, vol. 47, nr 4).

⁴⁷ Por. B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne*, *op. cit.*, s. 5–28.

cech, które dopiero później zaczną określać wszystkie zjawiska badane przez socjologię medycyny oraz socjologię zdrowia i choroby.

Ów moment wyłaniającego się ładu, tworzącej się jedności, „orkiestrowania” heterogenicznych czynników jest najbardziej interesujący dla ANT⁴⁸. Jednakże ruch łączenia nigdy nie przebiega gładko i bez problemów. Właśnie dlatego tak ważne miejsce zajmują w teorii aktora-sieci analizy kontrowersji i momentów niepewności. Latour pisze, że „kontrowersje (...) są dla badacza podstawowym zasobem umożliwiającym wyśledzenie powiązania społecznego”⁴⁹. Są to bowiem momenty przesądzające o kształcie danego zjawiska, które dopiero po odpowiednim ustabilizowaniu zostaje ukryte za zasłoną obiektywności. Jest to zabieg nazwany przez Latoura „oczyszczaniem hybrydy”⁵⁰ bądź „domykaniem czarnej skrzynki”⁵¹. Pierwszy termin łączy się z tym, co powiedzieliśmy na temat Nowoczesnej Konstytucji. Oddzielenie tego, co naturalne, od tego, co społeczne, ma za zadanie stworzyć taką definicję innowacji technologicznej czy teorii naukowej, aby jawiły się one jako wynik odkrywania naturalnych i ustanowionych bez ingerencji człowieka praw. Innymi słowy, ów gest separujący ma za zadanie stworzyć wizerunek nauki, zgodnie z którym nie nawiązuje ona żadnych ważnych relacji z tym, co społeczne (ani proces wytwarzania wiedzy nie jest determinowany przez społeczeństwo, ani społeczeństwo nie jest w istotny sposób określane przez produkty nauki). Zgodnie z drugim terminem ustabilizowany fakt jest zamykany w czarnej skrzynce po to, aby ukryć jego heterogeniczność, a w związku z tym, aby jawił się jako synonim pewności, niewątpliwalności i nieproblematiczności. Wiemy jednakże, że Nowoczesna Konstytucja jest fikcją, gdyż produkowane w laboratoriach byty mają charakter hybrydyczny. Z kolei czarne skrzynki „nigdy nie zostają w pełni domknięte czy odpowiednio zaciśnięte”⁵², zawsze można zajrzeć, co znajduje się w środku.

W przypadku biomedycyzacji kontrowersje i elementy problematyczne łączą się w zasadzie z dwoma rodzajami zagadnień. Pierwszy dotyczy wspomnianych już nowych obszarów wytwarzania niepewności i ryzyka – chodzi o uboczne skutki terapii farmakologicznych, drugi natomiast dotyka problemów politycznych w szerokim tego słowa znaczeniu – tutaj należałoby wymienić takie zjawiska jak: interesy ekonomiczne koncernów farmaceutycznych (które wskutek poszerzania zakresu dyskursu medycznego tworzą nowe rynki zbytu), naciski grup interesu (począwszy od sprzyjających koncernom polityków poprzez różnego rodzaju aktywistów), działania władz państwowych. Z tej perspektywy biomedycyzacja łączy się z całym wachlarzem zabiegów, które na pierwszy rzut oka nie mają żadnego związku ze światem medycyny, niemniej jednak stanowią ważne ogniwa w tworzeniu się translacyjnych sieci. Nie czas i miejsce na dokładną analizę tych zakulisowych wymiarów działania współczesnej opieki zdrowotnej, warto jednak podać garść przykładów. Chyba

⁴⁸ Por. J. Law, *Notes on the Theory of the Actor-Network: Ordering, Strategy and Heterogeneity*, „Systems Practice” 1992, nr 5, s. 379–393.

⁴⁹ B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne*, *op. cit.*, s. 44.

⁵⁰ Por. *idem*, *Nigdy nie byliśmy nowocześni...*, *op. cit.*, s. 21–24.

⁵¹ Por. *idem*, *Science in Action: How to Follow Scientists and Engineers through Society*, Harvard University Press, Cambridge 1987, s. 1–7.

⁵² M. Callon. B. Latour, *Unscrewing the Big Leviathan...*, *op. cit.*, s. 265.

najbardziej dobitnym jest zjawisko *ghostwritingu*⁵³. Koncerny farmaceutyczne opłacają naukowców zajmujących się etiologią chorób oraz badaniem skuteczności lekarstw, by ci publikowali pod własnym nazwiskiem napisane wcześniej artykuły. Są one całkowicie zbieżne z interesami koncernów. Publikuje się je w najważniejszych czasopismach medycznych. Innym przykładem kontrowersji i zakulisowych wymiarów działania współczesnej medycyny jest ingerencja polityczna. Przykładem może być wspomniana już przeze mnie debata wokół HIV/AIDS. Była ona współtworzona w dużej mierze przez aktywistów gejowskich, w których interesie było jak najszybsze wprowadzenie na rynek lekarstwa na AIDS⁵⁴.

Socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby w przeważającej większości przypadków nie problematyzują kwestii kontrowersyjnych, nie przyglądają się zakulisowym wymiarom biomedycyzacji. Jeszcze rzadziej natomiast łączą takie zjawiska jak działania koncernów farmaceutycznych czy władz państwowych z innymi zjawiskami. Analizując kontrowersje, bardzo łatwo bowiem popaść w uproszczenia i badania spod znaku „tropienia teorii spiskowych”. Teoria aktora-sieci, postulując relacyjne myślenie o badanych przez siebie zjawiskach, pozwala zarówno patrzeć na wymiary zakulisowe, jak i dostrzegać ich systemowy, strukturalny charakter. ANT unika, jak sądzę, zbytniego redukcjonizmu, lecz zarazem nie odwołuje się do gorączkowego poszukiwania tanich sensacji.

Powiedzieliśmy, że socjologia medycyny oraz socjologia zdrowia i choroby w niewystarczającym stopniu uchwytyją technonaukowy wymiar biomedycyzacji, gubią jej heterogeniczny wymiar, a także nie dostrzegają obszarów ryzyka i kontrowersji. Powyższe szkieletowe opisanie kilku elementów z bogatego repertuaru teorii aktora-sieci jest dobrym uzupełnieniem tych dziedzin nauk społecznych, które zajmują się medycyną i zdrowiem. Chodzi o: przyjęcie relacyjnego i hybrydycznego sposobu myślenia o zjawiskach społecznych, poszerzenie definicji sprawstwa oraz szczególne zainteresowanie kontrowersjami i momentami problematycznymi.

Zakończenie

Celem niniejszego artykułu, jak już wspominałem, nie jest dyskredytowanie bogatego dorobku dwóch interesujących mnie subdyscyplin socjologii. Socjologowie medycyny oraz zdrowia i choroby zdążyli spłodzić wiele ciekawych analiz, skonstruować bogatą siatkę pojęciową, a także ukonstytuować nowy obszar badawczy. Niemniej jednak zmieniająca się dynamicznie sytuacja współczesnej medycyny rzuca badaczom społecznym nowe wyzwania. Jednym z nich jest napędzana przez technonaukę biomedycyzacja. Wyzwanie to ma charakter w tej samej mierze metodologiczny, co polityczny. Problemem staje się bowiem to, jak badać nieustannie rozszerzający się dyskurs medyczny. Jakie narzędzia zastosować, aby ująć dynamikę i kompleksowość biomedycyzacji? Jednocześnie rozwój medycyny, wspomagany przez genetykę i neuronauki, tworzy nowe obszary niepewności. Jak z tej

⁵³ Por. D. Healy, *Shaping the Intimate: Influences on the Experience of Everyday Nerves*, „Social Studies of Science” 2004, nr 34 (2), s. 219–245; P. Polak, *Nowe formy korupcji...*, *op. cit.*, s. 158–164.

⁵⁴ Por. S. Epstein, *Impure Science...*, *op. cit.*, s. 235–264.

perspektywy szacować ryzyko wprowadzania nowych leków? Jakie działania systemowe są konieczne, aby medycyna nie generowała wypadków i patologii? Choć badacze nie są politykami, to bezsprzecznie zainteresowanie tymi miejscami, w których wytwarzane są główne czynniki determinujące chorobowość, sprawia, że ciąży na nich odpowiedzialność za opisanie i zrozumienie wszystkich zagadnień związanych z pojawianiem się medycznych hybryd. Innymi słowy – badacze powinni monitorować proces biomedycyzacji, wskazywać na momenty kontrowersyjne, dostrzegać systemowe i strukturalne uwikłania.

Postulowanym tutaj słownikiem, który będzie w stanie podjąć to wyzwanie, jest teoria aktora-sieci. Stanowi ona ogólną ramę myślenia, teoretyczny „futurał”, który nie wyklucza inspiracji z innych obszarów nauk społecznych. Bardziej jako platforma badawcza, niż zestaw konkretnych technik, stanowi idealne dopełnienie wielu poddziedzin wiedzy o kulturze i społeczeństwie. W tym sensie zderzenie z sobą teorii aktora-sieci oraz socjologii medycyny i socjologii zdrowia nie ma na celu dyskredytowania tych ostatnich. Metafora podszycia użyta w tytule wskazuje raczej na uzupełnienie nowymi założeniami (z których wiele ma charakter filozoficzny), a także wskazanie na pomijane, aczkolwiek bardzo ważne dla współczesnej medycyny zjawiska.



Aleksandra Derra

Molekularne poskramianie lęków, czyli o płci konstruowanej genetycznie¹

To oczywiste, że strategie rynkowe opierają się na wierze ludzi w to, że jesteśmy zdeterminowani genetycznie.

Linda McCabe, Edward McCabe

Molecular Repressing of Fears That Is about Sex Which Is Genetically Constructed

Abstract: The author considers the way contemporary genetics employs the notion of the gene. She studies its history and contemporary senses, being especially interested in how genetics defines sex. She presents the history of seeking for genetically defined masculinity pointing out how it has established oversimplified model of the phenomenon of biological sex. She underlines the role of feminist critiques in developing less narrow-minded views of sex in biology.

The author shows that biology and especially genetics has promised to resolve doubts concerning human nature and the nature of sexes. Making this kind of promises can be interpreted as a special way of dealing with human fears which have appeared together with development of contemporary science and modern technologies and its impact on the world. It concerns especially fears of the interventions in natural environment and applications of the results of the research in genetics to medicine, both of which change the society and its values. When genetics has promised to find causal correlations between given genes and organisms' properties, it was supposed to explain the source of diseases or even human personalities or specific social relations. Unequivocal explanations were needed to calm us down, to reduce fears, to allow us to state that this is how we are "by nature" made. As it turned out genetics was not able to fulfilled these promises for as the author is going to show, its objects of studies are more complex and complicated than the genetics have assumed.

Key words: gene, genetics, gender, history of genes, sex genes (SRY, DAX1), feminist approach to science

Nauki biologiczne, w tym genetyka na różnych etapach swojego rozwoju, obiecywały znaleźć odpowiedzi na ważne z punktu widzenia filozofii pytania, w tym najważniejsze, dotyczące tajemnicy życia, ludzkiej natury oraz płci. Otwarcie deklarowały, że celem ich badań jest poszukiwanie istoty ludzkiego życia, czyli tego, co sprawia, że jesteśmy ludźmi,

¹ Artykuł ten jest skróconą i zmodyfikowaną wersją jednego z rozdziałów książki Aleksandry Derry *Kobiety (w) nauce. Problem płci we współczesnej filozofii nauki i w praktyce badawczej*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2013.

ale także (jednoznacznie) kobietą lub mężczyzną. Pisze o tym wprost wielu znamienitych genetyków, choćby Hermann J. Muller, student Thomasa Morgana, który określił gen jako podstawę życia, oraz powszechnie znany James Watson, który potraktował DNA jako klucz do odkrycia sekretu bądź tajemnicy życia². Badania biologii w znacznej mierze koncentrują się wokół problematyki płci. Jak przekonuje Mark Henderson: „Płeć to królowa problemów w biologii ewolucyjnej. Prawdopodobnie żadne zjawisko naturalne nie wzbudza takiego zainteresowania, na pewno żadne nie wywołuje tylu wątpliwości”³. Znacząca obecność języka genetyki w myśleniu potocznym również nie jest przypadkowa. Kategoria genu jest kategorią oswojoną, stała się częścią popularnego dyskursu na temat człowieka i jego właściwości. Przymiotnik „genetyczny” czy przysłówek „genetycznie” są używane wielokrotnie poza kontekstem ściśle naukowym, w prasie popularnonaukowej, podręcznikach dla laików itd.; zdecydowanie najczęściej stosowane są w odniesieniu do chorób, zachowań, cech, właściwości. W niniejszym artykule przyglądam się sposobowi, w jaki współczesna genetyka używa pojęcia genu, badam jego znaczenie i historię, analizuję poszukiwanie genetycznie zdefiniowanej męskości, czy szerszej płci. Biologowie i genetycy od samego początku obiecywali, że dzięki wynikom, jakie uzyskają, można będzie naprawić i poprawić społeczeństwo. Nic dziwnego zatem, że zarówno przypisywanie genom mocy przyczynowych, jak i próby ujednoznacznienia płci służą realizowaniu szerszych celów: ujednoczeniu definicji człowieka, ściślemu dookreśleniu biologicznego wyposażenia człowieka (a dalej odróżnieniu go od tego, co społeczne czy kulturowe, a tym samym zmiennie i odwracalne), zredukowaniu złożoności opisu tak, by znaleźć remedium na określone „bólączki” społeczne. Historia pojęcia genu pokazuje nieomal postpozytywistyczną tęsknotę za uzyskaniem naukowego, napisanego jednorodnym językiem biologii, opisu istoty człowieka zlokalizowanej we współczesnym *arche*, jakim miałyby być gen (nazywano to podejście genetycznym determinizmem). Niewątpliwym sukcesem biologii jako dyscypliny naukowej polega na tym, że zredukowała ona obiekt swoich badań do najbardziej elementarnego poziomu molekularnego, ignorując wpływ innych heterogenicznych czynników. Częściowo tłumaczy to wpływ, jaki uproszczony obraz genu miał na kształtowanie się zdroworozsądkowych przekonań na temat natury człowieka (w tym jego zdrowia, ale również źródeł jego zachowania), a także na podejmowanie określonych działań politycznych czy ekonomicznych z tym związanych (regulacji prawnych, kształtowania polityki społecznej, zdrowotnej, demograficznej).

Współczesna nauka przyczyniła się do szybkiego rozwoju nowoczesnych technologii, wprowadzających w obręb zbiorowości wiele innowacji, które w zamierzeniu miały ułatwić ludziom życie czy przyczynić się do zwiększania dobrostanu ludzkości. Innowacje te jednak, ingerując w środowisko naturalne czy przyczyniając się do przekształcenia dotychczasowych relacji, wywołują wedle wielu badaczy rozliczne obawy i lęki⁴ – od najbardziej uza-

² J. Watson, *Podwójna spirala. Relacja naoczna o wykryciu struktury DNA*, przeł. W. Zagórski, Wiedza Powszechna, Warszawa 1975, s. 181; J. Watson, A. Barry, *DNA. Tajemnica życia*, przeł. J. Turkowska, P. Turkowski, W.A.B., Warszawa 2005, s. 49.

³ M. Henderson, *50 teorii genetyki, które powinieneś znać*, przeł. K. Tońska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 31.

⁴ O ryzyku systemowym związanym z ubocznymi efektami działania technonauki pisze Ewa Bińczyk w piątym rozdziale swojej książki. Zob. E. Bińczyk, *Technonauka w społeczeństwie ryzyka. Filozofia wobec*

sadnionych do skrajnie technofobicznych. Dotyczy to także biologii molekularnej i genetyki oraz zastosowań ich badań, choćby w medycynie. W swoim artykule będę przekonywać, że składając obietnice rozwiania wszelkich wątpliwości co do natury człowieka czy płci, biologowie w punkcie wyjścia swoich badań podjęli próbę poskromienia wspomnianych lęków, zwłaszcza lęków przed nieznanym, niedookreślonym, wieloznacznym. Genetyka, obiecując odkryć przyczynowe zależności między danymi genami a właściwościami organizmów, miała ostatecznie wyjaśnić nie tylko źródło chorób, ale także ludzkich osobowości czy specyfikę relacji społecznych. Jednoznaczne wyjaśnienia miały nas uspokoić, zniwelować lęki, pozwolić przyznać, że tacy właśnie jesteśmy „z natury”. Pokażę, że genetyka nie mogła tych nadziei spełnić, odkryła bowiem, iż badane przez nią obiekty są bardziej skomplikowane i złożone, niż się wcześniej wydawało.

Co to znaczy, że geny działają?

Pytania ontologiczne nie zawsze mają uzasadnienie poza filozofią. Inaczej jest jednak w przypadku interesującego mnie tutaj problemu wpływu języka na wyznaczanie własności „obiektów”, o których język ów mówi. W dyskursie, zarówno popularnym, jak i naukowym, posługujemy się pojęciem genu, przypisując mu moce przyczynowe (gen coś robi, gen działa, gen wpływa na etc.). Bez wątpienia liczni współcześni biologowie molekularni, choćby William M. Gelbart, zdają sobie sprawę, że gen nie jest rodzajem prostego elementu, który determinuje złożone własności organizmu. Wiedzą także, że sama znajomość wszystkich genów w genomie nie wystarcza do zrozumienia procesów zachodzących w żywym organizmie funkcjonującym w określonym środowisku. Potrzeba tutaj podejścia systemowego, w którym uwzględnia się wiele heterogenicznych czynników, w tym relacje pomiędzy poszczególnymi elementami⁵. Wydaje się, że poglądy te można znaleźć tylko w opracowaniach specjalistycznych. Zarówno w podręcznikach do genetyki, jak i w publikacjach popularnonaukowych raczej powiela się przeświadczenia o jednoznacznej przyczynowej mocy genów w kształtowaniu cech organizmu i ich jednoznacznej roli w dziedziczności. Przez długi okres tworzenia się współczesnej biologii molekularnej biologowie poszukiwali własności genów i dobrego dla nich określenia; w powszechnym przekonaniu stał się on realnie istniejącym obiektem, niepodważalnym kawałkiem naszej rzeczywistości⁶. Bez odpowiedniego języka gen jako substancja czy jako rzecz nie mógłby się ukonstytuować. Samo użycie rzeczowników na jego określenie, których poszukiwali pierwsi genetycy (zob. poniżej), nie jest tutaj przypadkowe. Współtworzą one spójność, stałość, jednolitość i uni-

niepożądanym następstw praktycznego sukcesu nauki, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2012, s. 215–271.

⁵ E. Fox Keller, *The Century Beyond the Gene*, „Journal of Biosciences” 2005, vol. 30 (1), s. 3–10 (przekład: *Czas wykraczania poza gen*, „Avant. Pismo awangardy filozoficzno-naukowej” 2013, nr 1, s. 217–233).

⁶ Najlepszym przykładem tego, z jaką siłą został zinternalizowany język, w którym używa się słowa „gen” czy „genetyczny”, są zdania, w których wyrażamy przekonania o swoich własnych uwarunkowaniach (typu: „To u mnie genetyczne”, „Takie mam dobre/złe geny”). Język ten przypomina w swojej wymowie dyskurs, w którym określone rozstrzygnięcia dokonywały się za pomocą karmy, opatrności czy losu.

wersalność obiektu, który nazywają. Dookreślają jego swoisty status ontologiczny, który współtworzy dynamikę prowadzonych badań i wyznacza ramy językowe, w jakich się go analizuje. Tym ciekawsze wydaje się to, że ta z trudem i po długim czasie uzyskana stabilność zaczyna chwiać się w obliczu wyczerpywania się paradygmatu deterministycznego w obrębie samej biologii, co jest jeszcze słabo widoczne w dyskursie popularnym.

James Watson i Francis Crick, kiedy pisali o swoim odkryciu podwójnej spirali DNA, posługiwali się terminem informacja na określenie „tego czegoś, co” przekazuje dane genetyczne potrzebne do rozwoju całego organizmu. Samym użyciem tego terminu zasugerowali, że DNA funkcjonuje jako kod linearny. Zrobili to, mimo że już wtedy wiadomo było, iż takie techniczne rozumienie nie wystarcza do opisu informacji biologicznej. Takie sformułowanie tego pojęcia miało ogromny wpływ na sposoby rozumowania, określania celów czy projektowania doświadczeń w całej późniejszej genetyce⁷. Dość często można przeczytać, że powyżsi badacze „(...) pokazali, w jaki sposób d z i a ł a j ą geny”⁸. Jak dokładnie określa się współcześnie owo coś, co działa? Podręczniki do genetyki definiują gen jako „(...) jednostkę informacji”, która „odpowiada określonemu segmentowi DNA kodującemu aminokwasową sekwencję polipeptydu”⁹. Podkreśla się jednak, że „w sensie fizycznym gen jest odcinkiem DNA o określonej sekwencji zasad”¹⁰, „(...) jest elementem materialnym – fragmentem DNA”¹¹. W próbach unaocznienia czy zobrazowania tego, czym są geny, pojawiają się także uwagi, że „(...) geny są jakby barwnymi plamami” na chromosomach¹². Geny są informacją, odcinkiem DNA, plamką. Pozostaje zatem pytanie, w jaki sposób „coś robią”. Kiedy posłużymy się najprostszą i najpopularniejszą definicją genu jako sekwencji nukleotydów DNA, okaże się, że sama ta sekwencja nic nie jest w stanie zrobić, bowiem DNA jest molekułą nieczynną chemicznie. Jej działanie musi się odbywać za pośrednictwem innych czynników i mechanizmów, z czego zresztą genetycy dobrze zdają sobie sprawę, powtarzając tzw. centralny dogmat biologii molekularnej. Dogmat ten opisuje relacje w trójkącie DNA–RNA–białko i zgodnie z nim informacja genetyczna w komórce jest przekazywana tylko w jednym kierunku: od DNA poprzez RNA i dalej do białka¹³. Udzielając odpowiedzi na pytanie, czym jest gen, zgodnej ze współczesną wiedzą, musielibyśmy odpowiedzieć, że nie możemy traktować go jako bytu całkowicie autonomicznego, istniejącego niezależnie od wszystkiego innego, na swoich własnych prawach, które można zbadać. Biolog molekularny Lee M. Silver sugeruje, że gen – tak jak się go traktuje w tradycji Mendla, czyli jako jednostka dziedziczności – z perspektywy współczesnych badań

⁷ E. Fox Keller, *Refiguring Life: Metaphors of Twentieth-Century Biology*, Columbia University Press, New York 1995, s. 19.

⁸ M. Henderson, *50 teorii genetyki...*, *op. cit.*, s. 41.

⁹ P.C. Winter, G.I. Hickey, H.L. Fletcher, *Genetyka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2004, s. 7.

¹⁰ A. Sadakierska-Chudy, G. Dąbrowska, A. Goc, *Genetyka ogólna. Skrypt do ćwiczeń dla studentów biologii*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2004, s. 13.

¹¹ A. Jerzmanowski, *Geny i życie. Niepokoje współczesnego biologa*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 180.

¹² A. Sadakierska-Chudy, G. Dąbrowska, A. Goc, *Genetyka ogólna...*, *op. cit.*, s. 17.

¹³ P.C. Winter, G.I. Hickey, H.L. Fletcher, *Genetyka*, *op. cit.*, s. 7.

jest czymś fikcyjnym¹⁴. Funkcjonuje on dzięki impetowi narracji w genetyce i wiąże się z całą spuścizną myślenia o mechanizmach biologicznych, która jest w nią wpisana. Sposób używania analizowanego pojęcia pośrednio przyczynił się do tego, że gen może oznaczać niemal wszystko, zatem i nic. Wydaje się, że o ile biologowie wiedzą, co rozumieją przez określenie DNA, o tyle nie wiedzą już, co kryje się za pojęciem genu. Jego rola zarówno w ewolucji, jak i w rozwoju organizmów okazała się dramatycznie bardziej złożona, niż wyobrażali sobie to wszyscy twórcy genetyki razem wzięci. Zważywszy zaś na wielość czynników i rodzaj złożoności, dookreślając gen, nie powinniśmy się posługiwać rzeczownikami, a raczej, o ile to możliwe, czasownikami – podkreślając jego procesualność, zmienność, zdolność adaptacji etc.¹⁵

Nie ulega dzisiaj wątpliwości, iż termin „gen” rozumiany jest różnie w odmiennych od siebie tradycjach uprawiania genetyki, istniejących w niej szkołach rozumienia dziedziczności. Rozmycie znaczenia tej kategorii, fikcyjny status obiektu, do którego nazwa „gen” miałyby się odwoływać, liczebność i złożoność elementów wpływających na procesy zachodzące na poziomie molekularnym mogłyby skłaniać do sformułowania wniosku, że praktyka laboratoryjna genetyki staje się z tego względu niemożliwa. Wspominany już efekt ujednolicenia kategorii genu, wciąż widoczny w myśleniu potocznym i w pracach popularnonaukowych, częściowo bierze się stąd, że działania biologów motywowało historycznie uzasadnione poszukiwanie istoty organizmu żywego oraz życia samego (o czym poniżej) z czasów, kiedy biologia konstituowała swoją tożsamość jako odrębna dziedzina badawcza. Jeśli jest ona nauką o życiu i chce odkrywać jego tajemnice, to zasadnie można stwierdzić, że na początku XXI wieku zaczyna nieśmiało przyznawać, iż badany obiekt nie bardzo nadaje się do formułowania ścisłych praw i tworzenia jednoznacznych definicji. Jak przyznaje jeden ze znakomitych polskich popularyzatorów genetyki w Polsce – Andrzej Jerzmanowski: „Jeśli ktoś domaga się od nas, biologów, sformułowania filozofii życia, proszę, oto ona: brak idealnych wzorców, nieograniczona różnorodność form i rozmaite rozwiązania tych samych problemów, oportunizm, działanie *ad hoc*, majsterkowanie, czyli wykorzystywanie tego, co jest pod ręką, trwanie za wszelką cenę i zasada indywidualnej korzyści”¹⁶.

O pojęciu genu z perspektywy historycznej

Historia genu to historia poszukiwania dobrego terminu i właściwego dookreślenia zjawiska, które dostrzeżono dosyć dawno. W 1884 roku szwajcarski botanik Carl Wilhelm von Nägeli (1817–1891) w swojej książce *Mechanisch-physiologische Theorie der Abstammungslehre* wprowadził pojęcie idioplazmy na określenie hipotetycznego przekaznika dziedzicznych właściwości organizmów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Rok wydania tej książki jest jednocześnie datą śmierci niedocenionego za życia prekursora ba-

¹⁴ Podają za: E. Fox Keller, *The Mirage of a Space between Nature and Nurture*, Duke University Press, London 2010, s. 76–77.

¹⁵ E. Fox Keller, *The Century Beyond the Gene*, *op. cit.*, s. 8.

¹⁶ A. Jerzmanowski, *Geny i życie...*, *op. cit.*, s. 188.

dań nad dziedzicznością Gregora Mendla (1822–1884), z którym Nägeli prowadził bardzo rozbudowaną korespondencję, ale o jego wpływie na własne badania nigdy nie wspomniał. Francis Galton (1822–1911), brytyjski badacz i twórca eugeniki, rozwijał swoją teorię dziedziczenia, zastanawiając się nad powiazaniami między naturą a wychowaniem (*nature versus nurture*). Odróżnienie to wprowadził on w swojej pracy *English Men of Science: Their Nature and Nurture* z 1874 roku, po raz pierwszy – jak się wydaje – niezwykle wyraźnie przeciwstawiając sobie te dwa źródła wpływów na charakterystykę organizmu. Na określenie materiału zarodkowego przekazywanego potomstwu, który mogą kształtować także określone wydarzenia z życia organizmu, wprowadził termin *stirp* (ang.: ‘surowiec’, ‘pochodzenie’, ‘rasa’). Był przekonany, że taki przekazywany potomstwu materiał składa się z grupy załazków (*germs*), która jest znacząco większa niż te ujawniające się w toku rozwoju organizmu. To znaczy, że u potomstwa mogą się ujawnić własności, które nie były widoczne u rodziców, niemniej rodzice byli ich „nosicielami”. Załazki bowiem mogą pozostawać w stanie „przedrozwojowym”, który w sprzyjających okolicznościach może się rozwinąć w stan dojrzały. Co ważne, Galton na szeroką skalę zastosował badania liczbowe i statystyczne, analizując sposób, w jaki określone cechy są dziedziczone w kolejnych pokoleniach. Przekonywał również, że każda z komórek czy większych całości najbardziej złożonego organizmu wywodzi się z pojedynczego, dającego się wyodrębnić załazka opisywanego materiału zarodkowego. Rozważania Galtona poprzedziły rozwijaną przez niemieckiego biologa Augusta Weismanna (1834–1914) teorię plazmy zarodkowej jako substancji dziedziczenia, która podtrzymuje ciągłość między pokoleniami. Weismann wyróżnił w organizmach wielokomórkowych komórki załazkowe, które zawierają informację odpowiedzialną za dziedziczenie niezależnie od oddziaływania środowiska, od komórek somatycznych, odpowiedzialnych za zwyczajne funkcje ciała danego organizmu. Z komórek załazkowych powstają komórki rozrodcze, zapewniając mu możliwość rozmnażania się, one też są bardzo ważne dla powstania nowych organizmów. Pobrzmiewa tutaj rozpowszechnione nieco później przekonanie o tym, że ciągłość pomiędzy pokoleniami jest zapewniona dzięki temu, co jest niezależne od jakichkolwiek czynników środowiskowych. Za jednego z pierwszych genetyków uznaje się holenderskiego botanika Hugo de Vriesa (1848–1935), który rozwijał zmodyfikowaną wersję Darwinowskiej pangenezy. Darwin uważał, że za dziedziczenie odpowiedzialne są konkretne, materialne, nierozwinięte zczątki (*gemmule*), wydzielane przez komórki określonych tkanek i całych narządów, które następnie są przekazywane potomstwu¹⁷. Vries na nowo odkrył wartość zapomnianych prac Gregora Mendla na temat dziedziczności, a w 1889 roku wprowadził do obiegu naukowego znajomo brzmiącą nazwę „pangeny”. W swoich wczesnych pracach opublikowanych we francuskim czasopiśmie „Comptes Rendus de l’Académie des Sciences” (1900) nie wspominał o tym, że wykorzystuje idee prekursora genetyki. Następnie pod wpływem krytyki zmienił to, wskazując na pierwszeństwo badań Mendla. Dowodził on, że istnieją odmienne nośniki dziedziczności dla różnych własności organizmów, pokazywał także, że za określo-

¹⁷ K. Darwin, *Dobór płciowy*, przeł. K. Zaćwilichowska, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 1960, s. 23.

ne ślady dziedziczenia odpowiedzialne są odrębne, materialnie rozumiane cząsteczki. Skróconą wersję nazwy „pangeny”, używaną do dziś, wprowadził w 1909 roku duński botanik i genetyk Wilhelm Johannsen (1857–1927) w swojej napisanej po niemiecku książce *Elemente der exakten Erblichkeitslehre*, i on również uchodzi za twórcę pojęcia genu. Trzy lata wcześniej po raz pierwszy publicznie użyto nazwy „genetyka” na określenie gałęzi wiedzy zajmującej się dziedziczeniem i zmiennością (różnorodnością) organizmów. Zrobił to brytyjski badacz William Bateson na Międzynarodowym Kongresie Botanicznym w Londynie, na którym poinformował, że powstała nowa gałąź fizjologii¹⁸. Termin „genetyka” wywodzi się z języka greckiego (*genno* [γεννώ] znaczy ‘urodzić się’, *genesis* [γένεσις] – ‘pochodzenie’), a jej zakres przedmiotowy wyznacza darwinowski sposób myślenia o dziedziczeniu własności organizmu.

Powyższa celowo skrócona i nazbyt uproszczona historia kategorii genu została przywołana nie tylko ze względu na interesujące sposoby tworzenia pojęć naukowych w rodzącej się nowej gałęzi biologii. Nadawanie nazwy wiąże się zawsze z przypisywaniem danemu fenomenowi określonych właściwości, które z kolei kształtują kierunek prowadzenia dalszych badań i formułowania celów. Co łączy kategorię idioplazmy z załączkami, plazmą zarodkową, zaczątkami Darwina, pangenami i genami? Przede wszystkim mają one charakter materialny, istnieją realnie jako jeden z najbardziej podstawowych budulców danego organizmu. Ponadto mają tę szczególną właściwość, że są nośnikiem określonej – nazwijmy to – informacji, która jest przekazywana kolejnym pokoleniom. Przypominają zarówno najbardziej podstawowe składniki materii, jak i filozoficznie rozumianą istotę rzeczy, bowiem nadają organizmom specyficzny tylko dla nich charakter, sprawiając, że ich rozwój przebiega w określonym kierunku. Badacze przyrody niemal od zawsze wiedzieli, że pewne cechy przechodzą z rodziców na dzieci. Metodą niezliczonych prób i błędów wykorzystywano tę wiedzę w hodowli, tworząc krzyżówki w rolnictwie. Nowa gałąź badania dziedziczości, jaką jest genetyka, postawiła sobie dużo ambitniejsze cele. Chce zlokalizować, co i w jaki sposób odpowiada za procesy dziedziczenia cech, a także rozpoznać, czy odbywa się to wedle jakichś prawidłowości. Badanie tego, czym jest życie w całej swojej złożoności, powoli zaczęło przekształcać się w pytanie o to, w jaki sposób z pojedynczej komórki może powstać złożony organizm? Co jest nośnikiem odpowiedzialnym za powstawanie tej złożoności? Lokalizując ten nośnik w idioplazmie, załączkach, plazmie zarodkowej, Darwinowskich zaczątkach, pangenach czy w końcu wspólnie w genach, redukujemy złożoność procesu rozwoju organizmu, upraszczając sobie zadanie badawcze. Biologia bierze tutaj przykład z metod wzorcowej nauki przyrodniczej, jaką jest fizyka. Jak pisze Keller: „Genetyka zaczerpnęła swoją strategię od fizyki poszukującej najprostszych elementów (...)”¹⁹, przejęła ideę redukcjonowania skomplikowanych systemów do najprostszych istotnych składników. Postępując w ten sposób, mogła dookreślić zadanie badawcze następująco: zbadaj geny, a odkryjesz mechanizmy rozwoju organizmu, poznając w ten sposób tajemnicę życia.

¹⁸ M. Henderson, *50 teorii genetyki...*, *op. cit.*, s. 16–17.

¹⁹ E. Fox Keller, *The Origin, History, and Politics of the Subject Called “Gender and Science”: A First Person Account*, [w:] S. Jasanoff, G.E. Markle, J.C. Peterson, T. Pinch (red.), *Handbook of Science and Technology Studies*, Sage Publications, London 1995, s. 81.

Powtórzmy: gen w takim ujęciu nie tylko jest najbardziej podstawowym materialnym składnikiem budującym organizmy (jak atom), ale co ważniejsze – niesie w sobie „siłę” ożywiająca organizm w charakterystycznej dla niego postaci. Ponadto działa w sposób nieprzypadkowy i dający się ująć w pewne reguły. Pobrzmiwia tutaj Kartezjańskie przekonanie o tym, że organizmy są rodzajem maszyny, poznajemy bowiem ich istotę, kiedy uchwycimy reguły ich funkcjonowania. Niemniej biologia staje się odrębną, dojrzałą nauką w wieku XX dzięki temu, że maszyny te zaczęto definiować nie jako fizyczne, ale chemiczne. Keller uważa, że dzięki tej zmianie oraz dzięki sposobowi dookreślania pojęcia genu powstał i rozwinął się w biologii dyskurs działa i g e n u, który później przeszedł także do myślenia potocznego. W dyskursie tym przypisano genowi swoistego rodzaju wszechmoc. Nie tylko działał, ale był sprawcą określonych zmian i przekształceń, ponadto jako byt autonomiczny był niemal niezależny od innych elementów. Ta twórcza i nośna metafora, obecna już w sformułowaniach przedwojennej nauki o dziedziczeniu, zmieniła bieg później rozwijanej genetyki i przyczyniła się do niezwyklego rozwoju klasycznej genetyki szkoły Morganowskiej z jej chromosomową teorią dziedziczności²⁰. Źródło sukcesu biologii molekularnej węgierski badacz, współwłaściciel patentu na reaktor atomowy, Leó Szilárd wyjaśnia następująco: „Jeśli sekrety istnieją, muszą dać się wyjaśnić. (...) to jest coś, czego nie mieli klasycy biologowie. Brakowało im wiary w to, że rzeczy dają się wyjaśnić – a ta wiara prowadzi do najważniejszych postępów w biologii”²¹.

Historia genu pokazuje, że obserwacja odmiennego (zmutowanego) wyglądu poszczególnych osobników tego samego gatunku zrodziła potrzebę wyjaśnienia, skąd się te zmiany biorą. Co sprawia, że występują? Badaczom przyświecało przekonanie, że za tę rozpoznawalną odmienność odpowiada coś, co da się zlokalizować, zbadać, ujednoznaczyć, mianowicie gen. Wszelkie zmiany przestały mieć charakter fenotypowy, zaczęto doszukiwać się w nich podłoża genetycznego²². Istnieją dwa problemy, w których rozwiązywaniu kategoria genu pojawia się nadzwyczaj często. Są to: etiologia chorób (w jaki sposób powstają choroby genetyczne i jak można im zaradzić?) oraz wrodzoność określonych właściwości danego organizmu (czy występowanie jakiejś cechy jest determinowane genetycznie, czy środowiskowo?), która ściśle wiąże się z problemem dziedziczenia oraz przywołanym podziałem na naturę i środowisko (wychowanie). W obu przypadkach wyraźnie widać, w jakim stopniu sposób używania języka konstytuuje rodzaj rozważanych problemów. Sytuacja wydaje się podobna do tej, kiedy stwierdzamy, że „geny coś powodują”, wiedząc, iż chemicznie „same z siebie” nie mogą zrobić nic. Jeśli zgodzimy się, że młody osobnik w jakimś sensie otrzymuje wszystkie cechy w spadku biologicznym po rodzicach (szerzej – po poprzednich pokoleniach), to zastanówmy się, co mówimy, stwierdzając, że coś jest dziedziczne. Keller twierdzi, że nie za wiele. Rozważmy jej przykład: „Mogę zadać pytanie o to, czy moje zdolności muzyczne (...) są dziedziczne, ale nie mogę zapytać, czy jest dziedziczność mo-

²⁰ E. Fox Keller, *Refiguring Life...*, *op. cit.*, s. 9–10

²¹ E. Fox Keller, *Secrets of Life, Secrets of Death: Essays on Language, Gender and Science*, Routledge, London–New York 1992, s. 43.

²² E. Fox Keller, *The Mirage of a Space...*, *op. cit.*, s. 43.

ich zdolności muzycznych (czy koloru włosów, rozmiaru lub innej cechy osobniczej)”²³. To, że jakaś cecha jest dziedziczna, nie oznacza jeszcze, że za jej dziedziczenie odpowiedzialny jest dający się z nią ściśle skonfigurować pojedynczy mechanizm czy zmienna. Pytając o związek przyczynowo-skutkowy, o to, w jaki sposób gen może „powodować” tę a nie inną odmienność czy chorobę, sugerujemy istnienie takiej współzależności. Funkcję, jaką pełni gen w wyrażeniu „gen powoduje chorobę X”, można objaśnić, przekształcając to wyrażenie w „gen powoduje różnicę X w fenotypie”. Wtedy jednak nie można genowi przypisać mocy wyjaśniającej. Jak przypomina Keller, pojęcia dziedziczności i dziedziczenia nie są tożsame. Pierwsze, używane potocznie, jest zdolnością do przenoszenia jakichś właściwości z rodziców na dzieci. Drugie to, ogólnie rzecz ujmując, własność dziedziczenia, jakość czy stan dziedziczenia, ale używane w językach specjalistycznych nie dotyczy już indywidualów, lecz populacji. Wprowadził je Jay Laurent Lush w 1936 roku, żeby pokazać pewną zmienną statystyczną dotyczącą grupy zwierząt. W tym znaczeniu dziedziczność (odziedziczalność) nie jest zmienną przyczynową, za którą zwykliśmy ją uznawać, ale statystyczną. To „(...) pewna miara podobieństwa dla spokrewnionych ze sobą osobników określona na podstawie ich wspólnych genów”²⁴. Dzisiaj biologowie mają świadomość, że zarówno czynniki genetyczne, jak i środowiskowe są niezbędne do tego, by mówić o rozwoju organizmu. Nader często zaś aktywność tych pierwszych jest możliwa dzięki tym drugim²⁵, a nie jedynie na odwrót. Niemniej rozróżnienie na naturę (biologię) i kulturę (wychowanie, środowisko) wciąż jest traktowane jako nieproblematyczne, tak jakbyśmy mieli do czynienia z dwiema łatwo dającymi się oddzielić domenami.

Geny płci. Genetyka w służbie ujednoczenia natury

W 1992 roku Międzynarodowy Komitet Olimpijski do spraw procedur weryfikujących płęć kobietą startujących w igrzyskach sportswomenek włączył test na obecność genu określającego mianem SRY. Skrót ten pochodzi od angielskiego wyrażenia *sex-determining region Y*, co dosłownie znaczy „determinujący płęć odcinek chromosomu Y”. Od niedawna wiadomo, że aby płęć dziecka była męska, potrzeba tego odcinka DNA, na którym znajduje się gen SRY, niekoniecznie całego chromosomu Y. SRY koduje białko odpowiedzialne za wytwarzanie jąder, które wydzielając testosteron, determinują płęć męską – jak zakładano – w sposób jednoznaczny. Tak zwane paszporty płci dla uczestniczek igrzysk olimpijskich wprowadzono w drugiej połowie XX wieku, co wiązało się z rozwojem technik medycznych testujących płęć²⁶. Procedury potwierdzania płci kobiecej były stosowane na igrzys-

²³ *Ibidem*, s. 59 (podkreślenie moje – A.D.).

²⁴ S. J. Gould, *Niewczesny pogrzeb Darwina. Wybór esejów*, przeł. N. Kancewicz-Hoffman, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999, s. 285.

²⁵ D. Kimura, *Płęć i poznanie*, przeł. M. Kamińska, PIW, Warszawa 2006, s. 13.

²⁶ Zob. historia udziału kobiet w igrzyskach olimpijskich: D. Myśliwy, *Kobiety na igrzyskach olimpijskich*, [w:] K. Slany, B. Kowalska, M. Ślusarczyk (red.), *Kalejdoskop genderowy. W drodze do poznania płci społeczno-kulturowej w Polsce*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2011, s. 369–382.

kach w latach 1968–1998, na innych imprezach lekkoatletycznych już od Mistrzostw Europy w Lekkoatletyce w Budapeszcie w 1966 roku, i miały przeciwdziałać maskulinizacji atletek, dzięki której mogły one uzyskiwać lepsze wyniki w dyscyplinach kobiecych. Polegały początkowo na ocenie „kobiecości” danej sportsmenki na podstawie wyglądu i badania ginekologicznego. Kolejno zastosowano pobieranie próbek wymazu ustnego na obecność ciałek Barra, uzasadniając to ich mniejszą inwazyjnością i zachowaniem godności badanych. Osobniki posiadające zapis chromosomalny XX posiadają jedno ciało Barra w każdej komórce ciała, a osobniki XY nie posiadają żadnych²⁷. Przeprowadzanie powyższych testów chromatyny płciowej zarzucono w latach 70. XX wieku, ponieważ były mało wiarygodne. Przykładowo dawały wynik pozytywny u kobiet o budowie chromosomalnej XY z zespołem całkowitej niewrażliwości na androgeny (*complete androgen insensitivity syndrome* – CAIS). Ponadto nie były w stanie wykryć wielu przypadków niestandardowych. Choćby mężczyzn o budowie chromosomalnej XX, kobiet z guzem jajników, który wytwarza testosteron, czy kobiet z wrodzonym przerostem nadnerczy (*congenital adrenal hyperplasia* – CAH) poddanych silnemu działaniu testosteronu we wczesnym rozwoju, co powoduje dużą maskulinizację płodu, ale zachowuje ich możliwości rozrodcze. Wywołały też liczne protesty i coraz częstszą samodyskwalifikację atletek uzyskujących wynik pozytywny. W 1967 roku na ich podstawie zdyskwalifikowano polską sprinterkę Ewę Kłobukowską za posiadanie dodatkowego chromosomu, dokładniej za niewłaściwą konfigurację chromosomów czy mozaikowość chromosomów (niektóre grupy komórek charakteryzowały się obecnością chromosomu Y, tworząc układ XXY). Anulowano wszystkie jej rekordy i zmuszono do rezygnacji z kariery sportowej. Dzisiaj wiadomo, że przyczyną była rzadka przypadłość genetyczna zwana mozaicyzmem. Warto dodać, że mimo „braku dowodów na jej kobiecość” w 1968 roku zaszła ona w ciążę i urodziła syna. W 1996 roku przed igrzyskami w Atlancie poddano opisywanym testom 3387 sportsmenek, uzyskując osiem wyników pozytywnych²⁸, z których wszystkie, po dokładniejszej analizie, uznano za pozytywnie fałszywe.

Mimo rekomendacji różnorodnych gremiów o bezzasadności stosowania jednostronnych testów płci u sportsmenek, stanowisko Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego nie uległo zmianie, co uzasadniano ochroną igrzysk przed oszustami, czyli „męskimi sportowcami udającymi kobiety”. Test chromatynowy zastąpiono testem wykrywającym SRY, którego wiarygodność nigdy nie została sprawdzona w osobnych badaniach. W uproszczeniu polegał on na analizie specyficznego usytuowania Y-ka, której dokonywano, przeprowadzając łańcuchową reakcję polimerazy, pomnażając DNA uzyskane z posiadających jądra komórek pobranych z ust. Pozytywne wyniki, jakie w ten sposób uzyskano, zrujnowały życie wielu kobiet, czego najlepszym przykładem jest historia Marii José Martínez Patiño. Ta płotkarka i biegaczka, niespodziewana mistrzyni Hiszpanii, została poddana testom na World University Games i wyeliminowana ze sportu w 1985 roku na uniwersjadzie w Kobe w Japonii. Jako pierwsza odwołała się od tej decyzji, dowodząc, że wynik pozytywny uży-

²⁷ L. McCabe, E. McCabe, *DNA: Promise and Peril*, University of California Press, Berkeley–London 2008, s. 102.

²⁸ Podają za: D. Myśliwy, *Kobiety na igrzyskach olimpijskich*, *op. cit.*, s. 380.

skano dlatego, iż miała ona zespół niewrażliwości na androgeny, o czym wcześniej nie wiedziała. Chromosomalnie stwierdzono u niej budowę XY, jednak brak receptorów zapewniających efektywne działanie hormonom męskim sprawił, że nie doszło u niej do pełnego wykształcenia męskich organów rozrodczych. Posiadała zatem kobiece genitalia, nie miała jednak macicy ani jajników. Była kobietą czy mężczyzną? Nie działał na nią testosteron, wyglądała na kobietę, czuła się kobietą i została wychowana jak kobieta. Patiño odzyskała prawo do uprawiania sportu, ale, z pewnością w rezultacie opisywanych wydarzeń, nigdy już do niego nie wróciła. Dzięki swojej działalności zwróciła jednak uwagę na problem wiarygodności testów, wskazując na złożoność tożsamości płciowej. Ponadto podkreślała, że gdyby nie była atletką, wątpliwości co do jej kobiecości nie wpłynęłyby na jej życie zawodowe. Przed letnią olimpiadą w Barcelonie w testach genetycznych na obecność SRY siedemnaście sportsmenek uzyskało wynik pozytywny. W tym czasie funkcjonowało już wiele organizacji, w tym Komisja Lekkoatletów, które w swoich rezolucjach przedstawiły argumenty za zaniechaniem przeprowadzania testów na płęć w ogóle. W rezultacie rekomendowano do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, by w 2000 roku na igrzyskach w Sydney nie przeprowadzać genetycznych testów laboratoryjnych. Wprowadzono zatem swoiste memorandum na wymóg paszportów płci, ale idei przeprowadzania testów płci całkowicie nie zarzucono. Ilustruje to chociażby głośny przypadek z 2009 roku południowoafrykańskiej, osiemnastoletniej biegaczki Mokgadi Caster Semenya. Kiedy pobiła ona rekord w biegu na 800 metrów na mistrzostwach świata w Berlinie, w komentarzach prasowych i dyskusjach po zwycięstwie podano w wątpliwość jej kobiecość, wskazując na jej muskularną budowę ciała i ostre rysy twarzy. International Association of Athletics Federations zleciła wykonanie testów na kobiecość, by po roku dopuścić ją do udziału w zawodach jako kobietę, szczęśliwie utajniając wyniki badań przed mediami. Na ostatnich igrzyskach olimpijskich w Londynie zdobyła ona srebrny medal.

Pokazałam zatem, że w historii genetyki widać tendencję do traktowania genu jak pojedynczej przyczyny skorelowanej z poszczególnymi właściwościami żywego organizmu (w tym z zachowaniami). Postulowanie jej istnienia i nadzieja na zbadanie jej funkcjonowania wzmocniły potrzebę jednoznacznego dookreślenia męskości oraz kobiecości. Możliwości badania poziomu molekularnego pozwalały wierzyć, że koniec końców istota płci zostanie odnaleziona. Genetycznie rozumianą płęć opisywano jako najbardziej podstawową w tym sensie, że miała ona determinować wszelkie inne zależności związane z płcią w przypadku pojedynczego organizmu. Co decyduje o tym, że płód staje się męski lub kobiecy? W 1953 roku Alfred Jost, francuski endokrynolog, napisał, że to chromosom Y rozpoczyna różnicowanie płciowe, wywołując rozwój jąder wytwarzających hormony odpowiedzialne za maskulinizację płodu. Odkrył on ponadto tzw. hormon antymüllerowski (AMH), który wraz z testosteronem wydzielanym przez jądra sprawia, że w zarodku rozwija się męski system rozrodczy. W okresie prenatalnym w ludzkim zarodku znajdziemy zawiązki narządów rozrodczych obu płci. Pod wpływem działania AMH i testosteronu rozwija się przewód Wolffa, tworząc męskie organy, a niszczone jest przewód Müllera, z którego mogą powstać jajowody i macica. W 1959 roku Charles Ford pokazał, że niezależnie od liczby chromosomów X, to pojedynczy Y sprawia, iż rozwijają się gonady męskie. Według niego rozwój za-

rodka żeńskiego odbywa się jako założony pod nieobecność tego chromosomu. Upraszczając, kiedy ów chromosom nie działa, płód jest żeński. Przekonanie o istnieniu mechanizmu genetycznego jednoznacznie determinującego płeć, połączone z przeświadczeniem o aktywnej roli chromosomu Y, doprowadziło do prób poszukiwania powiązanego z nim „genu determinującego męskość”²⁹. Powtórzmy: model myślenia o płci oparty na SRY sankcjonował przekonanie, że zróżnicowanie płciowe wynika z działania pojedynczego nadrzędnego, wzorcowego, matrycowego genu na chromosom Y. Przyjmowano w nim, że wyłącznie Y jest czynnikiem różnicującym płcie, bowiem X odnajdujemy zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Transgeniczne myszy XX, do których genomu wprowadzono gen SRY, rozwijały się jako samce, co zdawało się potwierdzać, że ten gen wystarcza, by rozwinęła się męskość. Przyjmując, że wytworzenie płci żeńskiej wymaga jedynie tego, by SRY nie zadziałał, że nie potrzeba tu żadnego dodatkowego aktywnego czynnika, przeprowadzono liczne badania nad działaniem i funkcjonowaniem SRY, nie przeprowadzając analogicznej liczby badań nad genetycznymi mechanizmami powstawania zarodka żeńskiego. Krytykę uproszczonej wersji zróżnicowania płciowego przedłożyli Jennifer Graves i Roger Short, a jednostronne skupienie się na tym, co męskie, skrytykowała Anne Fausto-Sterling. Pod koniec lat 90. XX wieku jednogenowy model różnicowania płciowego został odrzucony na rzecz innych, bardziej złożonych³⁰. Dzisiaj coraz głośniejsze mówi się o tym, że nie istnieje jeden czynnik, który determinowałby płeć, nawet na poziomie genetycznym. Potrzebne jest do tego współdziałanie złożonej sieci czynników fizjologicznych. Pokazano, że wiele genów bierze udział w procesie kształtowania płci żeńskiej, nie można także pominąć roli zapomnianego w omawianych badaniach chromosomu X. Niedawno odkryto, że znajduje się na nim gen DAX1, który odgrywa ważną, czynną rolę w procesie tworzenia jajników. Jeśli u chromosomalnego chłopca zostanie on powielony, jego oddziaływanie będzie silniejsze niż SRY, doprowadzając do wykształcenia żeńskiego układu rozrodczego³¹. W 2006 roku grupa badawcza pod kierownictwem Erica Vilaina przedstawiła raport, w którym kwestionuje się przyjmowany dotychczas w biologii dogmat o tym, że płciowe zróżnicowanie mózgu kształtuje się pod wpływem sterydów gonadalnych, jednoznacznie determinujących wykształcenie określonych sieci neuronalnych. Dogmat ten potwierdzał dotąd przekonanie, że istota zróżnicowania płciowego zachodzi dzięki hormonom, które w stosowny sposób determinują płeć na pozostałych poziomach złożoności biologicznej³². Jeśli zasadniczą rolę w dookreślaniu płci odgrywają układ chromosomów i hormony płciowe, to skutki ich oddziaływania są widoczne jedynie we wczesnym okresie rozwoju, później dużo bardziej znaczący wpływ mają tutaj procesy socjalizacji.

²⁹ S. Richardson, *When Gender Criticism Becomes Standard Scientific Practice: The Case of Sex Determination Genetics*, [w:] L. Schiebinger (red.), *Gendered Innovations in Science and Engineering*, Stanford University Press, Stanford 2008, s. 26–27.

³⁰ Zob. praca E. Fox Keller, *The Century of the Gene*, Harvard University Press, Cambridge, MA 2000.

³¹ L. Eliot, *Różowy mózg, niebieski mózg. Jak niewielkie różnice w mózgach dziewczynek i chłopców mogą stać się przepastne i co z tym robić*, przeł. K. Puławski, Media Rodzina, Poznań 2011, s. 44.

³² E. Vilain, *Genetics of Sexual Development*, „Annual Review of Sex Research” 2000, vol. 11, s. 1–25.

Należy sobie uświadomić, że we współczesnych naukach biologicznych płeć określa się za pomocą zespołu kryteriów, wskazując na różne poziomy jej wyróżniania, zdecydowanie podkreślając, iż płeć rozumiana biologicznie jest „zjawiskiem” niezwykle złożonym. Wyróżnia się płeć chromosomalną, gonadalną (związaną z gruczołami płciowymi, takimi jak jądra i jajniki), płeć wewnętrznych narządów płciowych, płeć zewnętrznych narządów płciowych, płeć hormonalną, fenotypową, metaboliczną, mózgową, psychiczną (wyrażającą się w poczuciu przynależności do danej płci) oraz społeczną (której początek daje ustalenie płci przy narodzinach na podstawie budowy zewnętrznych cech płciowych)³³. W przypadku poszczególnych indywidualów zestaw powyższych kryteriów może się różnić; żadne pojedyncze kryterium nie rozstrzyga jeszcze jednoznacznie, jaka jest jego płeć. Takie ujęcie płci pozwala zrozumieć, że to nie sama nauka, w tym genetyka z całym jej zasobem testów genetycznych, autonomicznie i w oderwaniu od pozanaukowych powiązań decyduje o tym, jaka jest płeć w poszczególnych przypadkach. W rezultacie, o czym przypomina wspomniana już Fausto-Sterling, „(...) określanie kogoś jako mężczyznę lub jako kobietę jest decyzją społeczną. Możemy użyć wiedzy naukowej, aby pomóc ją podjąć, ale to nasze przekonanie na temat płci społeczno-kulturowej – a nie nauka – są w stanie zdefiniować naszą płeć biologiczną”³⁴. Należy to właściwie rozumieć. Nikt nie twierdzi tutaj, że płeć można sobie skonstruować – „jak kapeć pod łóżkiem”. Chodzi raczej o to, że same sposoby rozumienia płci, ukierunkowujące badania w nauce, nie są pozbawione przekonań dotyczących ról społecznych i znaczenia płci, jakie odnajdziemy w danej kulturze. To w danej zbiorowości tworzy się hierarchia ważności powyżej wymienionych kryteriów dookreślenia i rozumienia płci, czyli to, czy bardziej liczy się poczucie przynależności do danej płci, czy zapis chromosomalny. Można zadać pytanie, dlaczego przywiązujemy tak dużą wagę do tego, co nas różni, a w mniejszym stopniu skupiamy się na tym, że mężczyźni i kobiety mają bardzo wiele wspólnego, choćby około 98–99% wspólnych genów³⁵. Fizjologiczne różnice między płciami, które da się dostrzec bezpośrednio po urodzeniu, zarówno sensomotoryczne, emocjonalne czy w zachowaniach, są mniejsze, niż nam się powszechnie wydaje, a pogłębiają się w ukierunkowanym procesie socjalizacji³⁶.

Wprowadzenie opisywanych powyżej paszportów płci dla sportswomenek, które przyniosło tyle cierpienia w poszczególnych przypadkach, oraz próby poszukiwania genetycznej istoty męskości pokazują istnienie podwójnych standardów w badaniach naukowych w odniesieniu do różnych płci. Te standardy nie wynikają ze specyfiki samych badań, ale ze sposobu, w jaki w punkcie wyjścia formułujemy cele badawcze, z tego, jakie społeczno-kulturowe poglądy głosimy na temat kobiet i mężczyzn, jakie wiążemy z nimi wartości.

³³ S. Dulko, *ABC... płci*, „Kosmos” 2003, t. 52, nr 1, s. 5–10.

³⁴ A. Fausto-Sterling, *Sexing the Body: Gender Politics and the Construction of Sexuality*, Basic Books, New York 2000, s. 3.

³⁵ L. McCabe, E. McCabe, *DNA. Promise and Peril*, *op. cit.*, s. 66; D.F. Bjorklund, J.M. Bering, *Duże mózgi, powolny rozwój i złożoność społeczna: rozwojowe i ewolucyjne źródła poznania społecznego*, [w:] A. Klawiter (red.), *Formy aktywności umysłu. Ujęcia kognitywistyczne*, t. 2: *Ewolucja i złożone struktury poznawcze*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009, s. 58.

³⁶ L. Eliot, *Różowy mózg, niebieski mózg...*, *op. cit.*, s. 19, 99.

Krótko mówiąc, przekonania na temat płci w znaczącym stopniu wpływają na charakter opisywanych badań.

Sprawdzanie kobiecości kobiet uprawiających wyczynowo sport, przy nieobecności analogicznych testów na męskość mężczyzn, wynika z przekonania, że maskulinizacja sportsmenek przynosi korzyści, bo daje możliwość uzyskania lepszych wyników, a feminizacja mężczyzn nie przynosi w sporcie dodatkowych korzyści. Mężczyźni są lepsi w sportach wyczynowych, bo są więksi, silniejsi, szybsi. Nie sprawdzono, czy istnieją dyscypliny, w których uważane za kobiece właściwości – jak choćby zwinność, elastyczna i drobniejsza budowa ciała – dałyby przewagę nad mężczyznami. Nie zastanawiamy się nad tym, że większość wyczynowych dyscyplin sportowych to sprawdzanie szybkości i siły, uznawane za typowo męskie właściwości.

Niesymetryczne kryteria widać również w prowadzeniu badań nad hormonami płciowymi, o których pisze Ilana Löwy. Podobnie jak w przypadku genu SRY, napędzała je potrzeba znalezienia istoty męskości czy kobiecości, którą dałoby się sprowadzić do prostego i jednoznacznego czynnika, w tym wypadku hormonalnego. Löwy przekonuje, że żeńskie hormony odgrywają dużo ważniejszą rolę jako symbole kulturowe niż hormony męskie. Upraszczając, można powiedzieć, że kobiecość wiąże się tutaj tradycyjnie z cielesnością, która zapewnia możliwość spółżenia i urodzenia dziecka. Tym razem jednak ramy tych możliwości wyznacza aktywność hormonów płciowych. Okres tej aktywności to czas bycia „normalną”, zdrową kobietą, a wszelkie jej zaburzenia domagają się interwencji medycyny. Wynalezienie i powszechne zastosowanie hormonalnej pigułki antykoncepcyjnej z jednej strony pozwoliło przejąć kobietom kontrolę nad ich płodnością i pozwolić na to, by cykl ciąży i urodzeń nie determinował ich życia, z drugiej jednak pośrednio doprowadziło do postępującej medykalizacji wszelkich zjawisk związanych z reprodukcją u kobiet. Utrwaliło to postrzeganie i traktowanie kobiecości w kategoriach biologicznych, ściśle i często wyłącznie związanych z ciałem. Zarówno zespół napięcia przedmiesiączkowego, problem antykoncepcji, jak i medycznie wspomagana prokreacja czy menopauza mają dosyć krótką historię jako zjawiska podlegające jurysdykcji nauk medycznych. Bycie kobietą wyznacza ją cykle hormonalne ściśle związane z kobiecą płodnością, a menopauzalne zmiany są traktowane jako wymagające interwencji medycznej. Spadek płodności z wiekiem w retoryce i technologiach prokreacyjnych jest ściśle związany z kobietami (*vide* idea tykającego zegara), choć z fizjologicznego punktu widzenia wiadomo, że męska płodność osłabia się lub zanika wraz z postępującym starzeniem. Funkcjonalnie, jak pisze Löwy, mężczyzna nic nie traci na swojej męskości, kiedy się starzeje, kobieta zaś przestaje być zdolna do pełnienia swojej prokreacyjnej roli, co w sensie nie tylko symbolicznym wiąże się z utratą kobiecości³⁷. Literalnie widać to w rozmaitych regulacjach, w których istotną zmienną są zarówno płeć, jak i wiek. Löwy podaje przykład francuskich banków spermy, które są niezwykle ważną instytucją w pokonywaniu rosnącego problemu płodności społeczeństw zachodnich. Ustalono, że maksymalny wiek kobiet ubiegających się o spermę, by zająć w ciążę, to 40 lat, a maksymalny wiek mężczyzn dawców spermy o wystarczająco dobrej jakości to

³⁷ I. Löwy, *Okowy rodzaju. Męskość, kobiecość, nierówność*, przeł. M. Solarzka, K. Polasik-Wrzosek, Epigram, Bydgoszcz 2012, s. 135.

55 lat. Podobne regulacje nie istnieją w Polsce. W wielu klinikach wskazuje się, że wiek dawcy nasienia nie może przekraczać 35. (Gameta, Novum) lub 40. roku życia (Cryobank Genesis, AdOvo), ale istnieją też takie, które akceptują dawców po pięćdziesiątce (www.bank-nasienia.com). Preferowany wiek dawczyń komórek jajowych lokalizowany jest między 20. a 30. rokiem życia.

Kilka słów podsumowania

Przyglądanie się historii fenomenu genu w powstającej genetyce jest pouczające. Pokazuje nie tylko uwikłanie tej kategorii w możliwości badawcze danego czasu, ale wskazuje też na wpływ języka na kształtowanie się poglądów na jego temat. Z całą odpowiedzialnością można dzisiaj powiedzieć, że geny nie wyjaśniają wszystkiego, a w oderwaniu od rozlicznych innych czynników nader często tłumaczą niewiele. Jak zwykle sprawy są dużo bardziej skomplikowane, niż nam się wydawało. Dotyczy to także płci biologicznej, fenomenowi dużo bardziej złożonego, o którym dzisiaj wiemy, że nie da się go sprowadzić wyłącznie do zapisu chromosomalnego czy obecności pojedynczego genu. Postulat zachowania szczególnej ostrożności w zastosowaniu wyników badań genetyki do rozstrzygania wątpliwości dotyczących płci, które pojawiają się poza granicami laboratorium, w świetle przeprowadzonych analiz wydaje się więcej niż aktualny.

Współcześni badacze są dużo bardziej ostrożni w stawianiu hipotez na temat roli genów i sposobów ich funkcjonowania, uczulają na wielość wartych wzięcia pod uwagę czynników, podkreślają, jak wiele mechanizmów nie jest nam jeszcze znanych. Jeśli zgodzimy się, że genetyka nie wypełniła złożonej przez siebie obietnicy odkrycia tajemnicy życia, natury człowieka i płci, a sytuacja jest taka, że sami genetycy pogłębiają wątpliwości, komplikują obraz i wskazują na złożoność procesów, nie należy się spodziewać prostych rozwiązań, które wciąż pobrzmiwają w literaturze popularnonaukowej i popularnej. Niewykluczone, że w rezultacie przyczyni się to do pogłębienia dotychczasowych lęków związanych z jej rozwojem, nie zostaną one zatem poskromione, a raczej spotęgowane.

Tomasz Szymon Markiewka

Problem dualistycznego podziału na naturę i kulturę. O postkonstruktoryzmie i konstruktoryzmie kulturowym

The Problem of the Dualistic Distinction of Nature and Culture. On Postconstructivism and Cultural Constructivism

Abstracts: The aim of the article is to present how postconstructivism tries to overcome the dualistic distinction between nature and culture (and why this is so important issue). In order to do this, the author of the text compares postconstructivism with cultural constructivism (and its way of dealing with above-mentioned dualism). The former is represented by Bruno Latour, the latter is represented by Richard Rorty. Cultural constructivists want to weaken the nature/culture distinction by persuade us that every object of our knowledge is a cultural object and one should never use nature as an argument. Postconstructivists say that we should stop using both the notion of nature and the notion of culture in our debates.

Key words: anti-dualism, Bruno Latour, dualism, cultural constructivism, postconstructivism, Richard Rorty

Jednym z najciekawszych aspektów nurtu, który – z braku lepszego określenia – nazywam w tym tekście postkonstruktoryzmem¹, jest to, że jego przedstawiciele

potrafią połączyć filozoficzną problematykę

nie podkreślając przy tym, że nie jest to konstruktoryzm społeczny). Zob. B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Abriszewski, Universitas, Kraków 2010, s. 130. Ostatnio Latour na określenie swojego stanowiska używa też nazwy „kompozycjonizm”. Zob. B. Latour, *An Attempt at a „Compositionist Manifesto”*, „New Literary History” 2010, nr 3, s. 471–490. Na temat postkonstruktoryzmu i jego relacji do konstruktoryzmu zob. E. Bińczyk, *Techonauka w społeczeństwie ryzyka. Filozofia wobec niepożądanych następstw praktycznego sukcesu nauki*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2012, s. 51–112. Dodajmy do tego, że tak rozumiany postkonstruktoryzm wiele łączy z posthumanizmem oraz posthumanistyką. Na ten temat zob. np.: E. Domańska, *O nowej humanistyce* (z Ewą Domańską rozmawia Katarzyna Więckowska), „Litteraria Copernicana” 2011, nr 2,

¹ Przedrostek „post-” nie oznacza, że postkonstruktoryzm odrzuca konstruktorystyczną tezę mówiącą, iż rzeczywistość jest zawsze konstruowana. Postkonstruktoryzmem chodzi raczej o to, aby wziąć pod uwagę, że owo konstruowanie nie odbywa się jedynie za pomocą „materii” kulturowej, społecznej bądź językowej. Postkonstruktoryści chcą badać nie tylko kulturę, społeczeństwo czy język, ale także rzeczy (w szerokim, wziętym z ANT, rozumieniu słowa „rzecz” – rzeczami są np. zarówno atomy, krzesła, psy, jak i drzewa). Najbardziej znanym przedstawicielem tak rozumianego podejścia postkonstruktorystycznego jest obecnie Bruno Latour, choć on sam woli nazywać swoje stanowisko po prostu konstruktoryzmem (wraż-

z praktycznymi problemami, z którymi zmagamy się nie tylko na kartach akademickich książek, ale również w naszym codziennym życiu. Chęć do łączenia filozofii z praktyką nie jest rzecz jasna niczym szczególnie nowym (już Platon pragnął przełożyć swoją filozoficzną koncepcję na polityczną praktykę), lecz w przypadku wspomnianego nurtu wydaje się wręcz ostentacyjna. Badacze postkonstruktywistyczni są bardzo czuli na wszystko to, co jest związane z funkcjonowaniem we współczesnych społeczeństwach (szczególnie zachodnich). Stąd też zajmują się oni w swoich pracach m.in. wpływem rozwoju nauk i technologii na nasze życie, zagadnieniem zwierząt i naszego stosunku do nich, a także potrzebą szerszego niż do tej pory uwzględnienia czynników materialnych zarówno w opisie społeczeństw współczesnych, jak i w tekstach historycznych.

W swoim artykule skupię się jednak nie na silnie rozwiniętym aspekcie praktycznym postkonstruktywizmu, lecz na jego wymiarze filozoficznym. Sądzę bowiem, że jest rzeczą niezwykle ważną, aby przedstawiciele tego nurtu nieustannie pamiętali o uwikłaniu swoich badań w filozoficzną problematykę i o tym, że nie mogą tak po prostu porzucić filozoficznego dyskursu. Pokusa ograniczenia roli filozoficznych rozważań może być zaś spora. Dla badaczy tak bardzo skupionych na praktycznym wymiarze rozważań teoretycznych filozofia może się, prędzej czy później, wydać niepotrzebnym brzemieniem ze względu na swoją tendencję do nieustannego piętrzenia problemów i z powodu braku ogólnie przyjętych kryte-

riów ich rozwiązywania. Wzorcową postacią wydaje mi się w tym kontekście działalność Brunona Latoura. Bardzo chętnie łączy on badania empiryczne z problematyką filozoficzną, co widać choćby na przykładzie wydanej wreszcie w Polsce *Nadziei Pandory* – dzieła, które spośród wszystkich opublikowanych dotąd w naszym kraju książek Latoura zdaje się, jakkolwiek paradoksalnie może to brzmieć, zarówno najbardziej filozoficzne, jak i najbardziej empiryczne². Do książki tej wrócę w ostatniej części mojego tekstu, gdy będę omawiał, w jaki sposób Latour radzi sobie z zagadnieniem dualizmu kultury i natury.

To właśnie różne sposoby przewycięzania dualistycznego podziału na naturę i kulturę interesują mnie w niniejszym artykule³.

² B. Latour, *Nadzieja Pandory. Eseje o rzeczywistości w studiach nad nauką*, przeł. K. Abriszewski et al., Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2013.

³ Pomysł, żeby zwrócić uwagę na zagadnienie dualizmu i antydualizmu w kontekście rozważań postkonstruktywistycznych, nie jest niczym nowym. Sam Latour wprost stawia ten problem. Polscy badacze też mają świadomość jego wagi – wystarczy wspomnieć o publikacjach Krzysztofa Abriszewskiego, Ewy Bińczyk czy Aleksandry Derry. Do tej pory wysiłki wymienionych autorów szły jednak w stronę rysowania podobieństw (głównie między koncepcją antydualistycznego sposobu mówienia Josefa Mitterera i antydualistycznymi poglądami Latoura) lub wybierania jednego sposobu przewycięzania dualizmu jako tego najbardziej wzorcowego. K. Abriszewski, *Poznanie, zbiorowość, polityka. Analiza teorii-aktora sieci Bruno Latoura*, Universitas, Kraków 2008, s. 97–122; *idem*, *Wszystko otwarte na nowo: teoria aktora-sieci i filozofia kultury*, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010, s. 224–244; *idem*, *Notes towards Uniting Actor-Network Theory and Josef Mitterer's Non-dualizing Philosophy*, „Constructivist Foundations” 2008, vol. 3, nr 3, s. 192–200; E. Bińczyk, *Looking for Consistency in Avoiding Dualism*, „Constructivist Foundations” 2008, vol. 3,

s. 221; M. Bakke, *Posthumanizm: człowiek w świecie większym niż ludzki*, [w:] J. Sokolski (red.), *Człowiek wobec natury – humanizm wobec nauk przyrodniczych*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2010, s. 337–357.

Chcę jednak podkreślić, że obydwa pojęcia wchodzące w skład tego dualizmu traktuję tutaj bardzo szeroko. Przez naturę rozumiem wszystko to, co w tradycyjnym podejściu (esencjalistyczno-fundacjonalistycznym) uważa się za niezależne od człowieka, obiektywne, niezmiennie i odkrywane przez niego. Pojęcie kultury oznacza zaś to, co jest przez człowieka stwarzane i co jest od niego zależne (a więc także wszystkie czynniki społeczne i językowe). Stąd też dualizm kultury i natury, tak jak go rozumiem w tym tekście, zawiera w sobie inne podobne dualizmy (np. rzeczywistość–język, fakty–interpretacje, przedmiot–podmiot itp.). Oprócz antydualizmu Latoura reprezentującego w moim tekście poglądy postkonstruktivistyczne, omówię antydualizm Richarda Rorty’ego, którego wybrałem jako przedstawiciela konstruktywizmu kulturowego.

Zrozumienie odmienności wspomnianych rodzajów antydualizmu jest jednak niemożliwe bez choćby częściowego uświadomienia sobie różnic między postkonstrukttywizmem oraz konstruktywizmem kulturowym. Zacznę więc od próby odpowiedzi na pytanie, czym różnią się od siebie te dwa konstruktywizmy. Zresztą jak się szybko okaże, odpowiadając na to pytanie, zacznę już poniekąd wyjaśniać różnicę między antydualizmem postkonstruktivistycznym a antydualizmem konstruktywizmu kulturowego – te dwie rzeczy (definicje obu nurtów oraz związane z nimi wersje antydualizmu) są nierozzerwalnie z sobą związane. Nie mogę oczywiście opisać w tym tekście różnic (a także podobieństw) między postkonstrukttywizmem i konstruktywizmem kultu-

rowym w sposób wyczerpujący. Zrobię to zatem skrótowo, skupiając się na meritum sporu. Najlepszym zaś sposobem na wychwycenie najbardziej istotnych relacji między dwoma stanowiskami jest przyjrzenie się polemikom, jakie toczą między sobą ich przedstawiciele. W tomie *Rzeczy i ludzie*⁴ znajduje się bardzo ciekawa dyskusja między Ewą Domańską i Bjørnarem Olsenem (reprezentującymi jedną stronę konfliktu) oraz Jackiem Kowalewskim i Wojciechem Piasekiem (reprezentującymi drugą stronę konfliktu). Pozwolę sobie zinterpretować tę polemikę jako konflikt między stanowiskiem postkonstruktivistów (Domańska/Olsen) oraz stanowiskiem konstruktywistów kulturowych (Kowalewski/Piasek)⁵.

Kowalewski i Piasek dopatrują się w wizji humanistyki lansowanej m.in. przez Domańską i Olsena wyrazu tęsknoty za rzeczywistością, która nie byłaby zapośredniczona przez kulturowe, społeczne czy językowe uwarunkowania. Główną wątpliwość wywołuje w nich propagowana przez postkonstruktivistów próba powrotu do badania rzeczy i materialności. Piszą oni: „idea »zwrotu ku rzeczom« przybierająca skonkretyzowaną postać historii nieantro-

nr 3, s. 201–207; A. Derra, *The Non-dualizing Way of Speaking and the Female Subjectivity Problem*, „Constructivist Foundations” 2008, vol. 3, nr 3, s. 208–213.

⁴ J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie. Humanistyka wobec materialności*, Instytut Filozofii UWM, Olsztyn 2008.

⁵ Zresztą dokładnie w taki sposób konflikt ten definiują Kowalewski i Piasek. Najpierw nazywają projekt humanistyki reprezentowany przez Domańską i Olsena „pokonstruktivistycznym” (J. Kowalewski, W. Piasek, *W poszukiwaniu utraconej Rzeczywistości. Uwagi na marginesie projektu „zwrot ku rzeczom” w historiografii i archeologii*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie...*, op. cit., s. 64), a następnie opisują go jako opozycyjny wobec konstruktywizmu kulturowego, który sami reprezentują (*ibidem*, s. 65).

pocentrycznej [której przedstawicielką jest Domańska – przyp. T.M.] i archeologii symetrycznej [której przedstawicielem jest Olsen – przyp. T.M.] to naszym zdaniem projekt, którego podstawą jest sprzeciw wobec zniewalającej mocy kultury⁶. Wszystkie wątpliwości Kowalewskiego i Piaska wobec tego zwrotu w humanistyce można sprowadzić do jednej zasadniczej: Jak możemy powrócić do rzeczy pojmowanych materialnie i na nowo łączących nas z rzeczywistością, skoro każdy przedmiot zawsze postrzegamy przez pryzmat kulturowych uwarunkowań? Piszą oni, odwołując się do Tima Ingolda: „(...) w ludzkim świecie tępa materialność nieodwołalnie owinięta jest w cienką warstwę kultury i wobec takiej i tylko takiej materialności ludzie stają codziennie twarzą w »twarz«⁷. W różnych częściach swojego tekstu Piasek i Kowalewski podkreślają, że nie ma ucieczki od „mentalnych koncepcji poprzedzających ich materialne realizacje⁸, że każdy artefakt może mediować tylko „dzięki swemu osadzeniu w skomplikowanej sieci semiotycznej⁹, że sam pomysł powrotu do rzeczy w humanistyce jest „formą kulturowego doświadczenia¹⁰.

Domańska i Olsen w swojej odpowiedzi narzekają, że ich polemici pochopnie zarzucają im „romantyczne tęsknoty za rzeczywistością, które są naiwne z punktu widzenia pozbawionych złudzeń konstruktywistów¹¹. Autorzy tekstu *Wszyscy jesteśmy konstruktywistami* uważają zarzut Kowalewskie-

go i Piaska za niesprawiedliwy. Jak piszą, w projekcie postkonstruktywistycznym nie chodzi bowiem o sprzeciw wobec konstruktywizmu w ogóle, a jedynie wobec niektórych jego wersji – szczególnie takich, które sprowadzają wszystko do języka, tekstu czy wyobrażeń. Domańska i Olsen zaznaczają, że niechęć do tak pojmowanego konstruktywizmu wiąże się z dostrzeżeniem przez nich niewystarczalności „metafory świata jako księgi, którą się czyta, a kultury materialnej jako zespołu znaków czy metafor, które należy zdekodować¹². Odpowiedź Domańskiej i Olsena można by zatem sprowadzić do następującego stwierdzenia: Jesteśmy konstruktywistami, ale sądzimy, że podstawowe pojęcia, którymi posługują się konstruktywiści kulturowi, trochę się zużyły i warto poszukać innych. Dodajmy, że odczytanie poglądów autorów *Wszyscy jesteśmy konstruktywistami* jako wyraz nostalgii za rzeczywistością nie było jednak zupełnie nieuprawnione. Po pierwsze, jak starałem się pokazać w poprzednim akapicie, konstruktywizm kulturowy reprezentowany przez Piaska i Kowalewskiego jest bardzo podejrzliwy wobec każdego stanowiska, które odsuwa na bok takie pojęcia jak kultura, społeczeństwo, język, historia czy wspólnota interpretacyjna. Z perspektywy konstruktywisty kulturowego każdy, kto próbuje wysunąć na czoło inne terminy niż wspomniane, może być podejrzewany o próbę odejścia od poglądów konstruktywistycznych w ogóle. Po drugie, choć Domańska i Olsen w swojej odpowiedzi na zarzuty Kowalewskiego i Piaska wprost nazywają się konstruktywistami, to niektóre z ich wcześniejszych tekstów mogły rodzić podejrzenia, że odzęgnują się oni od konstruktywizmu. Na przykład

⁶ *Ibidem*, s. 64.

⁷ *Ibidem*, s. 70.

⁸ *Ibidem*, s. 71.

⁹ *Ibidem*, s. 72.

¹⁰ *Ibidem*, s. 76.

¹¹ E. Domańska, B. Olsen, *Wszyscy jesteśmy konstruktywistami*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie...*, op. cit., s. 87.

¹² *Ibidem*, s. 87.

Domańska w artykule *Problem rzeczy we współczesnej archeologii* nazwała Latoura, którego stanowisko jest dla niej wyraźną inspiracją, „(był) konstruktystą”¹³, co mogło mylnie sugerować, że Latour (a wraz z nim i Domańska) odżegnuje się od konstrukttywizmu w ogóle, podczas gdy problemem dla francuskiego socjologa jest tylko określona wersja konstrukttywizmu, którą nazywa „konstrukttywizmem społecznym” (a którą ja nazywam „konstrukttywizmem kulturowym”). Wspominam o tym nieporozumieniu głównie dlatego, że pokazuje ono, iż język, który służyłby do precyzyjnego mówienia o różnych odłamach konstrukttywizmu, nadal pozostaje do wypracowania i należy poruszać się po tym obszarze dociekań wyjątkowo ostrożnie.

Po tych wyjaśnieniach możemy w końcu przejść do zagadnienia dualizmu i antydualizmu. Skoro zaś na scenę wkraczają problemy filozoficzne, będę odwoływał się w dalszej części tekstu do myślicieli, którzy bardzo chętnie poruszają filozoficzne kwestie. Chodzi mi o Richarda Rorty’ego (reprezentant konstrukttywizmu kulturowego) i Brunona Latoura (reprezentant postkonstrukttywizmu). Zacznę od stanowiska tego pierwszego.

Choć sam Rorty posługuje się najczęściej pojęciem języka, a nie kultury lub społeczeństwa, to jednak ma to niewielkie znaczenie, ponieważ stosuje on je zamiennie. Uwidacznia się to choćby wtedy, gdy zestawia on hasło „Wszystko jest społeczną konstrukcją” z hasłem „Cała świadomość ma charakter językowy” i traktuje je jako różne sposoby wyrażenia tej samej tezy, która

mówi, że: „(...) nigdy nie będziemy w stanie wykroczyć poza język, nigdy nie będziemy w stanie uchwycić rzeczywistości niezapośredniczonej przez językowe opisy”. Stąd też – kontynuuje Rorty – „powinniśmy być podejrzliwi wobec greckiego rozróżnienia między zjawiskiem/pozorem (*appearance*) i rzeczywistością, próbując je raczej zastąpić rozróżnieniem między »mniej użytecznymi opisami świata« i »bardziej użytecznymi opisami świata»”¹⁴. Jak widać, nie jesteśmy daleko od stanowiska Kowalewskiego i Piaska, a wręcz znajdujemy się w samym jego wnętrzu. Rorty, tak samo jak wspomniani badacze, wyznaje bowiem pogląd, który Andrzej Szahaj w swojej książce poświęconej autorowi *Konsekwencji pragmatyzmu* streścił następująco: „Jeśli zatem wiedza czy też poznanie w ogóle cokolwiek odzwierciedlają, to tym czymś nie jest rzeczywistość zewnętrzna, lecz raczej nasze interesy (cele), a następnie kulturowe sposoby konceptualizowania świata (środki do ich realizacji)”¹⁵.

Po tym, co zostało napisane powyżej na temat konstrukttywizmu kulturowego, nie trudno się chyba domyślić, jaki jest pomysł Rorty’ego i innych przedstawicieli tego stanowiska na poradzenie sobie z dualizmem natura–kultura. Rozciągają oni pojęcie kultury tak szeroko, że koniec końców okazuje się, iż każde poznanie dotyczy właśnie jej, a nie natury. Dualizm zostaje zastąpiony czymś, co można nazwać monizmem (choć nie jest to monizm konsekwentny, o czym będę jeszcze pisał). Tym samym unieważ-

¹³ E. Domańska, *Problem rzeczy we współczesnej archeologii*, [w:] J. Kowalewski, W. Piasek, M. Śliwa (red.), *Rzeczy i ludzie...*, op. cit., s. 32.

¹⁴ R. Rorty, *A World without Substances or Essences*, [w:] idem, *Philosophy and Social Hope*, Penguin Books, New York 1999, s. 48.

¹⁵ A. Szahaj, *Ironia i miłość. Neopragmatyzm Richarda Rorty’ego w kontekście sporu o postmodernizm*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2002, s. 19–20.

nione zostaje podstawowe uzasadnienie różnicy między naukami przyrodniczymi a naukami humanistycznymi, które w tradycyjnym ujęciu sprowadza się do twierdzenia, że te pierwsze badają naturę, czyli rzeczywistość niezależną od człowieka, a te drugie zajmują się „tylko” ludzkimi wytworami, takimi jak język, zwyczaje, sztuka, polityka itp. Nie znaczy to, że według konstruktivistów kulturowych fizyka niczym się nie różni od literaturoznawstwa. Różnica pozostaje, ale nie opiera się ona już na opozycji natury i kultury, lecz na odmiennych sposobach i celach badania różnych tworów kulturowych. Sam Rorty twierdził, że tym, co wyróżnia nauki przyrodnicze, jest ich zdolność do przewidywania i kontrolowania wybranych aspektów kulturowo uwarunkowanej rzeczywistości¹⁶.

Tak rozumiany antydualizm ma jednak swoje wady, na które zwracają uwagę osoby związane z postkonstrukttywizmem. Ewa Bińczyk słusznie zauważa, że koncepcja Rorty’ego jest antydualizmem niekonsekwentnym¹⁷. Choć na poziomie epistemologicznym amerykański filozof unika odwołań do natury bądź jej substytutów, które

stałyby w opozycji do tego, co kulturowe, to na poziomie ontologicznym wciąż pozostaje on dualistą. Widać to choćby w słynnym stwierdzeniu Rorty’ego, iż należy odróżnić tezę, według której prawda jest na zewnątrz (języka, kultury, społeczeństwa, ludzkich uwarunkowań), od tezy, że świat jest na zewnątrz¹⁸. Rorty sprzeciwia się tej pierwszej tezie, tę drugą jednak akceptuje. Mówiąc inaczej, twierdzi on, że wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi poznanie rzeczywistości, jest ono uzależnione od języka, nie znaczy to jednak, że nie istnieje nic poza językiem. Ważne jest, aby zwrócić uwagę na fakt, że niekonsekwencja, na którą wskazuje Bińczyk, jest paradoksalnie konieczną konsekwencją sposobu, w jaki Rorty przeżył problem dualizmu natury i kultury. Kiedy bowiem konstruktysta kulturowy czyni takie pojęcia jak kultura, język czy społeczeństwo pojęciami podstawowymi, musi odpowiadać na ironiczne pytania typu: Chcesz powiedzieć, że krzesło, na którym siedzę, jest tylko konstruktem językowym? Chcesz powiedzieć, że nie istnieje żadna materia, która stawia nam opór, i moglibyśmy za pomocą samego tylko języka zbudować statek kosmiczny, którym polecimy na Księżyc? Konstruktysta kulturowy wyjaśnia wtedy, że oczywiście nie chodzi mu o to, iż istnieje tylko język, kultura czy społeczeństwo. Uznaje on, że istnieją rzeczy, które nie są tworzone za pomocą języka czy kultury, ale – i to jest jego podstawowa teza – kiedy poznajemy te rzeczy, kiedy chcemy przypisać im jakieś właściwości, kiedy pragniemy wpleść je w nasz świat, zawsze robimy to za pomocą narzędzi kulturowych. Istnieje więc jakaś rzeczywistość pozakultu-

¹⁶ Zob. R. Rorty, *Nauka jako solidarność*, [w:] *idem, Obiektywność, relatywizm i prawda*, przeł. J. Margański, Fundacja Aletheia, Warszawa 1999, s. 55–69; *idem, Przygodność, ironia i solidarność*, przeł. W.J. Popowski, W.A.B., Warszawa 2009, s. 22; *idem, Response to Jacques Bouveresse*, [w:] R. Brandom (red.), *Rorty and His Critics*, Blackwell Publishing, Oxford 2000, s. 150–151.

¹⁷ Zob. E. Bińczyk, *Looking for Consistency in Avoiding Dualism...*, *op. cit.*, s. 203. Można też podejrzewać, że proponowany przez Rorty’ego sposób przezwyciężenia dualistycznego podziału na naturę i kulturę wikła się w pewien filozoficzno-definicyjny paradoks. Na ten temat zob. T.S. Markiewka, *Bruno Latour i „koniec” postmodernizmu*, „Diametros” 2012, nr 33, s. 109–110.

¹⁸ R. Rorty, *Przygodność, ironia i solidarność*, *op. cit.*, s. 23.

rowa, ale odgrywa ona tylko rolę bodźców. To, jak te bodźce zinterpretujemy, i to, jaką funkcję będą pełniły w naszym życiu, zależy już od kulturowych uwarunkowań. Sama rzeczywistość pozajęzykowa nie determinuje bowiem, jakiego rodzaju języka mamy użyć do jej opisan¹⁹.

Konstruktywista kulturowy może zatem w prosty sposób, poprzez sprowadzenie rzeczywistości pozakulturowej do statusu niepoznawalnych „rzeczy samych w sobie”, obronić się przed redukcją jego stanowiska do absurdu, a jednocześnie zachować tezę, że cała nasza wiedza na temat rzeczywistości jest kulturowo zdeterminowana. Nie zmienia to jednak faktu, że wraca on tym samym do jakiejś wersji dualizmu (język-pozajęzykowe bodźce). Między innymi dlatego postkonstruktywiści starają się wypracować inny model myślenia antydualistycznego. Choć nie jest to jedyny powód. Kolejną ważną przyczynę dobrze streszcza następująca wypowiedź Latoura: „Kiedy zajmujemy się nauką i techniką, trudno jest długo wyobrazić sobie, że jesteśmy tekstem, który pisze sam siebie, samodzielnie mówiącym dyskursem albo grą znaczących bez znaczonych. Trudno jest zredukować cały kosmos do wielkiej narracji, fizykę cząstek elementarnych do tekstu, system medyczny do zabiegów retorycznych, wszelkie struktury społeczne do dyskursu”²⁰. Wizja konstruktywizmu kulturowego, która wyłania się z tego cytatu, jest oczywiście parodystyczna, a tym samym przesadzona. Latour ma jednak rację, gdy sugeruje, że eksponując takie pojęcia jak kultura, społeczeństwo, język czy tekst, bardzo trudno zmierzyć się

z niektórymi zagadnieniami, szczególnie tymi dotyczącymi nauki i technologii. Prawdą jest, że mówienie w stylu Rorty’ego, iż język i metafory możemy porównywać tylko między sobą, a nie z jakimiś bytami pozajęzykowymi²¹ – choć mocno narusza całą retorykę związaną z dualistycznym widzeniem świata – wydaje się utrudniać dostrzeżenie pewnych ważnych czynników tłumaczących sukces nauk przyrodniczych (przede wszystkim utrudnia docenienie roli czynników pozaludzkich)²². Dlatego też pomysł autora *Nadziei Pandory* i pozostałych postkonstruktywistów na przewyżczenie omawianego w tym artykule dualizmu jest inny.

Tak samo jak konstruktywiści kulturowi, Latour uważa, że podział na naturę i kulturę ma kilka niefortunnnych konsekwencji. Dwie wydają się szczególnie ważne. Po pierwsze, podział ów doprowadził do sztywnego rozgraniczenia na nauki przyrodnicze i nauki humanistyczne. Po drugie, spowodował, że nie potrafimy odpowiednio umiejscowić w strukturach państw demokratycznych ani tak zwanej natury, ani nauk ją badających²³. Odpowiedzią Latoura na te problemy nie jest jednak rozciągnięcie pojęcia kultury

¹⁹ *Ibidem*, s. 46.

²⁰ B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowocześni. Studium z antropologii symetrycznej*, przeł. M. Gdula, Oficyna Naukowa, Warszawa 2011, s. 93.

²¹ R. Rorty, *Przygodność, ironia i solidarność*, *op. cit.*, s. 46.

²² Latour krytykuje też konstruktywizm kulturowy za to, że jego przedstawiciele wykopują przepaść między człowiekiem a rzeczywistością (samą w sobie). Jest to ważny wątek w rozważaniach Latoura, szczególnie w *Nadziei Pandory*, lecz z braku miejsca nie omawiam go w tym tekście.

²³ Na temat tego, jak narodził się ten podział, pisze Latour w *Nigdy nie byliśmy nowocześni...*, o tym zaś, jak mogłaby wyglądać polityka i kształt naszych zbiorowości, gdybyśmy go odrzucili, wspomina w książce *Polityka natury. Nauki wkraczają do demokracji*, przeł. A. Czarnačka, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.

na całą znaną nam rzeczywistość, lecz próba sproblematyzowania (a w konsekwencji być może nawet porzucenia) obydwu pojęć wchodzących w skład interesującego mnie w tym tekście dualistycznego podziału. Już we wcześniejszych pracach starał się on tego dokonać – np. w *Nigdy nie byliśmy nowocześni*, gdzie pisał o „naturo-kulturach”²⁴. Jednakże połączenie za pomocą łącznika dwóch problematycznych pojęć w jedno wydaje się bardziej wybiegiem niż rozwiązaniem. W *Nadziei Pandory* Latour stara się uporać z tym problemem w bardziej rozbudowany sposób.

Francuski badacz zaczyna od próby zmierzenia się z pytaniem, w jaki sposób następuje przeskok między dwoma królestwami ontologicznymi – królestwem tego, co niezmiennie, niezależne od człowieka i obiektywne (natura), oraz królestwem tego, co jest uwarunkowane ludzkimi pragnieniami i poglądami (kultura). Jego odpowiedź jest prosta: Nie ma żadnej przepaści i nie ma żadnego przeskoku między rzeczywistością i kulturą. Istnieje za to mnóstwo transformacji, w których biorą udział ludzie i czynniki pozaludzkie. O co chodzi? Latour tłumaczy to na przykładzie wyprawy badawczej, w której skład wchodzi botaniczka, geolog i geomorfolożka. Celem trojga naukowców jest wyjaśnienie, czy las w Amazonii rozrasta się kosztem sawanny, czy może dzieje się na odwrót. Autor *Nadziei Pandory* słusznie zauważa, że mamy do czynienia z typowym przykładem sytuacji, w której tzw. rzeczywistość (las, sawanna) musi być, jak to trafnie nazwał Abriszewski, „upakowana w słowa”²⁵ (raport badawczy). Dokładniej-

sze przyjrzenie się temu, jak owo „pakowanie” się odbywa, dowodzi według Latoura, że nigdy, na żadnym etapie tego procesu, nie następuje przeskok między rzeczywistością i słowami. Nie dochodzi bowiem do sytuacji, w której badacze najpierw przyglądają się rzeczywistości, a potem opisują ją za pomocą słów. Przeciwnie, muszą oni ją nieustannie przekształcać – poprzez nanoszenie współrzędnych kartezjańskich, numerowanie roślin, próbkowanie gleby, porządkowanie jej w pedokomparatorze, tworzenie diagramów itd. Latour podsumowuje to następująco: „Zamiast w e r t y k a l n e j przepaści między słowami a światem, gdzie rozciągałaby się ryzykowna kładka korespondowania, mamy teraz solidne i grube pokłady p o p r z e c z n y c h (*transverse*) ścieżek, po których krążą całe masy transformacji”²⁶.

Autor *Nadziei Pandory* przekonuje, że zamiast zastanawiać się nad relacją między słowami (kulturą) i rzeczywistością, powinniśmy badać transformacje, przez jakie przechodzi na przykład gleba – od „gleby, która jest gdzieś tam w Amazonii”, przez „glebę wyselekcjonowaną m.in. dzięki nałożeniu współrzędnych kartezjańskich”, „glebę pobraną i opisaną”, „glebę uporządkowaną w pedkomparatorze”, „glebę w postaci diagramu”, aż do „gleby opisanej w tekście”. W takim podejściu znika już problem tego, na ile nasze kulturowo uwarunkowane narzędzia, jak np. język, są w stanie uchwycić w trafny sposób znajdującą się „na zewnątrz” kulturowych uwarunkowań naturę, ponieważ: „Trafność zdania nie wiąże się ze stanem rzeczy, znajdującym się gdzieś tam na zewnątrz, ale z możliwością prześle-

²⁴ B. Latour, *Nigdy nie byliśmy nowocześni...*, op. cit., s. 139.

²⁵ K. Abriszewski, *Poznanie, zbiorowość, polityka...*, op. cit., s. 24–40.

²⁶ B. Latour, *Nadzieja Pandory...*, op. cit., s. 160.

dzenia (*traceability*) serii transformacji²⁷. Na każdym etapie badania aktywni są zarówno ludzie (kopiując, klasyfikując, rysując, pisząc), jak i czynniki pozaludzkie (wymuszając określone działania, ale i pomagając w ich wykonaniu). Kultura (człowiek) i natura (czynniki pozaludzkie) są z sobą nierozdzielnie związane, stąd też nie ma sensu dłużej separować od siebie tych pojęć. Jeśli już mamy ich używać, to lepiej mówić o naturo-kulturach. Najlepiej zaś w ogóle zapomnieć o tego rodzaju wielkich bytach i poprzez zanurzenie się w empirii badać, jak aktorzy ludzcy i pozaludzcy przechodzą przez szeregi transformacji, aby na końcu tego łańcucha zamienić się w solidną wiedzę (jeśli transformacje są udane).

Sądzę, że bez większych kłopotów można rozpoznać, czym różni się taktyka postępowania Latoura od taktyki Rorty'ego. Zamiast uprzywilejowywać pojęcie kultury kosztem pojęcia natury, francuski socjolog stara się usunąć obydwie te terminy w cień i wyeksponować pojęcia nowe, takie jak np.: aktor, transformacja oraz czynniki pozaludzkie. Mówiąc inaczej, zamiast zmieniać hierarchię w starym słowniku, Latour proponuje nam naukę nowego zasobu słów. Wszystko to w przekonaniu, że nowy słownik pomoże badać rzeczywistość w efektywniejszy sposób. Współtwórca teorii aktora-sieci podaje w *Nadziei Pandory* (i w innych swoich pracach) przykłady zjawisk, których nie da się opisać za pomocą dualistycznego słownictwa. Spójrzmy na jeden z tych przykładów. Podczas wizyty Latoura w Instytucie Pasteura pewien naukowiec przedstawił mu się w następujący sposób: „Cześć, jestem koordynatorem chromosomu 11 drożdży”. Latour komentuje to następująco: „Hybryda,

której uściśnłem dłoń, była zarazem osobą (mówił o sobie „ja”), ciałem zbiorowym (*corporate body*) i zjawiskiem naturalnym (genom, sekwencja DNA, drożdże). Paradigmat dualistyczny nie pozwoliłby nam na zrozumienie tej hybrydy. Jeżeli umieścić po jednej stronie jej aspekt społeczny, a drożdże i DNA po drugiej, to wypowiedane słowa nie tylko ulegną zniekształceniu, lecz również zaprzepaszczone zostanie możliwość uchwycenia, w jaki sposób genom staje się zrozumiały dla danej organizacji i jak dana organizacja zostaje znaturalizowana w sekwencję DNA [zawartą] na dysku twardym (*an organization is naturalized in a DNA sequence on a hard disk*)²⁸.

W przytoczonym powyżej fragmencie pojawia się jeszcze jedno ważne pojęcie związane z teorią aktora-sieci – hybryda. Hybrydami są byty, które są skonstruowane zarówno z tego, co zwiemy czynnikami naturalnymi, jak i z tego, co nazywamy językiem, społeczeństwem czy też naturą. Według Latoura świat jest wypełniony tego rodzaju konstruktami. Sami jesteśmy jednymi z nich. Dlatego tak ważne jest wypracowanie słownika, który nie będzie nas zmuszał do nieustannego zadawania pytania, czy to, co badamy, znajduje się po stronie natury, czy może kultury. Autor *Nadziei Pandory* twierdzi, że na poziomie teorii da się co prawda budować koncepcje, które korzystają ze słów takich jak „natura” i „kultura”, jednak na poziomie praktyki teorie te okazują się bezradne. Wspomniałem na wstępie, jak ważne dla postkonstruktywistów są badania empiryczne, zanurzenie się w praktyce. Bardzo dobrze widać to na przykładzie Latoura. Wystarczy zerknąć na ostatni rozdział (*Zakończenie*) *Nadziei Pandory*.

²⁷ *Ibidem*, s. 161.

²⁸ *Ibidem*, s. 253.

Na pierwszych pięciu stronach kilkakrotnie podkreśla on, że jego wnioski opierają się na obserwacji praktyki i nie są wynikiem jedynie teoretyzowania.

Czy z tego, co zostało powiedziane, należy wyciągnąć wniosek, że sposób przezwyciężenia dualizmu natury i kultury, który przedstawia Latour, jest o wiele lepszy od tego proponowanego przez Rorty'ego? W pewnym sensie tak – pisałem już o tym, jakiego rodzaju problemy rodzi konstruktywizm kulturowy, gdy wykorzystujemy go, aby zmierzyć się z problemem dualizmu. Nie sądzę jednak, aby ewentualne odrzucenie przez postkonstruktywistów całego sposobu myślenia, który oferuje amerykański filozof oraz inni kulturowi konstruktywiści, było dobrym pomysłem. Jeśli chodzi o zarzut niekonsekwencji w przezwyciężaniu dualizmu natury i kultury, jaki stawia się Rorty'emu, to trzeba zadać sobie pytanie, w jakim celu chcemy w ogóle naruszyć ów dualizm. Czy chodzi o zbudowanie konsekwentnie niedualistycznego systemu filozoficznego, czy raczej o uwolnienie się, za pomocą filozoficznych narzędzi, od retoryki zbudowanej na opozycji natury i kultury? Retoryki, która często buduje przepaść między naukami humanistycznymi i naukami przyrodniczymi, która używa pojęcia natury jako argumentu służącego do rozstrzygnięcia dyskusji, która utrudnia włączenie w ramy polityczne zarówno czynników pozaludzkich, jak i badających je nauk przyrodniczych. Wydaje się, że postkonstruktywistom chodzi bardziej o naruszenie dualistycznego sposobu argumentowania niż o budowanie abstrakcyjnych systemów filozoficznych. Stąd też konstruktywizm kulturowy jest raczej ich sprzymierzeńcem niż przeciwnikiem. Poza tym używanie pojęć takich jak kultura czy język w celu podważenia dua-

listycznego sposobu myślenia ma swoje zalety. Przede wszystkim są to pojęcia dobrze znane, więc wygodniej nimi operować. Chociaż pomysł, który sugeruje Latour, aby w ogóle uwolnić się zarówno od pojęcia kultury, jak i od pojęcia natury, jest kuszący, to jak na razie wydaje się on bardzo trudny do wykonania w praktyce. Warto pisać teksty, w których będziemy unikać używania tych terminów (albo przynajmniej – unikać filozoficznych implikacji z nimi związanych), trudno jednak przypuszczać, aby udało się wyrugować je z powszechnego użycia. Jacques Derrida, który także na różne sposoby mierzył się z problemem dualizmu, przestrzegał, że nie powinniśmy naiwnie sądzić, iż możemy tak po prostu uwolnić się od pojęć mających bardzo długą filozoficzną tradycję i dobrze zakorzenionych w naszym sposobie myślenia.

Skoro już przy Derridzie jesteśmy, to warto dodać, że autor *O gramatologii* twierdził, iż pierwszym krokiem do wyswobodzenia się spod wpływów danej opozycji jest odwrócenie tradycyjnej hierarchii, jaka panuje w jej obrębie²⁹. To właśnie czynią konstruktywiści kulturowi w odniesieniu do opozycji natura–kultura. Do tej pory (przynajmniej w naukowym obrazie świata) faworyzowane było pojęcie natury, ponieważ

²⁹ Oczywiście, jak to zazwyczaj u Derridy, sprawa jest bardziej skomplikowana. Francuski filozof podkreśla np., że to nie jest tak, iż ktoś może odwrócić bądź obalić hierarchię w obrębie danej opozycji (krok pierwszy), aby następnie po prostu przejść do następnego kroku, w którym zapomina się już całkowicie o fazie obalenia/odwrócenia hierarchii. To, co nazwałem „pierwszym krokiem”, a co Derrida nazywa „pierwszą fazą”, jest bowiem pewną strukturalną koniecznością, którą trzeba nieustannie powtarzać. Zob. np. J. Derrida, *Pozycje*, przeł. A. Dziadek, Wydawnictwo FA-art, Katowice 2007, s. 41–42.

to ona była postrzegana jako obiektywna, stała, uniwersalna i to ona służyła jako kryterium do weryfikowania naszych twierdzeń o świecie. Konstrukttywizm kulturowy, starając się dowartościować pojęcie kultury, dokonuje przewartościowania tej hierarchii. Dlatego też Latour, piszący o konstrukttywizmie kulturowym, jak gdyby była to ślepa uliczka, z której należy czym prędzej zawrócić, może być przynajmniej w tej jednej kwestii w błędzie. Wyeksponowanie pojęcia kultury wydaje się bowiem stanowić niezbędny etap na drodze do przeformułowania naszego sposobu pojmowania rzeczywistości. Jakkolwiek poglądy Latoura są najlep-

szym dowodem na to, że mamy już pewne pomysły, jak wyjść poza ten etap, to mimo wszystko zasoby argumentacyjne oraz sposoby myślenia, które proponują konstruktyniści kulturowi, nadal mogą się okazać w wielu przypadkach pożyteczne. Jeśli tylko jasno oddzielimy od siebie antydualizm konstrukttywizmu kulturowego oraz antydualizm postkonstrukttywistyczny i nie będziemy ich z sobą mieszać w jednej wypowiedzi (tzn. jeśli nie będziemy wykorzystywać jednocześnie sposobów argumentacji właściwych dla obydwu rodzajów antydualizmu), to – w zależności od sytuacji – możemy czerpać z nich obu.



Michał Rydlewski

Wszechobecne upokarzanie (Na marginesie artykułu Andrzeja Szahaja pod tytułem *Kultura upokarzania*)

*Piotrowi Domerackiemu,
którego koncepcja etyki życzliwości i małych cnót,
znakomicie współbrzmi z krytyką upokarzania.*

„Kiedyś Polak nosił kajdany niewoli. (...) Kajdan już się nie boimy.
Mam za to wrażenie, że w ostatnich latach Polacy boją się upokorzenia.
Przynajmniej ja się boję”.

Jerzy Stuhr¹

Omnipresence of Humiliation (Capturing Andrzej Szahaj's Article – “Culture of Humiliation”)

Abstract: The article presents some remarks on Andrzej Szahaj's “Culture of Humiliation” published in “Odra”. I accept author's two theses. First of them disputes on polish TV programs like “Poland Got Talent” or “Top Model” and how they mirror the condition of our society and the ideology spread throughout the country Neo-Liberal ideology. Second thesis states that “culture of humiliation” is proportional directly to the social equality. I did a search on other likewise TV programs that would show examples of that kind of culture. Here are some of them: “Chcę być piękna”, “Łabędziem być”, “Kuchenne rewolucje”, “Ugotowani”, “Perfekcyjna Pani Domu”, “Rozmowy w toku”. I also pay attention to the fact, that these programs have equivalents in media designed for kids which makes Neo-Liberal model part of socialization.

Key words: culture of humiliation, Neo-Liberal ideology, social equality, polish TV programs

Uwagi, jakie poczynię na marginesie artykułu Andrzeja Szahaja pod tytułem *Kultura upokarzania*², są podyktowane moim

przekonaniem, że to tekst społecznie ważny oraz zasługujący na komentarz i szerszą dyskusję wśród badaczy kultury. Uważam, że metaforyka tytułowego upokarzania trafia w sedno potrzebnej nam diagnozy polskiego społeczeństwa. Mam nadzieję, że dzięki mojemu artykułowi „kultura upokarzania” stanie się lepiej słyszalna.

¹ *Nie znoszę tej Polski w gorączce. Z Jerzym Stuhrem rozmawia Paweł Smoleński*, „Gazeta Wyborcza” z 19–20 stycznia 2012, s. 28–29.

² A. Szahaj, *Kultura upokarzania*, „Odra” 2012, nr 2, s. 40–44.

Optyka interpretacyjna Szahaja znakomicie realizuje projekt antropologii społecznie zaangażowanej, który swojego czasu sformułował Michał Buchowski. Jak pisze poznański antropolog: „(...) dla mnie antropologia jest »próbą ognia«, w której trzeba mieć »ostre i przenikliwe spojrzenie« połączone ze zmysłem krytycznym. (...) Zadaniem antropologa jest odsłanianie naturalnych z pozoru nierówności politycznych i ekonomicznych, ich symbolicznego wymiaru, sposobu wpisania w kulturę i funkcjonowania w życiu codziennym”³.

Artykuł *Kultura upokarzania* ma zasadniczo dwie tezy. Pierwsza mówi o tym, że zestaw popularnych polskich programów telewizyjnych i obecnych w nich wzorów zachowań jest zwierciadłem stanu społeczeństwa i dominującej w nim ideologii. Ta ideologia to ideologia neoliberalna, będąca czymś więcej niż tylko kwestią podejścia do ekonomii, ale swojego rodzaju regulatorem zachowań społecznych, w których nierówności społeczne są traktowane jako coś naturalnego.

Podług drugiej tezy nasilenie czy stopień upokarzania jest wprost proporcjonalny do różnicowania statusu społecznego wewnątrz danej wspólnoty. W tym kontekście autor zauważa, że społeczeństwo polskie – jako jedno z najbardziej rozwarstwionych społecznie w Europie – jest szczególnie narażone na inwazję „kultury upokarzania”. Nie przypadkiem „kultura upokarzania” – pisze Szahaj – jest niemal nieobecna w państwach skandynawskich, czyli tych, gdzie poziom zaufania społecznego jest największy, a poziom nierówności społecznych

najmniejszy. W opinii filozofa, dzięki bezkrytycznemu wpatrzeniu w ideały neoliberalne nie udało nam się stworzyć „przyzwoitego społeczeństwa” (tytuł książki Avishaia Margalita), w którym znakiem owej przyzwoitości jest eliminacja upokarzania jako sposobu wzajemnego odnoszenia się ludzi do siebie.

Czym jest tytułowa „kultura upokarzania”? Aby ją opisać, Szahaj wychodzi od takich klasycznych autorów, jak Guy Debord z koncepcją „społeczeństwa spektaklu” oraz Christopher Lasch z „kulturą narcyzmu”. Przywołuje także wydaną już po polsku książkę pod tytułem *Duch równości: tam gdzie panuje równość, wszystkim żyje się lepiej*⁴, w której autorzy wyjaśniają mieszankę narcyzmu i upokarzania istniejącą nierównością społeczną wynikającą z modelu neoliberalnego.

Tak zarysowany kontekst pozwala autorowi zauważyć, że we współczesnej kulturze nastąpiła „dyktatura ludzi pięknych”. To z kolei przejaw kariery widzialności, tryumfu zmysłowości nad intelektem, cielesności nad duchowością, która zrównała bycie widzialnym (brylującym w mediach) z byciem Kimś, Kto Ma Coś Ważnego Do Powiedzenia. O ile jeszcze niedawno – pisze autor *Kultury upokarzania* – podziwialiśmy potrafiących wygrywać teleturnieje w stylu *Wielkiej gry*, w których trzeba się było wykazać gruntowną znajomością jakiegoś tematu, o tyle dzisiaj trzeba się wykazać umiejętnością tańca lub śpiewu, aby zostać uznanym za kogoś godnego radzenia nam w wielu życiowych sprawach.

³ M. Buchowski, *Antropologia jako „próba ognia”*, „Przegląd Bydgoski. Humanistyczne Czasopismo Naukowe” 2001, nr 11, s. 88–89.

⁴ R. Wilkinson, K. Pickett, *Duch równości: tam gdzie panuje równość, wszystkim żyje się lepiej*, przeł. P. Listwan, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2011.

Owa widzialność wiąże się z patrzącą publicznością, która ma prawo do oceny. Stąd też być oglądanym to być ocenianym – twierdzi filozof. Kultury mogą się różnić pod względem tego, czy owa ocena jest czymś dyskretnym, czy też czymś manifestacyjnym, co znajduje potwierdzenie w badaniach etnograficznych dotyczących różnych wyobrażeń kategorii grzeczności w kulturach świata. Przykładem tej pierwszej może być kultura angielskich dżentelmenów, którzy prędzej zamilkną, niż powiedzą o kimś coś złego. W jej perspektywie każde upokorzenie wynikające z otwarcie negatywnej oceny jest znakiem braku delikatności i złego wychowania. Ludzie ci wiedzą, że pewna dawka hipokryzji jest potrzebna do gładkiego funkcjonowania w społeczeństwie. „Na jej przeciwnym biegunie – kontynuuje Szahaj – znajduje się kultura bezwstydnego upokarzania, która za cnotę poczytuje sobie szczerłość zabarwioną sadyzmem. Jej zwolennicy uważają upokorzenie, wynikające z publicznie wyrażonej dezaprobaty dla kogoś, kto z naiwnym entuzjazmem prezentuje jakąś swą umiejętność czy talent, za najlepszy sposób wyrażenia przewagi pełnionej przez siebie roli społecznej nad rolą społeczną kogoś, kto aspiruje do awansu społecznego”⁵.

W tym momencie możemy przejść do rozszerzenia dwóch stawianych przez Szahaja tez. Jego zdaniem programy telewizyjne, w których uczestnicy starają się zdobyć uznanie publiczności i jurorów, prezentując swoje talenty, są dziś rozpaczliwą próbą awansu społecznego dla członków grup upośledzonych społecznie, którym inne ścieżki awansu zostały zablokowane. Celebryci, pełniący funkcję arystokracji oceniającej parweniuszy, należą do grupy uprzywi-

lejuwanej. W programach typu *Top Model* czy *Must Be the Music* przedstawiciele klasy dominującej bezwstydnie poniżają aspirujących do awansu społecznego przedstawicieli klas niższych pod przykrywką fachowej oceny ich umiejętności, ukazując prawdę społeczeństwa klasowego: nierówności są czymś naturalnym, a upokorzenia, które muszą znosić klasy niższe – czymś zwykłym.

W takiej optyce interpretacyjnej „całe zdarzenie jest odbiciem stosunków społecznych charakterystycznych dla nieegalitarnego społeczeństwa, w którym podziały klasowe są nader wyraźne, zaś dominacja klasy uprzywilejowanej nie podlega żadnej dyskusji”⁶. Programy te obnażają naturę przyjętego przez nas modelu społecznego, którym rządzi neoliberalny dogmat mówiący, że nierówności są czymś naturalnym, albowiem ludzie są z natury nierówni. Świat przedstawia się jako arenę bezwzględnej konkurencji, gdzie walka wszystkich ze wszystkimi to naturalny stan życia w warunkach wyścigu po dobra, których nie może wystarczyć dla wszystkich. W tym znaczeniu publiczne upokorzenie jest ceną, którą warto zapłacić za popularność, przekładającą się z kolei na sukces materialny.

Pojawia się pytanie, kto owe programy ogląda. Odpowiedź Szahaja to dalsza część jego interpretacji. Widzowie to ludzie wychowani na powyższym zestawie wartości. Programy te pozwalają im niejako odreagować swoje własne upokarzanie w neoliberalnym systemie ekonomicznym, który przekłada się na model pracy ceniący tylko i wyłącznie zysk. Upokarzani chcą oglądać innych upokarzanych – twierdzi Szahaj – aby lepiej znieść swe własne upokorzenie, czerpać wątpliwą satysfakcję z oglądania

⁵ A. Szahaj, *Kultura upokarzania*, op. cit., s. 41.

⁶ *Ibidem*.

innych, którym się nie udaje i którzy za swe marzenia karani są publicznym upokorzeniem. „W ten sposób kształtuje się *kultura upokarzania* jako niewidoczny klej spajający społeczeństwo nierównych ludzi, wystawionych na działanie mechanizmów, nad którymi nie panują i których się boją”⁷.

Podsumowując: pojawiająca się gdzieś z „tyłu głowy” świadomość, że jest się jedynie towarem w ekonomicznej grze, musi znaleźć swoje ujście. W tym sensie owe programy dają się interpretować jako swego rodzaju „wentyle bezpieczeństwa” dla znoszenia własnego losu, w którym jednostka staje się rzeczą. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że to media niejako cementują ekonomiczno-polityczne *status quo* (być może bez tych programów ów klej by „puścił”). To tyle streszczenia tekstu Andrzeja Szahaja.

Nim przejdę do swoich uwag, chciałbym podkreślić jedną istotną sprawę. Kiedy czytamy *Kulturę upokarzania*, możemy odnieść wrażenie, że diagnoza autora nie tyle dotyczy społeczeństwa, ile mediów. Programy, w których prezentuje się swoje talenty, to raczej zwierciadło tych drugich niż pierwszego. Za takim ujęciem – jak mi się wydaje – stoi przekonanie, pozostawiające nas w bezpiecznym stanie ducha, że to z mediami dzieje się coś złego, natomiast społeczeństwo rządzi się innymi regułami.

Moim zdaniem media są w większości takie, jakie jest społeczeństwo: odpowiadają one na żywotne jego potrzeby. Wymóg oglądalności sprawia, iż daje się to, czego chcą masy. Dowodem tego jest fakt, wskazywany zresztą przez Szahaja, że wzorce programów dla naszej telewizji pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, jednego z najbardziej rozwiniętych społecznie krajów. Nie

to jest jednak moim głównym problemem, stąd kwestię, na ile media kreują, a na ile odpowiadają owym potrzebom upokarzania (najpewniej można tu mówić o sprzężeniu zwrotnym), pozostawiam otwartą.

Chodzi mi o głębszy aspekt stwierdzenia, że owe programy to zwierciadło przede wszystkim mediów (takie głosy daje się słyszeć wśród medioznawców). Moja intuicja jest następująca: twierdząc tak, pozostaje się w optyce analizy mediów i tych konkretnych programów jako swego rodzaju „gry w upokarzanie”, w której odbywa się ono „na niby”. „To tylko symulakrum bez odniesienia – chciałoby się powiedzieć – nie ma się zatem czym przejmować”. Uważam, że mylą się ci interpretatorzy, którzy widzą całą sprawę tylko w ten sposób. Nie idzie mi przy tym o krytykę rozumienia mediów jako „fabryki” symulakrów (lekcja foucaultowsko-baudrillardowska jest nadal aktualna), lecz zwrócenie uwagi na prosty fakt, że media pokazują żywych ludzi, którzy przeżywają tę bardziej „rzeczywistą rzeczywistość”. Patrząc z wyżyn akademickiego dyskursu na pojęcie symulakrum, które bezsprzecznie zawładnęło naszą wyobraźnią, przeocza się wpływ mediów na życie uczestników takich programów. Potrzeba tutaj domieszki antropologicznej roboty pozwalającej spojrzeć „z dołu”.

Sprawa jest poważna, czego przykładem jest samobójstwo Grzegorza Piechowskiego, jednego z uczestników TVN-owskiego programu pod tytułem *Tylko miłość*. Kamera bez oporu pokazała śmiejącą się publiczność, kiedy wzruszony chłopak ze łzami w oczach opowiadał o swojej miłości. W nagraniu przygotowanym na potrzeby programu Grzegorz mówi do Wiesi: „Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Obyśmy tylko byli razem. Tylko ty byłaś światłem w moim

⁷ *Ibidem*, s. 42 (kursywa oryginalna).

zyciu...”. W tym momencie kamera pokazuje pokładającą się ze śmiechu widownię. Prowadzący pyta roześmianą dziewczynę: „Czemu się uśmiechasz? Myślisz o Grzegorzku?”. „Na razie nie” – odpowiada. Prowadzący: „Przestałaś myśleć o nim?” – „Tak”. Podczas salwy śmiechów prowadzący zwraca się w stronę widzów: „Mam prośbę do państwa, abyście się powstrzymali troszkę... Ja szanuję to, że Grzegorz się odważył zgłosić do tego programu. On tak okazuje swoje uczucia”. Grzegorzowi się nie udało, został odrzucony. Nie tylko poniósł miłosną porażkę, ale okazał publicznie swoją słabość, wrażliwość i nieporadność. To te uczucia naraziły go na śmieszność, wypowiedziane przez niego słowa dyskredytowały go w oczach publiczności (jakbyśmy wszyscy używali innych, jakże niebanalnych wyrażań...). Po powrocie z programu zwierzył się matce: „Nigdy nie przeżyłem takiego upokorzenia”. Stał się pośmiewiskiem w miejscowości, w której mieszkał, wołano za nim „amator Wiesi”, „Mister TVN”. Po nieudanym otruciu się lekami, w kilka tygodni po programie powiesił się. W czasie kiedy jeszcze leżał w szpitalu po próbie samobójczej, TVN zapowiadał *Tylko miłość* sceną z płaczącym chłopakiem. To empiryczny przykład tego, że upokorzenie jest realnie przeżywane.

Nawiasem mówiąc, pojawia się pytanie, czy i na ile media są świadome tego, co robią. Nie mam gotowej odpowiedzi, ale wydaje mi się, iż brak większej odpowiedzialności za dalsze losy upokorzonego uczestnika programu. Sposobem mającym niejako uspokoić sumienia medioznawców jest twierdzenie, iż programy są reżyserowane. Z kolei ustrzec przed publicznym oburzeniem ma podpisanie przez uczestnika klauzuli znajomości reguł programu.

Ma ona na celu zapobieżenie ewentualnym odszkodowaniom i (być może) tego rodzaju ostatecznym gestom. Świadczyłoby to na rzecz tezy, że twórcy programu zdają sobie sprawę z tego, do czego mogą prowadzić ich działania, ale po prostu ich to nie obchodzi. Za nic mają fakt, że często taki program, jak w przypadku Grzegorza, jest jedyną szansą na odzyskanie miłości. Nikogo nie interesuje, czy mu się to uda, czy nie: ważne, że uczestnik okaże słabość (wrażliwość za słabość poczytywaną) i zostanie publicznie upokorzony. Grunt, że znalazł się ktoś w trudnej sytuacji, którego desperację można wykorzystać, użyć jak rzeczy. Klauzula zawierająca reguły gry dotyczy także takich programów jak *Top Model*. Występujące w nim dziewczyny wiedzą, czego będzie się od nich wymagać, co wolno, a czego nie osobom, które w tym programie decydują. Chęć sławy i pieniędzy powoduje jednak, że zgadzają się na to. To jest właśnie akt desperacji, o którym mówi Szahaj. W tym sensie można powiedzieć, że w modelu neoliberalnym nic bardziej nie upokarza niż bieda, w związku z czym publiczne upokorzenie, mające w dalszej perspektywie przynieść zysk finansowy, jest do przyjęcia (godzimy się na nie)⁸. Twierdzenia rzeczników czy obrońców tego typu programów mówiące, że uczestnicy „wiedzą, na co się decydują”, „sami tego chcą”, w perspektywie interpretacyjnej Szahaja stanowią jedynie naiwną powierzchnię niesięgającą istoty rzeczy.

Swoje poniższe uwagi zawarłbym pod hasłem: „wszechobecność upokarzania”. Tekst Andrzeja Szahaja wyznaczył nowe nastawienie wobec oglądanych przeze mnie programów telewizyjnych. W tym sensie

⁸ Innym zjawiskiem, które wpisałbym w tę perspektywę interpretacyjną, jest sponsoring.

tytułowe upokarzanie „zorganizowało” moje spostrzeżenie. Chciałbym pokazać, że zaproponowany przez filozofa amalgamat złożony z kariery widzialności i publicznej oceny, kultury narcyzmu oraz upokorzenia podbudowanego nierównościami społecznymi, daje się zauważyć w wielu różnych programach telewizyjnych. Przyglądając się wybranym przykładom, chcę wskazać różne miejsca, w których „kultura upokarzania” ma się całkiem dobrze.

Pierwszy przykład, który jest warty uwagi, stanowią programy typu *Chcę być piękna* i *Łabędziem być*. W perspektywie ich antropologicznego opisu⁹ warto podkreślić dwie kwestie. Po pierwsze, dają się one interpretować w optyce „przejścia” pomiędzy klasami społecznymi: uczestniczki pochodzą z klas „robotniczych”, „na dorobku”, aspirujących do warstw zamożniejszych. Statystyki jasno wskazują, że największa grupa klientów chirurgów plastycznych w Europie i Stanach Zjednoczonych wywodzi się z klasy średniej, której przedstawiciele chcą za pomocą skalpela pozbyć się pewnych cech wyglądu, np. w celu zdobycia lepszej pracy. Wynika to z faktu, że osoby brzydkie są oceniane (pod względem pozycji społecznej, inteligencji, atrakcyjności seksualnej, a nawet zdrowia psychicznego) gorzej niż ładne. To „dyktatura ludzi pięknych”, o której mówi Szahaj. Nie ma w niej nic bardziej upokarzającego niż bycie brzydkim, a więc kimś gorszym, nawet z moralnego punktu widzenia. Nie powinno to zaskakiwać: kulturowa kalka, w której odmieniec posiada swoje zna-

czenie moralne, ma swoją długą historię¹⁰. W tej perspektywie zmiana wyglądu ciała, zdradzającego społeczne pochodzenie, ma na celu odrzucenie znaków klasy biedniejszej na rzecz klasy uprzywilejowanej. Wyznanie „chcę być piękna” jest tym samym wejściem na drogę awansu społecznego. Po drugie, sam początek procesu „metamorfozy”, jaki czeka uczestniczkę, jest przykładem publicznego upokorzenia. Omówię te kwestie po kolei.

Jak zauważa Anna Wieczorkiewicz, ludzkie ciało można ująć w perspektywie semiotycznej, to jest jako tekst poddający się lekturze¹¹. Wynika to z faktu, że nie jest ono nigdy naturalnym ciałem, ale zawsze posiada imaginacyjne i symboliczne wymiary¹². „Może być tak – twierdzi autorka – że w cudzym obliczu szukamy znaków indywidualnych, żywiąc przekonanie, że każdy jest istotą niepowtarzalną. Bywa jednak, że twarz zdaje się wskazywać na przynależność człowieka do jakiejś grupy. Kanciasty zarys szczęki plebejusza przeciwstawi się wówczas szlachetnym rysom arystokraty”¹³. Autorka *Muzeów ludzkich ciał* celnie zauważa, że „(...) myślenie w kategoriach fizjonomiki przeniknęło w różne obszary wiedzy dotyczącej człowieka i jego miejsca w społeczeństwie. Nietrudno zauważyć, że w wielkich powieściach XIX wieku spleta się ono z dążeniem do ukazania psychologicznego portretu danej osoby oraz tendencją do przeciwstawienia społeczeństwa zgodnie z przekonaniem dotyczącymi aparycji i charakteru właściwego członkom różnych klas. Stanowi to wyraz przeko-

⁹ A. Wieczorkiewicz, *Lustro i skalpel*, [w:] W. Godzic, M. Żakowski (red.), *Gadżety popkultury. Społeczne życie przedmiotów*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007, s. 65–95.

¹⁰ Zob. np. U. Eco, *Historia piękna*, Dom Wydawniczy „Rebis”, Poznań 2005, s. 147.

¹¹ A. Wieczorkiewicz, *Lustro i skalpel*, op. cit., s. 82.

¹² *Ibidem*, s. 91.

¹³ *Ibidem*, s. 82.

nania wpisanego zarówno w myślenie potoczne, jak i naukowe: ciała innych pełne są znaków nadających się do deszyfracji, wskazujących na stan społeczny i moralny. Odpowiednio czytając je, możemy ocenić, czy mamy do czynienia z plebejuszem, czy człowiekiem szlachetnym, z kobietą pobożną czy ladaczną¹⁴.

Wieczorkiewicz przywołuje książkę Sandera L. Gilmana pod tytułem *Making the Body Beautiful: A Cultural History of Aesthetic Surgery*, w której autor opisuje przechodzenie jednostki z jednej grupy do innej dzięki chirurgicznym zabiegom upiększania i zmianie wyglądu. Każdą z grup – pisze Gilman – da się przy tym określić w pierwszym rzędzie z punktu widzenia cech fizycznych. Są one o tyle szczególne, że nie wydają się ani arbitralne, ani względne: ujmuje się je jako rzeczywiste, zakorzenione w materialności ciała (skóra człowieka czarnego ma inny kolor niż skóra białego, skóra młodzieńca jest jędrniejsza niż skóra starca etc.). „Cechy te zdają się istnieć obiektywnie, niezależnie od »widzimisię« chirurgów; nie biorą się też z fantazji człowieka, który patrząc w lustro, stwierdza, że ze względu na swą powierzchowność nie może dostać się w krąg pewnej grupy osób. Skutki wykluczenia odczuwane są w kategoriach psychologicznych i cel, jakim jest »przejście« do innej kategorii osób, wykracza poza fizyczne znamiona ciała – ma się on realizować w sferze społecznej, erotycznej czy ekonomicznej. Za zmianą wyglądu kryje się chęć pokonania barier wykluczenia. Reguły inkluzji/ekskluzji (włączania/wyłączania) mogą być ustanawiane w różnych płaszczyznach kulturowe-

go definiowania człowieka – rasa, płeć czy klasa społeczna to tylko niektóre z nich¹⁵.

Owemu „przejściu” towarzyszy „motyw wstydu” – jak nazywa go Wieczorkiewicz. Daje się on zauważyć w kilku elementach struktury programów typu *Chcę być piękna* czy *Łabędziem być*, co sugeruje niejako już sama czołówka. Polskie odcinki rozpoczynają się słowami: „Znalazły w sobie siłę do powiedzenia światu: »Chcę być piękna«. Aby rozpocząć nowe życie, gotowe są znieść ból, tęsknotę i wiele wyrzeczeń. Zobacz narodziny piękna¹⁶. Chciałoby się dodać: „gotowe także na upokorzenie”. Motyw wstydu występuje z powodu konieczności publicznego pokazania swojego ciała. Uczestniczka zostaje wystawiona na widok publiczny (na ulicy) i poddana ocenie przez przechodniów, którzy określają jej wiek, a niekiedy rodzaj pracy. Ich wypowiedzi, postarzające ją niekiedy nawet o kilkanaście lat, ogląda ona potem wraz ze swoją „przewodniczką¹⁷ w drodze do piękna. Cel takiego zabiegu jest jasny: „zobacz, tak widzą cię inni”, „spójrz, kim jesteś w ich oczach”. Następnie za ocenę ciała uczestniczki zabierają się eksperci, którym powinna ona zawierzyć, pozwolić, by traktowali jej ciało jak kawałek drewna – ważyć w rękach obwisłe piersi, ujmować w palce fałdy skóry na udach¹⁸. „Godzi się na to, że jej wygląd będzie analizowany pod kątem braków. Odkrywa otłuszczony brzuch, gąbczaste uda, pozwala zajrzeć do jamy ustnej i zobaczyć fatalny stan uzębienia (takie kadry powracają w kolejnych

¹⁵ *Ibidem*, s. 88.

¹⁶ *Ibidem*, s. 75.

¹⁷ To kolejny element mogący potwierdzić słuszność opisywania przez Annę Wieczorkiewicz całej struktury programu w kategoriach „obrzędów przejścia” (*ibidem*, s. 65–69).

¹⁸ *Ibidem*, s. 74–75.

¹⁴ *Ibidem*, s. 83.

odcinkach). Aby wyzbyć się »starego ciała«, trzeba je najpierw obnażyć – to pierwszy krok do tego, by zdjąć je z osoby tak, jakby była to kolejna warstwa brzydkiego, zniszczonego ubrania, które przylgnęło do niej wskutek nieoczekiwanych obrotów losu i krępuje ruchy, nie pozwalając iść naprzód¹⁹. Owe „nieoczekiwane obroty losu” to deformacje ciała po ciąży, wynik starzenia się, brak czasu, który można poświęcić na dbanie o ciało (uczestniczka często zajmuje się dziećmi i domem), lub po prostu naturalne defekty ciała odbiegające od przyjętych w danym momencie wzorów piękna. Nie bez znaczenia jest także fakt, że opisywane życie uczestniczki zawiera w sobie element upublicznienia jej najbardziej intymnych spraw, takich jak życie seksualne (najczęściej nieudane ze względu na nieestetyczny wygląd ciała). Wieczorkiewicz określa to mianem motywu „wstydu przed życiowym partnerem”²⁰.

Co nam mówią powyższe rozważania? Wieczorkiewicz celnie zauważa, że „Chirurgi i pacjenci działają tak, jakby kategorie stosowane przy ocenie różnych cech były stałe, choć są one konstruowane kulturowo i ulegają przemianom. Wiadomo na przykład, że w pewnych kontekstach kulturowych otyłość ma pozytywne znaczenie, wskazując na bogactwo i powodzenie; bywa też postrzegana jako piękna. W naszej kulturze często traktuje się ją jako oznakę choroby lub braku panowania nad sobą”²¹. Rzecz jasna owych przykładów można podać dużo więcej, by wymienić tylko wartościowanie opalenizny jako brzydkiej (była ona jesz-

cze do niedawna znakiem pracy fizycznej, a więc przynależała do warstw niższych).

Można powiedzieć, że cały zespół takiego programu, złożony m.in. z chirurgów, psychologów, stylistów, ma na celu dostosowanie jednostki do ogólnie przyjętego wzoru piękna²². Traktowanie go jako obiektywnego jest w tym kontekście funkcjonalne, albowiem wyklucza możliwość zmiany samych kanonów piękna, stąd użycie skalpela jest faktycznie jedynym racjonalnym rozwiązaniem. Słowem funkcjonalne jest utrzymanie w tajemnicy faktu (ogromną rolę odgrywa tu „naturalność” zdrowego rozsądku), że to kultura nadaje ciału znaczącą formę, uczy rozpoznawać piękno i brzydotę, grację i niezgrabność, normę i deformację, i że to ona potrafi owe znaczenia zmieniać²³. Sztab ludzi zajmuje się przekonaniami jednostki, nie pytając, skąd się owe przekonania tam znalazły. Trzeba to precyzyjnie rozumieć: takie a nie inne interpretacje ciała są realnie przeżywane (są źródłem złego samopoczucia, obniżenia swojej wartości), co wynika z faktu, że kultura ma zdolność uwewnętrznienia respektowanych przekonań. To nie jest tak, że uczucia i emocje uczestniczek są sztuczne i nieprawdziwe. Korekta nosa faktycznie dokonuje zmiany w świadomości jednostki, leczy ją z wdrukowanych przez kulturę kompleksów. Nie oznacza to jednak, że związek pomiędzy zmianą fizyczną a mentalną działałby zawsze i wszędzie.

Moim zdaniem utrzymanie wzoru kultury, w którym „naturalne” różnice w urodzie są interpretowane jako znaki przynależno-

¹⁹ *Ibidem*.

²⁰ *Ibidem*, s. 74.

²¹ *Ibidem*, s. 76–77.

²² Widać to dobrze na przykładzie programów amerykańskich, w których uczestniczka – jak pisze Wieczorkiewicz – „rzeźbiona” jest według „wzorca Barbie”: w finale na scenie pojawia się długowłosa blondynka o szczupłej talii (*ibidem*, s. 79).

²³ *Ibidem*, s. 81.

ści społecznej, służy utrzymaniu reguł gry włączania i wykluczania w określone grupy społeczne. Zarządzanie kategoriami estetycznymi jest funkcjonale wobec systemu kapitalistycznego: stworzenie ideału urody nieistniejącego w rzeczywistości (ideał modelki to nic innego jak symulakrum) niejako psychicznie wymusza zmiany chirurgiczne. A te wymagają pieniędzy. Ktoś, kto ich nie posiada, czuje się – jak pisze Szahaj – wyobcowany, upokorzony tym, że nie może przynależć do dominującej kultury narcyzmu. Z tego względu programy typu *Chcę być piękna* cieszą się tak dużą popularnością: upokorzenie, jakiego doznaje obnażona uczestniczka, jest „tylko” jednorazowe, nie zaś doznawane na każdym kroku w otoczeniu wizerunków pięknych ciał (telewizja, reklamy etc.).

Motywy publicznej oceny uczestnika i zawstydzenia go graniczącego z upokorzeniem, bardzo wyraźnie podszyty kwestią awansu społecznego, pojawia się w programie *Perfekcyjna Pani Domu*. Polega on na rywalizacji dwóch uczestniczek, które mają problemy z utrzymaniem czystości i porządku w swoim domu. Należą one do grupy osób, które aspirują do klasy uprzywilejowanej, przy czym aktywnym zawodowo i utrzymującym dom jest mąż. Zadaniem prowadzącej program Małgorzaty Rozenek jest edukacja kobiet. Ta z nich, która przejdzie najlepiej test „białej rękawiczki”, wygra i otrzyma akcesoria rodem z wyżej opisywanych programów: koronę i szarfę. W rezultacie uzyska szacunek oraz akceptację rodziny i przyjaciół. Można powiedzieć, że o ile wcześniej chodziło o wygląd ciała, o tyle teraz chodzi o wygląd domu – kolejnego elementu semiosfery (termin Jurija Łotmana) społecznego usytuowania. Szczególnie dotyczy to jego czystości, wokół któ-

rej zorganizowany jest program Małgorzaty Rozenek. Jeśli stosunek i wygląd ciała mówi coś o pochodzeniu społecznym i klasie, do której się należy, to podobnie ma się sprawa w przypadku podejścia do obecnego w domu brudu.

W perspektywie historii kultury nie jest niczym nowym stwierdzenie, że nieczystość, czyli to, co na mocy społecznej konwencji uznajemy za brudne, jest narzędziem kontroli społecznej. Jak celnie zauważają autorzy *Narodzin człowieka kulturalnego*, pojęcie nieczystości stoi na straży istniejącego porządku rzeczy. Osoby, których styl życia nie opiera się na samokontroli (samodyscyplinie), które nie opanowały tego kodu kulturowego, ryzykują, że zostaną wystawione na pośmiewisko i będą czuły się jak wróbel wśród żurawi. Lekka pogarda odgórnie i poczucie wstydu oddolnie, każde ze swej strony, pilnują nienaruszalności społecznej granicy klasowej²⁴.

Co najważniejsze, brud, o którym mówią szwedzcy antropolodzy, dotyczy nie tylko ciała człowieka, ale i jego obecności w domu. Opisując procesy cywilizacyjne zachodzące od drugiej połowy XIX do pierwszej połowy XX wieku, mające na celu tytułowe „narodzenie człowieka kulturalnego”, autorzy szczegółowo przyglądają się podejściu do czystości w domu. Wynika to z faktu, że wartościowanie stylu życia skoncentrowanego na domu i rodzinie stanowiło część fundamentalnego przesłania, jakim było marzenie o awansie społecznym z warstw chłopskich i robotniczych do klasy mieszczańskiej. Społeczne konwencje róż-

²⁴ J. Frykman, O. Löfgren, *Narodziny człowieka kulturalnego. Kształtowanie się klasy średniej w Szwecji XIX i XX wieku*, przeł. G. Sokół, Wydawnictwo Marek Derewiecki, Kęty 2007, s. 172.

nych grup, interpretujące, co jest, a co nie jest brudem, znacznie się różniły. A zatem: walka z nieczystością to działanie skierowane na podniesienie swojego statusu społecznego i jednocześnie reprezentowanie go poprzez urządzenie domu²⁵.

Wspomniany program jest dobrym przykładem takiej „kampanii czystości”. Ale nie tylko. W *Perfekcyjnej Pani Domu* dochodzi do publicznego obnażenia nieumiejętności dbania o dom, a co za tym idzie także o męża i dzieci, bo jak zauważa Rozenek – „sprząta się dla tych, których się kocha”. Uczestniczce wytyka się niedojrzałość (podobny wątek występuje w wyżej omawianych programach²⁶), czego najlepszym chyba przykładem jest nieumiejętność organizowania czasu, tego fetyszu kultury mieszczańskiej. Zostaje ona publicznie zawstydzona (co jest często otwarcie mówione) i upokorzona. Sygnał jest jasny: nie nadajesz się do tej roli, nie radzisz sobie. To, że macie dom i pieniądze, nie czyni was jeszcze członkami klasy, do której aspirujecie; twój dom, a więc i ty sama nie pasujecie do wzoru. Rozenek jest wyraźnie zniesmaczona umiejętnościami pań domu – mówi np., że zbiera jej się na wymioty, gdy widzi taki bałagan w kuchni lub produkty spożywcze np. w sypialni (co było dopuszczalne w warstwach niższych). *Perfekcyjna Pani Domu* znakomicie potwierdza tezę, że uwewnętrznione „[u]czucia mogą być skuteczną obroną danego porządku społecznego. Otwarcie wypowiedziane albo ukryte uczucie niesmaku między ludźmi związane jest z ich społecznym usytuowaniem i zazwyczaj pełni rolę bariery między klasami społecznymi”²⁷.

²⁵ *Ibidem*, s. 129.

²⁶ A. Wiczorkiewicz, *Lustro i skalpel*, *op. cit.*, s. 73.

²⁷ J. Frykman, O. Löfgren, *Narodziny człowieka...*, *op. cit.*, s. 161.

Teza antropologów mówiąca o „odgórnej pogardzie i oddolnym wstydzie” jest tutaj – jak sądzę – dobrze widoczna.

Osobnym przykładem, który pokrótce chciałbym skomentować, są programy kulinarne. Udział w nich stanowi szansę na zaistnienie i zyskanie pięciu minut sławy. W polskiej telewizji jest ich całe mnóstwo, co można uznać za wynik mody na gotowanie. Pod kątem „kultury upokarzania” można ich wymienić kilka. Obok amerykańskiego programu prowadzonego przez Gordona Ramsaya pod tytułem *Hell's Kitchen* mamy także polską wersję *MasterChef*, w którym prowadzącymi są m.in. Magda Gessler oraz Michel Moran.

W tym pierwszym, którego uczestnikami są młodzi ludzie pracujący w prowincjonalnych restauracjach i fast foodach, wykazują się oni swoimi umiejętnościami pod okiem przypominającego kaprała szkockiego kucharza. Biograficzny film o Ramsayu pokazuje karierę od pucybuta (pomocnika kucharza) do milionera (miliardera), człowieka, który sam przeszedł „piekło kuchni” po sportowej kontuzji. Ten, który był upokarzany, teraz ma możliwość robienia tego samego. Osoba, która wygra, zostanie szefem kuchni w jednej z europejskich restauracji Ramsaya, będzie miała możliwość nauki sztuki kulinarnej od samego mistrza, co ma zapewnić jej życiowy sukces. Program charakteryzuje się swego rodzaju wojskowym drylem: wszystko odbywa się tam w pośpiechu, w towarzystwie ciągłego pokrzykiwania. Jeśli uczestnikowi powinie się noga, Ramsay dokonuje na nim swojego rodzaju publicznej egzekucji: przeklina i obraża uczestnika: „Jesteś głupi”, „Jesteś idiotą”, „Spójrz na siebie”, „Wróć do swojej budy z hot dogami”.

Co do *MasterChef*, to trudno mi się nie zgodzić z Piotrem Semką, który opisując atmosferę programu, zauważa, że od samego początku kucharze-uczestnicy konkursu są traktowani, jakby byli na placu apelowym karnej kolonii: „Na wybór składników mają tylko dwie i pół minuty, muszą podejmować decyzje przy wrzasku jednego z jurorów”. Potem odbywa się – jak określa ją Semka – „podszyta sadyzmem celebrytów wzywania nieszczęśników przed oblicze jurorów”. Wszystko przykryte miłymi pytaniami Magdy Gessler w stylu: „A nie będę płuć?”. Diagnoza dziennikarza jest następująca: „gdy do gotowania wkracza czynnik rywalizacji, upokarzania tych, którzy robią coś nie tak, czuję jakąś niestosowność, pojawia się jakiś zgrzyt. W *MasterChef* ćwiczy się i upokarza tych, którzy dopiero stają w kulinarne szranki”. Semka podsumowuje: „Tak jest chyba w ogóle w telewizji i to już od dawna. Z jednej strony bogaci, modnie ubrani jurorzy w *X Factor* czy *Mam talent!*, a z drugiej – biedni ludzie marzący o zrobieniu kariery takiej jak oni. Póki co nikomu się to chyba nie udało”²⁸. Nawiasem mówiąc, interpretacja Semki jako żywo przypomina to, co napisał Szahaj (czyżby autor zapomniał o przypisie?), o ile jednak motywy tego pierwszego to zapewne krytyka mainstreamowych mediów, o tyle drugiego interesuje analiza zjawiska upokarzania w szerszej perspektywie społecznej.

Warto choć wspomnieć o dwu kolejnych programach. Mam na myśli *Kuchenne rewolucje* oraz *Ugotowanych*. Choć ich scenariusze różnią od *MasterChef*, to daje się na ich

przykładzie – jak sądzę – zauważyć pewne niuanse „kultury upokarzania”. Wynika to z faktu, że w tym pierwszym Gessler jest nie tyle jurorem oceniającym umiejętności kulinarne uczestników, ile raczej osobą mającą dokonać metamorfozy nierentownego lokalu. Poddaje się tu ocenie wszystkich: od kelnerów po właścicieli. Z kolei w TVN-owskim programie *Ugotowani* rolę jurorów odgrywają sami uczestnicy, którzy oceniają siebie nawzajem.

Jeśli chodzi o program Magdy Gessler, to ważne jest to, że rewolucja, którą przeprowadza, jest rewolucją nie tylko kulinarną, ale też jak najbardziej życiową. To ona wie, jak powinni żyć pretendujący do miana elity restauratorów, jakie zmiany powinni poczynić w swoim życiu, aby restauracja przynosiła zyski. Często następuje, mówiąc kolokwialnie, „publiczne pranie brudów”: wyjawia się sekrety rodzinne, ujawnia konflikty wewnątrzmażeńskie, nałogi. Sposób ich obnażania jest prowadzony z pełną szczerością i sadyzmem, o czym świadczy często obserwowany płacz uczestników, ucieczki z restauracji czy porzucenie pracy w ogóle. Patrząc z pogardą i obrzydzeniem w kamerę, Gessler zdaje się z niedowierzaniem pytać: „Jak ci ludzie mogą tak żyć?”. Przykładem tego jest „metamorfoza” jednej z górskich restauracji (odcinek *Karczma u Bartka*). Gessler nie waha się np. przed rzucaniem w pracowników produktami spożywczymi. Na profilu facebookowym, tłumacząc się ze swojego emocjonalnego zachowania, pisze, że nie chciała nikogo poniżyć (wpis z 24 listopada). Nie przekonała jednak wielu internautów. Jedna z osób skomentowała to słowami: „To nie emocje. To publiczne upokorzenie i poniżenie. Totalna bezmyślność”.

²⁸ P. Semka, tekst ukazał się w „Uważam Rze”, cytuję za: http://www.pudelek.pl/artykul/43990/gessler-upokarza_ludzi_to_sadyzm/55/.

Znana restauratorka traktuje ludzi, którym ma pomóc w osiągnięciu sukcesu (i nie tylko ich, czego przykładem niedawne wytknięcie plebejskiego pochodzenia Michaelowi Moranowi, uniemożliwiająca mu jakoby prowadzenie wykwintnej restauracji), jako nieznających się na rzeczy dorobkiewiczów, ludzi mało inteligentnych, udających tylko „prezesów” czy „właścicieli” restauracji, a w istocie niemogących się stać prawdziwą elitą kulinarną ze względu na swój styl życia, maniery czy nawet język, którym mówią.

Program *Ugotowani* polega na spotkaniu czterech uczestników, którzy muszą wykazać się talentem kulinarnym: przygotować kolację dla trójki pozostałych. Potrawy powinny być wyszukane, zaskakujące smakiem, uczestnicy bowiem to smakosze, znający się na różnych kuchniach świata, nierzadko także z własnego, podróżniczego doświadczenia. To najczęściej osoby dobrze sytuowane, z ładnymi mieszkaniami lub domami, dobrze ubrane, wykonujące zazwyczaj wolne zawody, z oryginalnymi pasjami. Przygotowany posiłek jest traktowany nieomal jako odzwierciedlenie osoby przygotowującej. To, co jesz i podajesz gościom, mówi o tym, kim jesteś i jaki jest twój status społeczny. W związku z tym nie ma tam miejsca na popolitą karkówkę z grilla, która ośmieszyła jednego z uczestników. Z moich obserwacji wynika także, że niekiedy jednym z uczestników jest osoba, która w jakiś sposób odstaje od tej normy. Rzadko kiedy ów pretendent do grupy lepiej sytuowanej wygrywa. Z jednej strony uczestnicy bezbłędnie wyczuwają osobę, która sili się na zbytnią oryginalność, z drugiej natomiast taka sztuczna kreacja jest demaskowana przez niewidzialnego narratora programu.

Ugotowani służą zatem rysowaniu pewnych granic, w jakich może się mieścić przedstawiciel klasy dobrze sytuowanej. Warto również odnotować, że porażka wynika jednak nie tylko z jakości przyrządzonych potraw, albowiem ocenie nie podlega tylko jedzenie, ale też mieszkanie (podczas gdy uczestnik przygotowuje potrawy, inni je oglądają) oraz sposób bycia przejawiający się poprzez zabawianie gości i spędzanie z nimi wolnego czasu. Pozornie zatem chodzi o kulinaria, podczas gdy w rzeczywistości to raczej klasowa instrukcja.

W perspektywie „umiejscowienia” kultury upokarzania warto zwrócić uwagę na program, który nie ma w swojej strukturze jury ani nie chodzi w nim – przynajmniej na pierwszy rzut oka – o publiczną ocenę uczestnika. Wydaje mi się jednak, że jest on pod pewnym względem interesujący, bowiem występujący w nim tzw. zwykli ludzie, nieprezentujący domniemanych lub faktycznych talentów, dokonują swego rodzaju samoupokorzenia. Mam na myśli *Rozmowy w toku* Ewy Drzyzgi. O ile początkowo ten program poruszał ważne społecznie problemy i przedstawiał ludzkie dramaty, o tyle od dłuższego czasu przeważa w nim tematyka mająca na celu szokowanie, przyciąganie uwagi „dziwnością” zdecydowanych opowieść o sobie ludzi. Tytuły odcinków mówią same za siebie: *Dziewczyny neonówki świecą jak żarówki*, *Dla Ciebie liczy się kasa, a ja chcę mieć bobasa*, *Kręcąc mnie tylko żonaci faceci*, *Mam problem z nietrzymaniem moczu*, *Nie będę rodzić bez tipsów i makijażu*. Na internetowej stronie TVN-u możemy przeczytać opisy i zapowiedzi odcinków. Ich językowa forma jest znacząca, gdyż pokazuje, jak traktowany jest uczestnik programu: to osoba niedoj-

rzała intelektualnie i emocjonalnie, której plany na przyszłość nie mają szans na powodzenie.

Uczestnicy programów są w stanie wyjawiać swoje prywatne sprawy, często bardzo intymne, byleby tylko medialnie zaistnieć. Kiedy opowiadają swe historie lub odpowiadają na pytania Drzyzgi, w chwilach bardziej „niecodziennych” wypowiedzi kamera pokazuje roześmianą publiczność, która z politowaniem przygląda się bohaterowi lub kiwa głowami w poczuciu niezrozumienia prezentowania tak jawnej głupoty. Wszystko to odbywa się pod pretekstem niesienia pomocy uczestnikowi i w poczuciu zrozumienia jego naiwności, w czym pomaga komentarz psychologa.

Na zakończenie chciałbym podkreślić jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze, warto zauważyć, że wymienione przeze mnie programy telewizyjne, w których przedstawia się swoje talenty (muzyczne, taneczne, kulinarne etc.), mają nierzadko odpowiedniki przeznaczone dla dzieci. Ocenie wyglądu podlega nie tylko dorosła osoba, ale i dziecko. To odbicie szerszego procesu dotyczącego kulturowego konstruowania kategorii dzieciństwa, jaki zachodzi na naszych oczach. Nie mam wątpliwości, że wiele zależy tu właśnie od postaci kapitalizmu, który niejako „ponownie”²⁹ uczyni z nich małych dorosłych, czyli nowych konsumentów.

Moim zdaniem owe programy można traktować jako etap socjalizacji funkcjonalny wobec neoliberalizmu, to jest nastawiony na uznanie za rzecz oczywistą rywalizacji na każdym etapie, naturalność poddawania się

publicznej ocenie oraz przyjmowania publicznego upokarzania za wpisana w istotę świata, który nas otacza. Należy mieć świadomość, że udany proces socjalizacji okazuje się najczęściej niemożliwy do zawrócenia. Gra idzie zatem o poważną stawkę.

Po drugie, wydaje mi się czymś niepokojącym, kiedy w programach mających na celu publiczne ośmieszenie jego uczestników biorą udział intelektualiści. Przykładem tego był udział Kazimierzy Szczuki – wrażliwej przecież na nierówności feministki, do której mam wiele sympatii i której poglądy w wielu sprawach podzielałam – w programie *Najsłabsze ogniwo*. Pokazuje on, że mądrzejszy ma prawo do ośmieszania mniej lotnego (a nierzadko po prostu zdenerwowanego), że to nobilituje jego inteligencję, pozycję, jaką zajmuje intelektualista. Powinno to stanowić sygnał ostrzegawczy dla nas wszystkich.

Na sam koniec chciałbym poddać pod dyskusję jedną z tez Szahaja, która mówi, że „dominacja klasy uprzywilejowanej nie podlega żadnej dyskusji”, celebryci-jurorzy są zaś owej klasy częścią. O ile nie mam wątpliwości, że w perspektywie nierówności społecznych pozycja tych klas jest faktycznie niezagrożona (taki jest kontekst wypowiedzi Szahaja), o tyle sprawa komplikuje się nieco w odniesieniu do celebrytów. Wydaje mi się, że wielu z nich, a także tych pretendujących dopiero do tego miana, stąpa po cienkim lodzie. Przykładem mogą być programy typu *Taniec z gwiazdami* czy *Gwiazdy tańczą na lodzie*, gdzie występowały rozpoznawalne przecież postaci show-biznesu, popkultury i sportu. Jeśli dołączyć do tego *Magiel towarzyski*, w którym wytyka się „wpadki” celebrytów, to można chyba zaryzykować stwierdzenie, że nikt nie

²⁹ Ph. Ariès, *Historia dzieciństwa: dziecko i rodzina w dawnych czasach*, przeł. M. Ochab, Wydawnictwo „Marabut”, Gdańsk 1995.

może czuć się wolny od oceny i każdy może podlegać mechanizmom upokorzenia, co

z kolei potęguje tylko lęk, strach i niepewność, o których mówi Szahaj³⁰.

³⁰ Niniejszy artykuł jest wersją pozbawioną opisów programów telewizyjnych i poszczególnych ich odcinków oraz szerszych odniesień do sygnalizowanych zagadnień. Rozszerzona jego wersja wraz z tekstami innych autorów poświęconymi „kulturze

upokarzania” oraz moją rozmową z prof. dr. hab. Wojciechem J. Bursztą ukaże się w „Etnografii Polskiej”. Za korektę i ciekawe uwagi dotyczące mojego tekstu, których ze względów objętościowych nie mogłem wykorzystać, dziękuję dr Ewie Bińczyk.

